ROCZNIK SPRA

SZKOŁA PODCHORĄ-
ŻYCH REZERWY
ARTYLERJI 1935-36

ROCZNIK
S P R A
1 9 3 6





SZKOŁA PODCHORĄŻYCH REZERWY
ARTYLERJI WŁODZIMIERZ

SPRA

REDAKTOR NACZELNY
KPT. WOJCIECH RANKOWICZ

KOMITET REDAKCYJNY:
Przewodniczący:
PODCH. JAN KOZIELEWSKI

Sekretarz:
PODCH. JERZY LERSKI

Dział ogólny:
PODCH. LEOPOLD SEIDLER

Dział literacki:
PODCH. WACŁAW KELLER

Dział pamiętnikarski:
PODCH. KAZIMIERZ HEDINGER

Dział techniczny:
PODCH. JAN PŁAZAK

Dział fotograficzny:
PODCH. M. SPODAR

Dział graficzny:
PODCH. TADEUSZ PAWLUĆ

Administracja:
PODCH. OSTROWSKI



SPRA

„Wszędzie, gdzie tylko bije polskie serce — żyją najlepsze i najszlachetniejsze uczucia dla Tego, który nas z nicości do życia powołał, który nauczył nas wierzyć w siebie, który nauczył obcych Polskę szanować".

Z PRZEMÓWIENIA KOMENDANTA SZKOŁY NA SOWIŃCU, W KWIETNIU 1936

REDAKTOR NACZELNY
SPŁ. WOJCIECH [illegible]

KOMITET REDAKCYJNY:
Przewodniczący:
PODCH. JAN KOZIELEWSKI

Sekretarz:
PODCH. JERZY LERSKI

Dział ogólny:
PODCH. LEOPOLD SEIDLER

Dział literacki:
PODCH. WACŁAW KELLER

Dział pamiętnikarski:
PODCH. KAZIMIERZ [illegible]

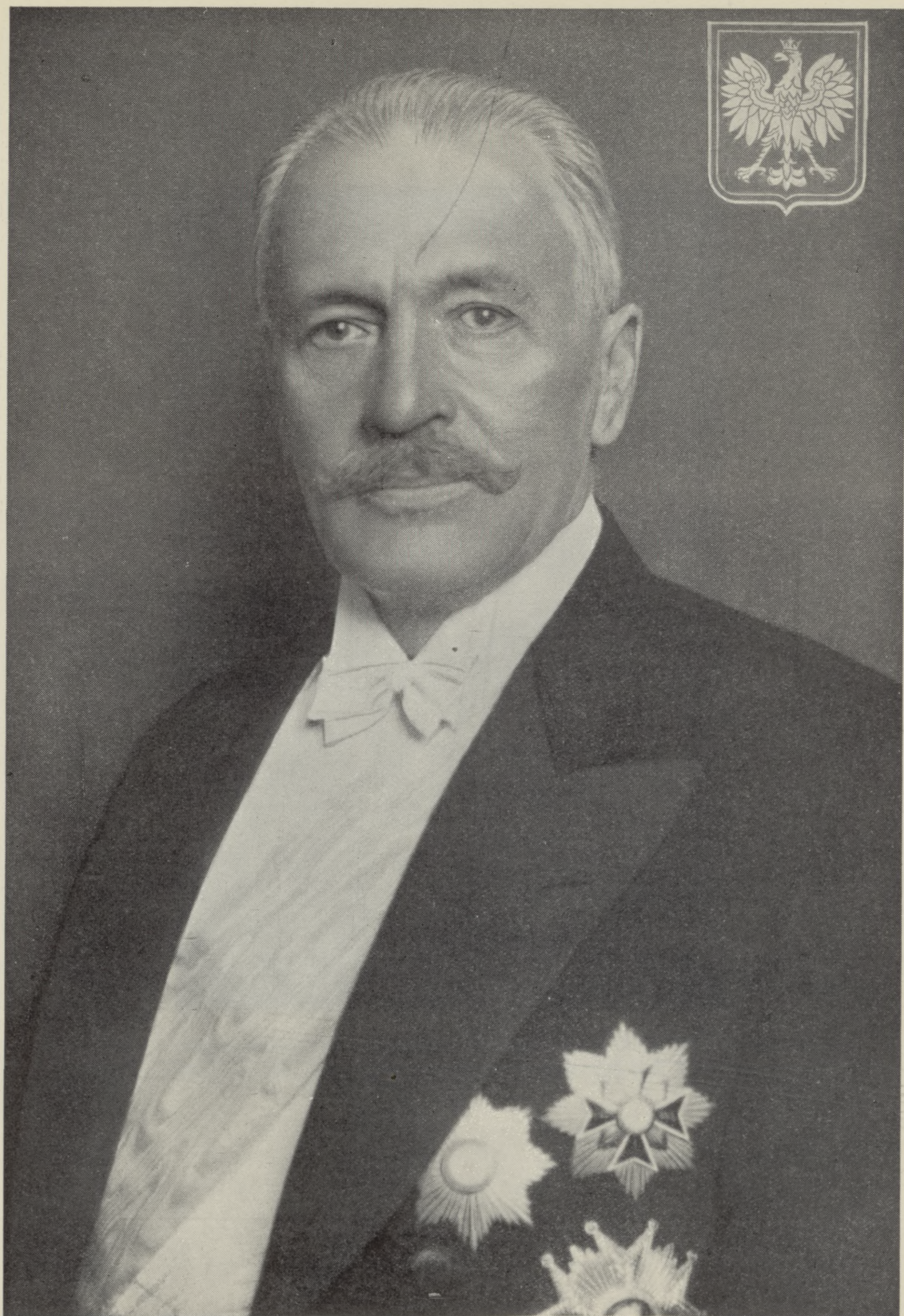
Dział [illegible]:
PODCH. JAN [illegible]

Dział [illegible]:
PODCH. A. [illegible]

Dział graficzny:
PODCH. TADEUSZ PAWLUĆ

Administracja:
PODCH. OSTROWSKI

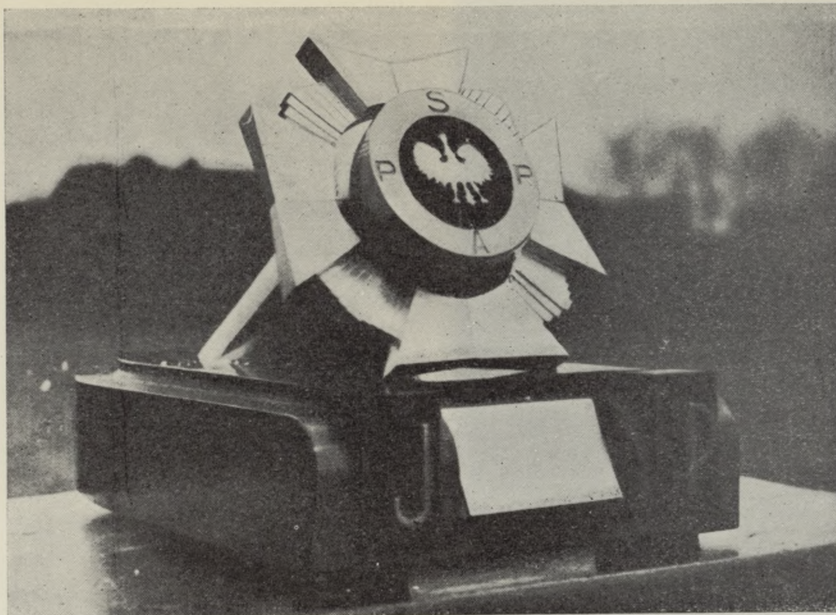




PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ PROF. IGNACY MOŚCICKI



GENERALNY INSPEKTOR SIŁ ZBROJNYCH
GENERAŁ DYWIZJI EDWARD ŚMIGŁY-RYDZ



Projektował podchor. T. Pawluć.

NAJDROŻSZE WSPOMNIENIA

„Nie zniosę już niedoli, ani niewolnej nędzy — sam sięgnę lepszej doli i łeb ugniotę jędzy. Zwyciężę na tej ziemi — z tej ziemi państwo wskrzeszę"...

To Konrad wołał do Boga.

Wydajemy ten rocznik w napół żałobnej szacie — w czarnej ramce fotografja Jego.

Poraz pierwszy święcimy rocznicę zdobycia wolności bez Józefa Piłsudskiego.

Umarł starzec słaby a mocarz nad mocarze, odszedł samotnik a władca dusz i umysłów, spoczął wieczny Żołnierz — i niestrudzony rewolucjonista, burzący ludzką słabość, prywatę i złość.

Umarł Piłsudski — została Polska. Czcijmy Go i pamiętajmy, bo Jego czcząc i kochając, wyrażamy najpiękniej swą miłość do Polski.

I o czem pisać na wstępie tej książki pamiątek naszych pod Jego fotografją żałobną?

O historji walk o niepodległość, co weszła nam w krew i w serca i wyjść już z serca nam nie chce, rozpatrywać i zsyntezować to wszystko, co Polacy zbudować i do życia powołać zdołali przez te krótkie lat 17 ,mówić o dorobku naszym narodowym, o dorobku, co świadczy nieomylnie, że jesteśmy mocni, zdrowi, prężni... mówić (rozpatrując znaczenie wolności) co jeszcze do roboty przed sobą mamy, co jeszcze w Polsce odłogiem leży, wskazywać na obowiązki nasze żołnierskie i obywatelskie? na zadania najcięższe, idee najtrudniejsze?... O nie! Mówmy tu o Tym, co odszedł od nas na zawsze, co nas uczył, podnosił, wychowywał — mówmy o Piłsudskim.

My, młodzież polska i żołnierze Polski, ze szczególną dumą możemy obchodzić uroczyście dzisiejszy dzień — z dumą z tego powodu, iż Ojczyzna i Jej Niepodległość — tylko i tylko dzięki żołnierzowi zdobyta została.

Mówił Marszałek: „Nie chciałem pozwolić, aby w czasie, gdy na żywem ciele naszej Ojczyzny miano wyrębywać mieczami nowe granice Państw i Narodów, samych tylko Polaków przy tem brakowało. Nie chciałem dopuścić, by na szalach losów, ważących się nad naszemi głowami, na szalach, na które miecze rzucano — zabrakło polskiej szabli".

Bądźmy dumni, że Polska z krwi polskiej powstała, pamiętając z czyjego to genjuszu i serca, i pamiętając do czego to nas zobowiązuje.

Pokolenia Kościuszki, Mickiewicza, Trauguta krwawiły o Polskę — daremnie; nie zrzuciły pęt. Z jakiem czołem Polacy mogliby żyć — czuć, gdyby to jedno pokolenie bezczynne na polu walki zostało — i gdyby Polska „daną" nam była. Byłoby nam wstyd tej Polski.



Minister Spraw Wojskowych Gen. dyw. Tadeusz Kasprzycki



I Wiceminister Spraw Wojskowych
Gen. bryg. Janusz Głuchowski



Inspektor Armji Gen. dyw. Juljusz Rómmel



Szef departamentu Artylerji M. S. Wojsk.
Gen. bryg. Leopold Cehak

A oto jesteśmy i pamiętać trzeba, że dzięki Marszałkowi następcami pokolenia, co własną żołnierską krwią, pracą — Polskę wywalczyło i dumni bądźmy z tego i wiarę miejmy, że godnymi następcami będziemy.

— — — — — — — — —

To, że powstające Państwo tak szybko zdołało się zorganizować i podnieść i skrzepnąć — świadczy niezawodnie o zdrowiu i sile społeczeństwa, ale i o sercu i genjuszu Tego, co odszedł — i to tutaj znów powiedzieć nam trzeba.

— — — — — — — — —

Gdy wracał 11 listopada Piłsudski z dworca kolejowego — szary, smutny i zamyślony — patrzył w duszę Narodu powstającego.

A Polska wtedy zaczęła żyć i myśleć i czuć. Powstała do historji nowej i zawołała z mocą:

„Precz z waśniami, precz z bratniemi walkami, precz z nienawiścią i słabością — niech więzień z Magdeburga stanie na czele Państwa i Państwo to wydźwignie — z dołów bezładu i słabości na wyżyny potęg".

Rada Regencyjna, rząd wtedy sprawująca, wydaje orędzie do Narodu Polskiego i woła:

„Kierując się dobrem Ojczyzny — postanawiamy Radę Regencyjną rozwiązać, a od tej chwili obowiązki nasze i odpowiedzialność względem Narodu Polskiego w Twoje ręce Panie Naczelny Dowódco składamy"...

W najtrudniejszych bowiem chwilach dla Polski — On brał odpowiedzialność.

I Piłsudski zaczął rządzić, podjął walkę najistotniejszą, o której dziś mówić trzeba.

Oto pokonawszy wrogów Polski — Polakom wydał walkę — najgroźniejszą, najżmudniejszą — bo walkę o ich Morale.

Wykorzeniał z nich małość i złość przyziemną, prywatę i wszystkie wady, które do upadku ich przywiodły.

Stąd znów, gdy na tem miejscu wspomnienie najtkliwsze Wodzowi poświęcamy, mówić nam trzeba o tem, że wielkość Polaków, że niezaprzeczona już potęga Polski, że ład w niej zaprowadzony, że przytłumienie w społeczeństwie małości i wyplenienie warcholstwa, że armja moralna, wielka, prężna i gotowa — Jego zasługą i Jego są pracą.

I zawsze już w tym kraju będzie — że kto o powstającej Ojczyźnie mówić będzie, o Józefie Piłsudskim mówić musi.

— — — — — — — — —

Jakże innym był Piłsudski i jakże inną rolę w Polsce spełniał, niż tylu dyktatorów Europy współczesnej.

Skrył się w historycznych ścianach listopadowego Belwederu. Żył i pracował samotnie.

Był Sędzią lub Wodzem.

Jeśli się zwracał do Narodu — to dawał rozkaz lub wyrok. Jeśli się pokazywał na tle żelaznych pułków — to tylko dla wojska. Jeśli tępić Mu przyszło słabość i warcholstwo polskie — to je łamał. A gdy z wiosennem słońcem, z szumem chorągwi, z tysiącem barw i dźwięcznemi obchodami przychodziło święto Jego Imienia, — odjeżdżał bezgłośnie, cicho.

Piłsudski patrzył na Naród z perspektywy lat 1000. Piłsudski czuł tragizm Polaków, dziejowy tragizm, polegający na przeciwnościach i przeciwstawnościach społeczeństwa polskiego.

Widział, że na przestrzeni całej naszej historji zawsze czyn oręża, czyn żołnierza, czyn nielicznych bohaterów — zawsze, zawsze — o słabości polska! — o sto mil wyprzedzał powszechną bezwolę, powszechne niezrozumienie i powszechną bezwartość. Widział tragizm Polskiego Narodu, co wydając bohaterów, na największą miarę dziejową zakrojonych — wojowników przesławnych, męczenników i ofiarników, wszystko dla Ojczyzny oddających, ludzi ponad zwykłych — jednocześnie sam w swej masie pozostawał szarym bezkostnym, bezwolnym.

Czemże bowiem był Sobieski wśród tysięcy słabej szlachty, do pracy nad własnym krajem niezdolnej — czem Zamojski wśród usankcjonowanego bezprawia, czem Mickiewicz wśród szarzyzny, czem Traugut wśród małości i niezrozumienia — czem setki wielkich ludzi, bohaterów, mężów stanu, poetów, wojowników, mocarzy, genjuszów — gdy byli w społeczeństwie najczęściej... anomaljami. Gdy społeczeństwo samo obok nich było tak słabe, że (jak historja mówi nieomylnie) za nimi nawet postępować nie było zdolne.

Każdy z tych ludzi w społeczeństwach zachodnich ruszyłby i wstrząsnął Europą — w Polsce szli swojemi orlemi szlakami, a społeczeństwo dalej postępowało swoją wydeptaną ścieżką — jakże często, często — w kółko.

Widział Piłsudski Polaków — Naród przeciwstawności niezmiernych i tragicznych, bo do tradycji już i do historji wchodzących. Naród bohaterów największych i warcholskiej poziomej masy — mężów stanu i ogólnej powszechnej bezświadomości, poetów z Bogiem — mówiących — i powszechną małość i prywatę, pałace i chaty kurne, najwznioślejszy, przesławny honor Polski i powszechne pieniactwo — MOC i SŁABOŚĆ!!!

Powiedział przecież: „Dziwnym Narodem są Polacy, gdy kto myśli, że to stal — okazuje się nagle, że to... masło. A gdy kto uwierzy, że to

masło i chce ich odpowiednio użyć — okazuje się nagle, że to... stal".

J. Piłsudski chciał bodaj ogniem białym wypalić te przeciwności—i małości polskiej wojnę wydał. Prowadził ją długo i uparcie — poprzez akcję swą rewolucyjną, poprzez czyn legjonowy, poprzez majową rewolucję, poprzez rządy mocne.

— — — — — — — — —

I niewątpliwie Naród Polski wszedł na drogi czynnej realizacji (poraz pierwszy może w historji) już POWSZECHNEGO ZDROWIA, POWSZECHNEJ MORALNOŚCI, POWSZECHNEJ STAŁOŚCI I MOCY. I to gwarantuje nam najmocniej przyszłość przodujących w historji — mocniej niż pakty i traktaty, niż takie czy inne narzędzia polityczne, niż taka czy inna konstelacja międzynarodowa.

Polacy podjęli hasło największe, najtrudniejsze i najpotrzebniejsze nam — (jakże często pięknoduchom historji) wychodząc na spotkanie myśli J. P., że:

„Idą czasy, których znamieniem będzie wyścig pracy, jak przedtem był wyścig żelaza, jak przedtem był wyścig krwi".—Tym czasom wyszliśmy na spotkanie — z wiarą, że w nich miejsca odpowiednie zajmiemy.

To co osiągnięte zostało w ciągu czasu niepodległości dowodzi niezbicie, że Polacy zeszli ze starej, historją uświęconej drogi, na nową.

Oto Polska — państwo, o którem sąsiedzi mówili, że „państwem sezonowem" jest tylko — weszła do rzędu państw najpotężniejszych w Europie, wewnętrznie skrzepła, zwarła się mocno.

Porządkuje gospodarkę, naprawia ustrój, umoralnia obyczaje polityczne, likwiduje dysproporcje, buduje, wznosi, ulepsza.

Podczas, gdy inne społeczeństwa znajdują się w ciągłych najprzeróżniejszych zamieszkach, albo trzymane są w żelaznych karbach dyktatury — społeczeństwo polskie bez gwałtownych przewrotów, bez krótkich spięć społecznych osiąga spokój i harmonję wewnętrzną. Gdy w innych państwach promotorem działalności społeczeństwa jest strach przed terrorem, wspaniała technika rządzenia, lub psychoza masowa, opadająca potem jak fale — w Polsce gruntuje się, acz powoli lecz nieustępliwie, nowe wyobrażenie, dyscyplina ducha — wytwarza się właśnie pojęcie: MORALE SPOŁECZNE. Zawiera ono w sobie pierwiastki, najniezbędniejsze dla życia państwowego, obejmuje sobą mianowicie: uczciwość życia politycznego, zrozumienie konieczności pracy twórczej dla państwa, zrozumienie konieczności całkowitej reformy ustroju (już częściowo zrealizowanej).

„Jesteśmy w tem szczęśliwem lub tragicznem położeniu — mówił Marszałek — że musimy być wobec naszego położenia geograficznego albo państewkiem małem, szukającem opieki i oparcia we wielkich potęgach — albo państwem potężnem, wielkiem".

Mamy wolę być państwem wielkiem, mamy wiarę w naszą misję dziejową: chronienia kultury zachodniej, przed zalewem Wschodu i krzewienia tej kultury na wschodnich rubieżach Europy i mamy wiarę w naszą misję dziejową wśród narodów bałtycko - czarnomorskich.

My musimy być państwem jednem z najpierwszych w Europie i najszybszemi krokami do tego zmierzamy. Jeszcze wybudujemy drogi, jeszcze zbudujemy koleje, okręty, jeszcze uprzemysłowimy nasz kraj, podniesiemy rolnictwo, jeszcze odrobimy wszystkie zaległości 150 lat niewoli i Polska będzie pierwsza, pierwszą potęgą, tak jak Naród Polski był zawsze pierwszym... w tragedji.

A że Jego genjuszem i sercem to osiągnęliśmy i osiągamy dalej, że On był Nauczycielem naszym i Wodzem — że smutno nam przecież po Nim, smutno i żal po Marszałku — przeto pod tą podobizną tu Jego w tej księdze pamiątek naszych drogich ze służby w S.P.R.A. piszmy te słowa nienapuszone i szczere...

Starcze umęczony za życia trudem walk i pracy nadludzkiej — i duchu mocarny, człowieku zwykły, w sposób zwykły rozpadający się po śmierci — i Piłsudski nieśmiertelny — oto my podchorążowie, żołnierze prości i prosto kochający, choć już niema Ciebie wśród nas — Tobie zawsze — Tobie ślubujemy... ślubujemy...

Podchorąży Jan Kozielewski.

ISTOTA ŻOŁNIERSTWA

Wychodzimy ze Szkoły Podchorążych.

Wracamy do codziennych zajęć cywilnego żywota.

Różnemi pójdziemy drogami po opuszczeniu tych murów, co nas łączyły. Jedni odetchną pełną piersią, pozbawieni trudów wojskowego dnia, inni — może wielu — zatęskni za prostem, choć znojnem żołnierskiem życiem.

Cóż wynieśliśmy jako wniosek z tego okresu życia?

Wspomnienia chwil wesołych i smutnych, błyszczenie w mundurze, twarze serdecznych kolegów, wiadomości fachowe — jak wszystkie wspomnienia, zatrą się, wyblakną... i miną.

Nie może minąć to, co nie jest wrażeniem, lecz uświadomieniem sobie, potwierdzeniem wiecznie żywych, elementarnych niemal praw.

Gdy daleko zostaną poza nami — w czasie i przestrzeni — zbiórki, koszary, ćwiczenia, gdy pomyślimy o wojsku z perspektywy ogarniającej całość, muszą się pojawić proste słowa regulaminu: „Jedną z głównych podstaw wartości wojska jest jego siła moralna, a najistotniejszą jej częścią jest namiętne dążenie do zwycięstwa, do zgniecenia i ostatecznego pokonania nieprzyjaciela oraz wiara w powodzenie swego oręża: płynące stąd zaufanie do siebie jako żołnierza". W świetle tych słów istota żołnierstwa spoczywa w żołnierzu, w jego wartościach moralnych, w jego charakterze. Tam jest główny czynnik potęgi wojska, wszystko zaś inne albo z tych wartości wypływa, albo stanowi tylko instrumenty. Tylko takie wojsko odnosi zwycięstwo, którego żołnierze mają moc ducha, pogardę śmierci i energję walki, rozpalającą się w ważnych chwilach życia Narodu potężnym płomieniem bohaterstwa pól bitewnych.

Nie wystarcza tylko męstwo i sprawne wychowanie kadry zawodowej, choć bardzo wiele od niej jako wychowawczyni w ciągu służby i ćwiczeń, zależy. Dziś minęła epoka wielkich kondotjerów, wojen prowadzonych przez śmiałe jednostki, stan, czy klasę. Nie stan rycerski walczy w wojnie, lecz cały Naród. Wojna to rzucenie na szalę dziejów sił całego Narodu do walki o jego życie, rozwój lub zagładę, o zepchnięcie jego bytu na tory wegetacji, lub rozpostarcie przed nim nowych pól ekspansji.

Pomijając fakt bezsporny, że technika nowej wojny przez rozwój broni motorowych, przez agresywność, szybkość i zaskoczenie nowoczesnej doktryny wojny, niesłychany rozwój lotnictwa stawia wnętrze kraju wobec całkowitej możliwości zaatakowania ogniem i gazami — samo zaopatrzenie armji w sprzęt i materjał wojenny, utrzymanie dawnej i wzmożonej produkcji wymaga intensyjnej pracy całego społeczeństwa na tyłach wojsk walczących — w kraju.

Niemniej zaangażowani są w prowadzeniu wojny ci, co walczą na froncie, jak i ci, co na tyłach pracują.

A na froncie żołnierz wtedy jedynie dobrze się bije, jeśli wie, że za nim stoi niezłomna wola całego społeczeństwa, stoją miljony rodaków, którzy pracują i modlą się dlań o zwycięstwo, że tam, gdzie zostawił swych najbliższych, cząstkę swego serca, nie znajdzie posłuchu żadna wroga agitacja, żadna dywersja. Tragedja walki na froncie bez oparcia na społeczeństwie jest zbyt wielka, ponad siły ludzkie. Ma tylko jedno rozwiązanie: klęskę armji i upadek Narodu.

Oczywista tedy jest konkluzja: przygotowaniem do zwycięstwa jest nietylko wyszkolenie fachowe, lecz nadewszystko wychowanie społeczeństwa.

Nie jest to łatwa rzecz i banalna rzecz.

Wychowanie społeczeństwa to praca wieków. Nie załatwi jej ani jednostka, ani nawet państwo — potrzeba zgodnej pracy wszystkich czynników, a przedewszystkiem społeczeństwa samego. Wieki wpajają nam w serca cnoty żołnierskie. Spuścizną krwi i łez ojców naszych, tysięcy, miljonów Polaków, są elementarne uczucia miłości Ojczyzny, których się nie wyrozumowało, nie wyfilozofowało, ale które tkwią w nas instynktownie. A silniejsze są nieraz w chłopie lub robotniku, niż w zwichniętym umysłowo inteligencie.

Przejść do porządku dziennego nad tem zagadnieniem nie można przez zdanie się na motor dziejów.

Praca świadoma społeczeństwa wiecznie wreć musi. Nietylko bowiem w czynach doby dzisiejszej — jak w czarodziejskiem zwierciadle odbija się nasza przeszłość, dziedzictwo błędów i zalet, lecz i w przyszłości ujawnią się błędy czasów minionych.

Polska nie ginęła w wyniku końcowej fazy jej niepodległego istnienia, gdy nad nią jaśniał promienny renesans w konstytucji 3-go Maja, i Komisji Edukacyjnej, gdy najświetlejsi mężowie, jak Albertrandy, Staszic rozumieli w ca-



ppułk. mgr. Jan Filipowicz

łej pełni powody jej upadku i wszelkiemi siłami starali się mu zapobiec. Upadek był następstwem wielu wad narodowych, przedewszystkiem zaś wypływał z upadku cnót rycerskich i narodowych, ze zmaterjalizowania szlachty, które się poczęło już w pamiętnej uchwale, co wymagała zwołania Sejmu, by szlachta zechciała walczyć z wrogiem poza granicami kraju.

Dzisiaj, w dobie kryzysu, nietyle materjalnego, ile moralnego, w dobie głębokich wstrząsów podstawami naszego dotychczasowego życia, coraz bardziej upowszechnia się myśl o gruntownej przebudowie i odrodzeniu świata. Najtęższe umysły głowią się nad tem, by spotęgować wszelkiemi siłami czynniki, spajające i łączące gmach naszej cywilizacji.

A jednocześnie poza i ponad głowami polityków czy myślicieli, proces życia wyłania z pod namułu taniego frazesu i pustej demagogji silne instynkty narodowe, jak miłość Ojczyzny, odwaga i męstwo, stanowiące samoobronę narodów i państw na podłożu niemal biologicznem.

Jest podaż na idealistów — można tak modnym dziś językiem powiedzieć. Po fantastycznym rozwoju materjalizmu XVIII i XIX wieku szuka się nowych, śmiałych dróg i nowych ludzi, którzyby potrafili po tych drogach prowadzić. Nie jest to idealizm typu romantycznego, chlubiący się pięknemi zwrotami, liryzmem uczucia, fantastycznością pomysłów — jak wątła roślina, nie przystosowany do życia na ziemi. Współczesny idealizm jest światopoglądem, głęboko zapuszczającym korzenie w najmocniejsze pokłady ludzkich uczuć, umiejącym należycie ocenić właściwy spiritus movens, jakim jest psychika narodu, niedoceniana jedynie przez barbarzyńską filozofję materjalizmu.

Ten światopogląd stanowi istotę żołnierstwa. w duszy ludzkiej.

Żadne traktaty, pakty, mowy, frazesy i zjazdy nie zmienią oczywistego faktu, iż krew stanowiła i stanowi wieczysty zaczyn historji, i że za cenę jej przelania zmienia się rozwój narodów i zmieniają się granice państw. Cała Europa, więcej — cały świat nigdy nie był podzielony na kratki, w których mieszkaliby bezpłciowi i zespoleni w swych dążeniach „emeryci", mający na swe usługi chytrych prawników, lecz zawsze był wiecznym teatrem wojny, gdzie zwyciężali i rozwijali się silniejsi, a moralniejsze społeczeństwa podbijały upadające, pogrążone w waśniach, materjalizmie i niedołęstwie.

Ogromną wolę w psychice żołnierza odgrywa odwaga. Iluż dzisiaj mamy ludzi prawdziwie odważnych?

Jakże wielu ludzi boi się własnego cienia, nie



ppułk. Karol Galster

umie wyznawać żadnych zasad, odważnie przyznać się do swych myśli.

Ludzie, którzy miast kręgosłupa mają gutaperkę, nie mogą stanowić ani silnego społeczeństwa, ani silnej armji. Bakcyl tchórzostwa, to fatalna epidemja wieku. Walcząc więc o zdrowie moralne ogółu, od swego zacząć należy. Odwaga na polu walki nie powstanie z obawy przed kulą, czekającą jako kara za dezercję w objęcia wroga. Odwaga to podporządkowanie się wielkim nakazom wbrew własnemu tchórzostwu fizycznemu, poddanie swej małej natury dyktaturze wielkich dążeń, małych odruchów — wielkim instynktom.

Ta odwaga powstaje w codziennem życiu w dążeniu do wielkiej skali, w odwadze myślenia, szczerości z samym sobą. Jej geneza tkwi w otwartej walce, w obronie drogich ideałów, z których naigrawa się z obłędną pasją cynizm wieku, usiłujący je wciągnąć do własnego zgniłego rynsztoku.

Odwaga ma swe źródło w moralności, potężnej moralności, bez której nie może istnieć siła zbrojna.

Trucizna amoralności, rzucona zwłaszcza między tłum, podważa nasz byt, kruszy ład społeczny, niszczy fundamenty Państwa i Armji.

Czegóż od nas wymaga zastanowienie się nad istotą żołnierstwa? Walki o nowy ideał obywatela.

Rzeczywistość, w której żyliśmy, spaczyła gruntownie sens tego pojęcia. Obywatel, ten który korzysta w naszych poglądach z pełnych praw, ba nawet z szacunku, to tylko człowiek, mający pewne minimum środków do życia, pozorną zgodność z kodeksem karnym, nie rzucające się w oczy błędy.

Któż zadaje sobie trud, by oceniać moralność obywatela, moralność względem społeczeństwa. Czy tworzy on cywilizację, Naród i Armję, czy niszczy ją i rozbija?

„Obywatelem — powiada Mickiewicz w „Księgach Pielgrzymstwa" — nazywano człowieka, który się poświęcał za swoją ojczyznę, jak Scevola, Kurcjusz i Decjusz, a poświęcenie takie nazywano obywatelstwem. Ale potem w bałwochwalczem pomieszaniu języków nazwano cywilizacją modne wykwintne ubiory, smaczną kuchnię i wykwintne karczmy."

Wielkość cnót żołnierskich, istota żołnierstwa leży w czystem nieskażonem pojęciu obywatela. W soczewce jego moralności stapia się w nierozerwalną całość Naród i Armja. Prosta i niekłamana jego moc to podwaliny wielkości społeczeństwa.

Przestaniemy nosić karabin, lecz nie ustanie nasza służba wobec Armji. Poza bramami i murami koszar nieść musimy *wolę. Wolę wielkości Narodu, jego przyszłości, dalekich ognistych szlaków dziejowego przeznaczenia.*

Jako żołnierze będziemy i musimy walczyć z własną małością, *walczyć z szeregiem drobnych i codziennych ofiar i codzienną pracą* o lepszą przyszłość Narodu i Państwa.

A gdy zajdzie potrzeba, nie możemy się wahać, — nic nas nie powstrzyma od złożenia ofiary największej... własnej krwi.

Podch. Ryszard Szczęsny

NOWE DROGI USTROJOWE POLSKI WSPÓŁCZESNEJ

Obecne granice w połączeniu z ekspansywnemi dążeniami sąsiadów Polski współczesnej przypominają pod wielu względami sytuację Polski historycznej XVIII stulecia. Bliższa jednak analiza wykazuje dla teraźniejszości położenie trudniejsze.

Bo kiedy Polska historyczna, podobnie jak Polska współczesna miała otwartą granicę od zachodu, to przecież granica wschodnia Polski historycznej była częściowo oparta o Dniepr. To już jest jedno, chociaż mniejszej wagi, pogorszenie współczesnych granic, groźniejszem jest zmniejszenie się odległości obu granicznych południków, zachodniego i wschodniego, które zbliżały się ku linji centralnej, t. j. linji Wisły, wkońcu, — gdy w Polsce historycznej granica północna opierała się na wielkiej przestrzeni o morze, obecna północna granica na północy przedstawia przydługą, nienaturalnie wygiętą, łamaną linję, która wytwarza sąsiedztwo z kilkoma państwami.

Tak więc zagadnienie granic Polski współczesnej, choć zbliżone do problemu granic Polski historycznej, jest w kierunku obronnym o wiele



Mjr. Mieczysław Kułakowski



Mjr. Józef Pyrek

trudniejsze i mieści w sobie większą ilość czających się powikłań i niebezpieczeństw.

Zagadnienie granic Polski współczesnej komplikuje się w związku ze stanem psychicznym dwu mocarstw sąsiednich, których zaborczość już fatalnie zaciążyła na losach Polski historycznej. Wolność Polski szlacheckiej XVII stulecia niczem nieskrępowana, wyradzająca się w anarchiczną rozwiązłość, stykała się u swych granic z oświeconym absolutyzmem, więc z ustrojami państwowemi, rządzonemi w sposób absolutny o sprawnej władzy, znacznej ruchliwości, a nawet o dążeniach zaborczych. Polska historyczna nie wytworzyła w sobie należytej siły obronnej, która mogłaby sprostać temu naciskowi zewnętrznemu. Anarchizm Polski historycznej był możliwy tylko przy zupełnem geograficznem odosobnieniu, przy jakiejś pozycji wyspiarskiej, wtedy tylko mógł on przepalić się bezkarnie w sobie, przełamać się i ewolucyjnie wytworzyć jakąś możliwą do życia konstrukcję ustrojową. Przy granicach otwartych, przy zaborczości ze wszystkich stron naciskającego oświeconego absolutyzmu — musiał on doprowadzić do katastrofy.

Problem granic oraz posłanniczość sąsiadów występuje w dobie dzisiejszej o wiele silniej, jaskrawszem jest niebezpieczeństwo, od strony sąsiadów wschodniego i zachodniego. Oświecony absolutyzm nie przenikał w głąb społeczeństwa, był on w gruncie rzeczy masom obcy i przez nie znienawidziony, skupiał się w nielicznych grupach szlachty rodowej i biurokracji, koncentrującej się około tronu absolutnego monarchy. Dziś siła dynamiczna obu sąsiadów jest wiele groźniejsza, — wszak obejmuje całość społeczeństwa.

O Niemczech i Rosji współczesnej możemy bez przesady powiedzieć, iż są to państwa, które w czasie pokoju mają nastawienie wojenne w każdym razie pod względem psychicznym. W Niemczech to psychiczne bojowe pogotowie opiera się o nacjonalizm, w Rosji na przeciwieństwach społecznych i tej nienawiści, jaką żywi proletarjusz do wszystkiego, co w jego pojęciu jest burżuazyjnem.

Przytem tak Niemcy jak i Rosja działają w swem mniemaniu jako realizatorzy idei posłanniczych. Te idee nie działają powierzchownie, nie są one własnością jakiejś uprzywilejowanej warstwy, one sięgają głęboko w masy, mają charakter powszechny. Stąd też ich dynamika o wiele potężniejsza, a utajona siła ekspansywna niebosiężnie przewyższa ekspansję ówczes-



Mjr. Albin Rak

nego absolutyzmu XVIII stulecia. W tym kierunku sytuacja współczesnej Polski przedstawia się, bezstronnie reczy biorąc — gorzej.

Bezsprzecznie sytuacja wewnętrzna Polski współczesnej góruje nad anarchicznemi stosunkami Polski XVIII stulecia, lecz czyż także sprawnością administracji nie odznacza się zachód i wschód; więc ta dodatnia pozycja znosi się wzajemnie po obu stronach. Natomiast niewyrównaną pozostaje pozycja zewnętrznego psychicznego nacisku. Tej całej dynamice posłanniczej sąsiadów Polska współczesna niczego nie przeciwstawia nietylko w kierunku ofensywnym ale nawet i obronnym.

Społeczeństwo nasze żyje odnośnie do tych zagadnień w stanie beztroski i nie ma należytego zrozumienia problemów. Działają tutaj może reminiscencje stosunku do państw zaborczych, które w umysłowości starszego pokolenia nie dadzą się już usunąć, może pozostałość wygórowanego pojęcia o wolności i swobodzie obywatelskiej, sięgająca czasów Polski historycznej, w każdym razie silnemu naciskowi psychicznemu z zewnątrz na ściany graniczne — Polska współczesna nie daje należytego odporu. A jeśli uwzględni się, że nasi sąsiedzi dysponują obok starszej rządzącej generacji nerwowo już wyczerpanej, a tem samem ostrożniejszej, generacją młodą, która nie przebyła wielkiej wojny, której rozmachu nie miarkują klęski niepowodzenia, ale którą ponosi wielki entuzjazm i posłanniczy fanatyzm, to wówczas społeczeństwo nasze w tej płaszczyźnie wystąpi w wyraźnym kontraście. I dlatego przebudowa psychiczna, a co zatem idzie przebudowa takich pojęć, jak jednostka, państwo oraz ich stosunek do siebie jest koniecznością.

Polska w ostatnim okresie lat kilkunastu przeszła ciekawą ewolucję w dziedzinie ustrojowej. Po kilkunastu latach rządów zupełnego parlamentaryzmu nastąpiła zmiana w kierunku pojmowania państwa. Zwrot ten nie pociągnął bezzwłocznie zmiany pisanego prawa konstytucyjnego. W rzeczywistości jednakowoż rządy parlamentarne ustały. W miejsce indywidualizmu, demokracji reprezentacyjnej przyszła do głosu wiara w autorytet Józefa Piłsudskiego. W kierunku formalnym zmiany ustrojowe uwidaczniają się w nowej Konstytucji, w której przebija się nieznana w klasycznem prawie państwowem nadrzędna władza prezydenta, który harmonizuje działania naczelnych organów państwowych — oraz rozstrzyga konflikty między temi organami, ponadto uwidaczniają się tam nowe pierwiastki, określające nowy stosunek jednostki do państwa.

Tchnąc ducha w martwą literę, spowodować myślenie społeczeństwa kategorjami nowej Konstytucji, zespolić obywatela z całością Państwa i Narodu, to nasze zadanie, zadanie kół ideowych, choćby na małych nawet odcinkach.

podchor. *Seidler*

SOWINIEC
KWIECIEŃ 1936



U STÓP WIELKOŚCI

Wielkie tradycje zespalają bardzo silnie Naród, niejednokrotnie silniej, niźli mowa i obyczaje. Niekończące się wycieczki do krypty św. Leonarda, tysiące, tysiące taczek ziemi, dobrowolnie sypanych na kopiec, hołdy przed trumną Marszałka zagranicznych nowoakredytowanych dyplomatów i dygnitarzy państwowych, rozpoczynanie urzędowania każdorazowego wojewody krakowskiego od złożenia milczącego ślubowania przed zwłokami Jego, coroczne przemówienia Prezydenta przez radjo w wigilję Jego Imienia—to są między innemi owe przejawy rodzącej się tradycji w Polsce, związanej z życiem, dziełami i zgonem Wielkiego Marszałka.

Mają być ogniwami, zespalającemi społeczeństwo, mają wskazywać na potrzebę czystości, ofiarności i uczciwości w życiu społecznem, mają przypominać obowiązki wobec Ojczyzny.



Program naszego kursu tegorocznego przecięty został wyjazdem całej Szkoły do Krakowa. Nie miała to być turystyczna wycieczka — jechaliśmy na Wawel właśnie, jako jedna z tysiąca pielgrzymek do ciała Józefa Piłsudskiego. Jechaliśmy na Sowiniec, by złożyć tam urnę z ziemią naszego placu ćwiczeń i sypać zbiorowo kopiec Marszałkowi, — wyrażając w ten sposób hołd jego Wielkości i wierność Jego Idei.

Uroczystości, związane z tą pielgrzymką rozpoczęły się już w przeddzień wyjazdu.



Dnia 5 kwietnia w uroczystej formie odbyło się w Szkole pobranie ziemi na Kopiec. Wobec wyprężonej w kolumnach Szkoły — przy dźwiękach przenikliwej i pełnej Od Tamtego Dnia już chyba na zawsze głębokiego smutku melodji Pierwszej Brygady, w towarzystwie przedstawi-

ciela Rządu—miejscowego starosty i burmistrza — w atmosferze powagi i skupienia — kopał ziemię szpadlem Komendant Szkoły. Ziemię wziął Pan Pułkownik z tego placu ćwiczeń, na którym wprawialiśmy się do służby żołnierskiej, który chyba bez przesady powiedzieć to można dużo, dużo potu z nas po uczciwej i wiernej pracy wchłonął, który zresztą widział tu i nasze dni pełne słońca, spokoju i równowagi ducha, i nasze dni pochmurne, ciągnące się znojem i tęsknotą.

Kopiec Wielkiego Marszałka zamienia się dzień po dniu w mogiłę wszystkich polskich mogił — cóż mogliśmy dorzucić do niej, my, najmłodsze żołnierskie pokolenie Nowej Polski, jak nie ziemię naszej pracy i służby żołnierskiej — ziemię naszego placu ćwiczeń.

Wiemy i spokojni jesteśmy, że nie sprofanuje ona kopca, leżąc obok tysięcy innych grud, skrwawionych krwią najlepszych i najofiarniejszych pokoleń o Polskę i dla Polski walczących — bo choć nie jest ziemią krwi — ale jest napewno ziemią twardej i znojnej, uczciwej pracy żołnierskiej dla Polski — *a więc miłą Jemu.*

W Krakowie przywitał nas dywizjon artylerji, delegacje całej artylerji Krakowa, dźwięki marsza Pierwszej Brygady i serdeczne przemówienie *pułkownika Hertla:*

„Kochani Podchorążowie! — mówił pan pułkownik — witam Was w imieniu Komendanta garnizonu, swojem i całej artylerji Krakowa, reprezentowanej dziś przez delegacje. Celem głównym Waszego przyjazdu jest oddanie hołdu prochom Wielkiego Marszałka. Pamiętać jednak jako artylerzyści musicie, że Kraków jest kolebką polskiej artylerji, gdyż stąd 400 lat temu wychodziły pierwsze reformy z zakresu artylerji, przeprowadzane przez króla Zygmunta I, a w zeszłym roku minęła trzechsetna rocznica reformy króla Władysława IV, ustanawiająca pierwszą stałą zwierzchność „Starszych dla armaty".

I z tego dworca krakowskiego, na którym dziś spotykamy Was, — żołnierzy wolnego, potężnego Państwa — w roku 1914 wychodziły pierwsze baterje legjonowe, idąc w Karpaty i do Królestwa, aby połączywszy się pod rozkazami Komendanta—wytyczać pociskami granice państwa.

Witając więc Was — życzę Wam, abyście z tego podwawelskiego grodu, posiadającego tyle pamiątek oręża polskiego wynieśli rozpęd do pracy ku chwale Rzeczypospolitej i przepięknej naszej broni — Artylerji."

Na drugi dzień maszerowaliśmy na Wawel...

W milczeniu, w powadze, skupieni przechodziliśmy obok Jego trumny.

Co sobie każdy z nas myślał, przenikając kamień trumniska — Jego zostanie własnością. Ale chyba te myśli i te uczucia najlepiej scharakteryzowałyby nas wszystkich, nasze istotne wartości i nasz do Wielkości, Dobra i Piękna stosunek.

Na Kopcu witał Szkołę Dowódca Okręgu Korpusu Nr. V, generał Mond — przed złożeniem ziemi przemówił Komendant Szkoły:

„Żołnierze!

Wierna miłość żołnierska dla Wodza, uwielbienie i najgłębsza cześć dla mocy Ducha i genjalności umysłu Wielkiego Marszałka, bezgraniczna wdzięczność dla Wskrzesiciela Polski i Jej potęgi, w której mamy zaszczyt służyć, przywiodły nas tutaj z dalekiej ziemi wołyńskiej, — gdyż wszędzie, gdzie tylko bije polskie serce — żyją najlepsze i najszlachetniejsze uczucia dla Tego, który nas z nicości do życia powołał, który nauczył nas wierzyć w siebie, który nauczył obcych Polskę szanować.

Przynosimy z sobą garść ziemi, przepojonej codziennym trudem i uczciwą pracą żołnierską, oddawaną ze szczerych serc i ze wszystkich sił naszych dla dobra kraju i dla potęgi Państwa.

Żołnierze!

Wzywam Was, byście uczcili tę podniosłą chwilę skupionem minutowem milczeniem, ślubując Wodzowi Narodu przed trybunałem własnego sumienia, że zawsze — w myślach i czynach — pozostaniecie wierni Jego wskazaniom."

Teraz marsz Pierwszej Brygady — salutowany palcami, przyłożonemi do czapek, wyprężonemi postaciami i gorącem tętnem krwi.

Ten Marsz wchodzi już w krew Polaków, ten Marsz staje się i musi się stać własnością całego Narodu, Jego Melodja ma w sobie sentyment epopei bojowników o Polskę i głębię uczuć najcenniejszych.

Jego słowa mają w sobie dumę czystej ofiarności i dumę Wielkości.

Zamyka w słowach kilku — całą miłość Ojczyzny. —

„Najdumniejsza pieśń Polski" — powiedział o nim Marszałek.

Jak długo jeszcze czekać będziemy, aż na Jego dźwięk zdejmować się będzie kapelusze i stawać na baczność i salutować?

aż wejdzie na najwyższy piedestał?

aż stanie się HYMNEM NARODOWYM...?

Tak myślałem, gdy dźwięki I Brygady kończyły uroczystości naszej pielgrzymki.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Potem długo, długo sypaliśmy Mu Kopiec.

Podch. Jan Kozielewski

0-2 przez 26

Życie nasze, które początkowo nosiło miano wegetacji zmieniło się w krótkim czasie. Pobyt w Szkole stał się znośniejszy. Sympatje zadzierżgnięte między kolegami stały się trwalsze. „Cywilne" nawyki przebrzmiały, sztuczność poszła w niepamięć i staliśmy się wielką rodziną „kanonierów z cenzusem", jak mawiał p. mjr. Płotnicki, nasz Wódz.

Dobrze nam było! prawda Adaś?

Ty zresztą nie masz powodu do rozpaczy.

Rozumiem Władka Buzka, zamiłowanego w wygodach, każdego wieczora wspominającego puchowy zagłówek i nocną szafkę, że mógł postękiwać i przeżywać ataki czarnych myśli.

Wspomnij Janka Gilowskiego, Siebenajera!! Of Hakensona, b. kandydata lotnictwa, grafologa Kowalskiego, Francuskiego jegera vel szwoleżera Radwan Radwańskiego i „kuzia mać Jabłeckiego" (Nowak), pierwszego kandydata do 44, Waryszaka — ich humor, te gęby roześmiane, nachylone nad stosem drwiących regulaminów. Lżej ci będzie.

Postaram się przedstawić nasze typy, codzienny capstrzyk, który trudno jest sobie wyobrazić bez 6-go zastępu, zawsze bardzo wojowniczo nastrojonego, krewkiego i żądnego boju.

On to potrafi zawsze tak uderzyć w „słabą stronę" tajemniczego Maga, że ten wnet zapała chęcią odwetu i walka słowna rozgorze w całej pełni, często poparta argumentem w rodzaju rozwalonego łóżka, koca czy zagłówka.

6-ty zastęp przedstawiał najbogatszą, a zarazem najciekawszą galerję (w całem tego słowa znaczeniu) typów. Tam obok tęsknych wzdychań za „Danutą w snach wysnutą", czy inną „Halunią" (Nieprawda p. of. Makenson, spocznij) i szczytnych ideałów Janka Bochenka, dźwięczały srebrne gamy śmiechu, humoru — 6-ty zastęp „robił" nastrój. 6-ty zastęp debiutował pod 44, 6-ty zastęp wydelegował Adasia Brzozowskiego do biegu prymusów.

Sąsiadował obok zastęp piąty z pod znaku Władzia Czornego (zaprzyjaźniony).

Posiadał on w swem gronie magistra praw, fordansera, (Edzio Kuźmo), zakład fryzjerski (Firma Bayer i S-ka), kilku „zawodowych" graczy w trzy karty, wreszcie kilku naukowców, jak również wydawców encyklopedji (Baryłkiewicz, Czorny, Pilawa).

Jeśli chodzi o magistra, to wesoły „gwiazda syberji" dawniej zwany był „Lopkiem" (z powodu nos!). Przywykły do rozważań filozoficznych musi zawsze o wszystkiem wypowiedzieć swe zdanie, nawet rozkazy podlegają jego dyskusji. Jak każdy genjalny człowiek, był mocno niezaradny życiowo, to też ginęły mu zawsze różne rzeczy, których nigdy nie mógł odnaleźć w szafce, a że miał czułe żołnierskie sumienie — przechodził męki Tantala przed każdym apelem. O jego głowie powiedział ktoś, że „odźwierciadla wewnętrzne przeżycia jej właściciela".

Czwarty zastęp — najwięcej wydał p. o. szefów i innych „mocnych" ludzi. Tam — obok „dobrych" typów można było znaleźć i inne wprost przeciwne do nich. No — ale mniejsza o tych ostatnich. Spójrzmy na Mieczka „Liwego" — Porządny chłop (tylko, że z twarzy przypomina mi jakiegoś wygnańca Syberyjskiego), albo na Józia Dębnickiego. Ten, zakochany w jakiejś Maryli, można go było zobaczyć, albo



grającego na patefonie Continentala, albo piszącego list do swej ukochanej. Było tam jeszcze wiele innych typów: Dwóch „braci Sjamskich" (Józiu Haliński — Stasiu Słomkowski). Władziu Buzek, Maciejewski (niekrewny — kata) oraz Bogu ducha winny Sereczyński (b. p. o. szef.).

Zawsze zachowam o nich najlepsze wspomnienia — zawsze najlepiej niewątpliwie będziemy myśleć o sobie — połączyły nas bowiem silne węzły, węzły *żołnierskiej solidarności w służbie.*

Podchorąży *Konstanty Lietz.*

A kto chce rozkoszy użyć...

Wstawał chłodny wrześniowy ranek, gdy pociąg, wiodący z Warszawy straceńców, dojeżdżał do Włodzimierza. Do opisu podróży naszej trzebaby wezwać pióro od mego bieglejsze, naprzykład Dante ładnie ująłby taki opis (wprawa nabyta przy „Boskiej Komedji", a zwłaszcza części o piekle, byłaby wielkim atutem), a ilustracje Doré'go wybitnie przyczyniłyby się do podniesienia infernalnego nastroju.

Nie silę się więc na próby odtwarzania naszych tortur, zauważę tylko mimochodem, że na podłodze wagonu doskonale się śpi, i że Polska posiada świetne, bardzo pakowne i wytrzymałe wagony kolejowe.

W drodze śpiewaliśmy przeróżne piękne utwory w rodzaju: „Od Krakowa jedzie fura..." (dotychczas nie rozumiem czemu Waligóra tak chętnie popijał „czaj, czaj, czekoladę... i t. d.). Wesoło było jednak zaledwie trzy godziny, a potem humory przygasły i wszyscy poczęli „żydy wozić".

Już wtedy poczyniłem spostrzeżenia nad mymi przyszłymi kolegami. Spotkałem później paru w Szkole. Imponująco wyglądali niektórzy, z atletyczną piersią, potężnemi barami i bohaterską postawą. Trochę gorzej prezentowali się później na badaniu lekarskiem, gdy owe herkulesowe bary i piersi zostawili w przyległej sali, a sami, nagusieńcy, robili przysiady i dmuchali do blaszanej bańki. Przekonałem się, że jednak „suknia zdobi człowieka!"

No, ale w wagonie jeszcze o tem nie myślałem.

Przypominam sobie, że przyglądałem się długo Jurkowi Kałuskiemu, zastanawiając się, czy przypadkiem syna do wojska nie odwozi. Potem okazało się, że on właśnie odwoził siebie samego. Zmyliły mnie binokle, wąsy i ogólny wygląd, przypominający spokojnego gryzipiórka.

Następnie uwagę mą zwrócił jakiś chłopczyk mizernego wzrostu, z bladą twarzyczką i czarnemi włoskami; o tym myślałem, że pewnie tatusia odprowadza, ale i tu myliłem się, bowiem owo homo jechało samodzielnie. Miłe to chłopię, o bardzo cudackiem nazwisku Löwis of Menar, okazało się bardzo zepsutem dzieckiem w dwudziestej wiośnie życia. (Wprawdzie to była jesień, ale wiosna ładniej brzmi).

Innych sobie nie przypominam, a zresztą powietrze było bardzo gęste i nieprzejrzyste, więc dobrze się nie mogłem rozejrzeć.



SPRA
na nartach






Jak się więc rzekło, wstawał smętny ranek jesienny. Przybyliśmy do Włodzimierza. Peractum est!

Na stacji oczekiwała nas delegacja S. P. R. A. — samochód pod nasze bagaże, oraz kilka osób stanu wojskowego, mających nam wskazać drogę do koszar. Część rekrutów, będących przy gotówce, udała się tam dryndami, reszta przespacerowała się na rodzonych nogach.

Miasto na pierwszy rzut oka wydało mi się bardzo ładne. Okazało się potem, że słynne jest z hodowli wojska i żydów.

Koszary wyglądały dość groźnie. Po wstępnych ceremonjach zebrano nas w wielkiej sali, przyozdobionej chimerycznemi malowidłami, gdzie długo, z tajoną trwogą oczekiwaliśmy na Nieznane.

Zjawiło się wreszcie, poprzedzone przez ogniomistrza. P. Major G. popatrzył z uśmiechem na sfinksowej twarzy na zebraną tłuszczę, wszedł na podjum, stanął za stołem i skinąwszy na pomocników — rzekł:

— Weterynarze wystąpić!

Zebrała się spora kupka kapłanów tej gałęzi wiedzy, która leczeniem bydlątek poczciwych (akurat! Madame Loulou i poczciwa!) się zajmuje.

Załatwiono się z nimi szybko, gromadząc wszystkich w „groźnych" szeregach specjalnie dla nich stworzonego oddziału.

Potem:

— P. K. U. Warszawa!

Tłum cały runął przed podjum i czekał w milczeniu. Po chwili obojętny głos:

— Inżynierowie i studenci technicy wystąp!

Wysunąłem się wraz z innymi. Patrzę, aliści Major stawia na kartach powołania zgrabne dwójeczki i trójeczki, symbole „pacowskie". Serce we mnie zamarło, ale po chwili zorjentowałem się w sytuacji i wycofałem się w lansadach (przypomina mi się „hrabia Tadzio") i czekam dalej. Wreszcie któryś śmielszy zaoponował przeciw tej rzezi:

— Panie majorze, ja tego, eee... tego... chciałbym do tego... artylerji konnej!

Major chwilę zastanawiał się poczem spytał:

— Kto jeszcze chce do konnej?

I wyskoczyło nas kilkunastu, nieświadomych srogiego losu, który nam się gotował (całą drogę powtarzałem sobie w myśli groźne nazwiska trzech starszych ogniomistrzów, które trwogą napawały rycerską młodzież Warszawy, no i oczywiście trafiłem do najsroższego jakoby, który, jak się potem okazało, jest jednym z najmilszych ludzi pod słońcem). Pytano nas przedewszystkiem o powody tej sympatji do daku,








no i każdy mówił, co mu język zdołał wypleść. Ja powołałem się na „tradycję rodzinną", wydobywszy z mroków przeszłości jakiegoś pradziadka, który pod Bemem walczył w artylerji konnej, no i udało mi się groźnego Majora przekonać.

Nakoniec odesłano nas do właściwego rejonu i poczułem, że nareszcie jestem w domu... oj przepraszam! — tego wcale nie czułem, ale poprostu miałem świadomość tego, że podróż moja ukończona i że jestem u celu.

Złożyliśmy nasze niezgorzej wypchane walizy pod ścianą i rozpoczęliśmy obserwację terenu:

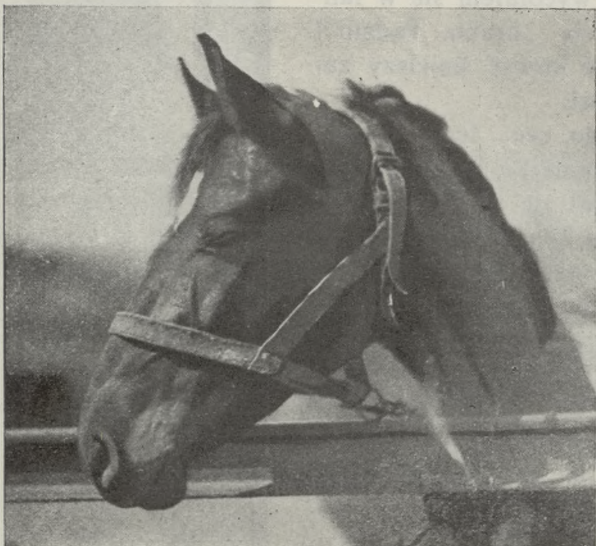
— Łóżka —? — Hm... ano łóżka...

— Twarde —? Twarde psiakrew.

Asfalt. Belki w suficie. Piece. Szafki... ale cóż my z temi szafeczkami zrobimy, przecież tu nawet połowa naszych gratów nie wlezie! (Okazało się potem, że z bólami, ale jakoś wchodzi).

Ktoś ukazuje się na sali, ach! to nasz przełożony!

Porucznik — dakowiec (dziś kapitan), wywarł na nas wzrostem, postawą i dystynkcją ruchów potężne wrażenie i odrazu poczuliśmy do niego wielką sympatję.



Parę minut porozmawiał z nami i wyszedł. Potem zjawia się znów jakiś dakowiec. To plutonowy F. Szedł po sali, lekko i groźnie poruszając oczyma i przelotnie badając nasze fizjognomje. Wkrótce zawiązała się rozmowa i poczęliśmy w tej pogawędce pomału zapoznawać się ze służbą wojskową (narazie tylko „akustycznie").

Później dokonał przeglądu nowicjuszy oschły napozór i surowy, a tak w istocie serdeczny, i potem szczerze pokochany przez nas kapitan Rankowicz, który tak nam potem imponował swą brawurową jazdą konną. Kiedy zebrało się nas więcej i poczęto nas troszkę mundurować, poznaliśmy zacnego plutonowego od regulaminków i onuc, który nam także i listy wydawa. Złoty to człowiek i choć raportami straszył i różnemi karami, nikomu krzywdy nie wyrządził.

Kaprala też poznałem nieco później, gdy prowadził W. F. „Raz! — dwa! — tsi!... liewa, liewa, czego ten dziad sakramencki kroku nie trzyma, niech go krew zaleje!" Szkoda, że troszkę sepleni, ale zato jest ładnym chłopcem i lubimy go wszyscy.

A teraz — pssst!... Cicho,. żeby licha nie budzić! Dwie groźne osoby, postacie bajeczne, nieobecne tymczasem, ale niedługo wrócą. Jedna — to wódz — podobno straszny koniarz, i druga — szef oddziału. Karmiono nas zgóry „autentycznemi" opowieściami, w których ich osoby odgrywały role wcale niepoślednie. Były to historje, od których słuchania można się było nabawić nerwowego strzykania w kręgosłupie.

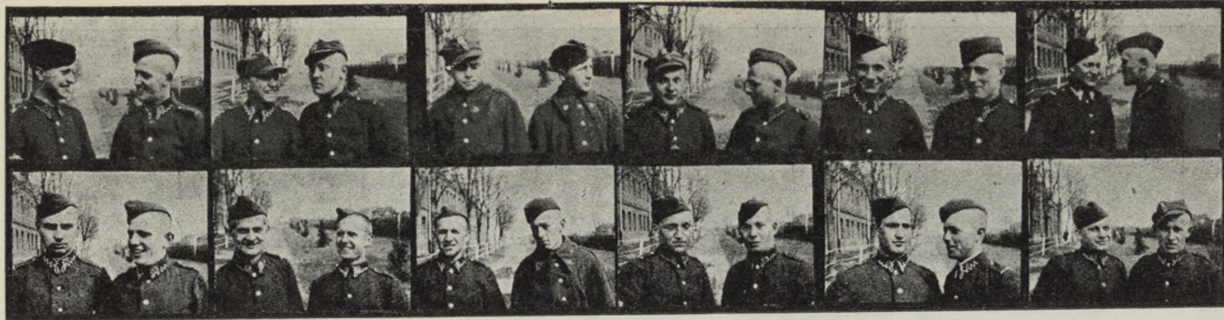
Na różnych niewinnych rozrywkach zeszedł nam czas do wieczora. Później była bardzo smaczna kolacja (chleb i herbata) i wreszcie ułożyliśmy wymięte ciała na twardych wyrkach, a skołatane głowy na zagłówkach (czemu nie „półgłówkach", przecież taki aparat starcza zaledwie na połowę głowy!).

Och! Co to za błogi był sen... Morfeuszu! Ty czasem bywasz naprawdę boski!

Rano poderwał nas ze snu okrzyk: „Pobudka, wstawać!" Wstaliśmy i poczęli słać łóżka. Jakże to nędznie szło! Przecież teraz nawet Cezary, czy „Prezes — niebożę" wstydziłby się takiego łóżka. I tak zaczął się pierwszy dzień naszej służby.

Tak się jakoś w międzyczasie złożyło, że na salę, gdzie odbywało się przyjmowanie kandydatów do poszczególnych oddziałów, trzeba było wysłać kogoś do spisywania personalij re-


KLARNER TAUSCHINSKI



kruckich. Przyszedł pan porucznik w czasie zbiórki i rzekł do plutonowego F.:

— Proszę wysłać jednego mądrego chłopca na salę prezentacyjną, żeby spisywał nowoprzybyłych.

Zrobiłem bardzo poważną i myślącą minę i usiłowałem udawać mądrego, co jednak wychodziło dość nieudolnie i wywierało skutek wręcz przeciwny.

Mimo to wybór padł na mnie. Ucieszyłem się bardzo, gdyż nastręczała się sposobność do poznania nowych, przybywających kolegów.

Cóż za straszliwa galerja typów Lombrosowskich!

Tu dziki kozak ukrainny Czorny, tu nasz Marcin kochany z groźną, trochę obrośniętą twarzą, tu Butlerek, gnący się w ukłonach (narazie myślałem, że żydek) i ofiarowujący mi wizytówkę, dalej Hawryło poczciwy (Antek Bortkiewicz), olbrzym tatarski, istny „byk krasy", któżby wreszcie policzył te wszystkie paskudne gęby!

Ale morowcy wszyscy byli wielcy.

Zaczęła się wreszcie normalna praca. Ciężko było narazie. Kołnierze, o miękkości tylko z bardzo daleka przypominającej puch edredonowy, niemile drapały nasze delikatne szyjki, buciska nieznośnie ciężyły na nogach, a któżby wtedy pomyślał, że w tych buciarach będziemy woltyżerkę robili lekko i „wdzięcznie".

I nadomiar złego ciągle straszono nas legendarnym szefem. I wreszcie przyszedł wielki dzień — przyjechał On! Jak wyglądał, co mówił i jak nam zaczął dawać w skórę, opisują inni moi koledzy, więc charakterystyki tego wspaniałego męża podawać nie będę, powiem tylko, żeśmy go odrazu sakramencko polubili.

Choć czasem... czasem „obrażaliśmy" się, gdy nas trochę przegnał, lecz do szefa niepodobna mieć żalu długo. On tylko dobra naszego pragnął i chciał z nas dobrych żołnierzy zrobić, a to wymagało nieco pracy, bo przecież w każdej dziedzinie życia wojskowego byliśmy owym „słoniem w składzie porcelany" no i ciągle coś było źle. A artylerja jest bronią bardzo wymagającą i nastręczającą mnóstwo trudności w pracy. Weźmy naprzykład łóżka: cóż za okrutna, żmudna praca — ubijanie w prostopadłościan i „wzruszanie" słomy. Właściwie to i myśmy się wzruszali i to do łez nad naszą dolą czarną i ponurą.

A sprzątanie! Te „belki", podle się wyślizgujące z sienników i nikczemnie demaskujące swą nagość w świetle latarki elektrycznej.

No i buty, oczywiście, jakżeby, naturalnie że buty! I to ma lśnić! To są buty? To kupy błota? Jeszcze wy ich nie czyścicie?

A kostki? Przecież to ma być kwadrat 20 na 30, a nie jakiś kłębek szmat!

A koc ma być na łóżku składany tak, by „w środku była jedna trzecia, z lewego boku druga trzecia, a z prawego trzecia trzecia..."

Potem nauczyliśmy się „mylić pogonie", lecz o tych późniejszych czasach piszą foljały inni „towarzysze broni", a ja chciałem tylko odświeżyć w pamęci garść wspomnień z okresu naszego „ząbkowania" wojskowego.

Podchor. *Zb. Dmowski.*

DZIEJE JEDNEJ SPOŁECZNOŚCI

„Seidler do pana Szefa!!". Drgnąłem, i momentalnie przez moją głowę przeszły wszystkie me sprawki o charakterze niewojskowym. Wpadam do palarni i mając dość rzadką minę czekam na wyrok władcy.

„Siadajcie!", powiedział pan szef w bardzo uprzejmym tonie. Momenalnie nasunął się problem, gdzie usiąść, czy może na krześle? Sama myśl miała już w sobie wszelkie cechy nieposłuszeństwa, a jednak tym razem prowadzi-

łem rozmowę z panem szefem, siedząc nie na ziemi, ale o dziwo na krześle.

„Napiszcie artykuł do rocznika!".

„Rozkaz panie szefie". I w tej chwili ujrzałem rozpromienioną gębę bomb. Kozielewskiego, nabrał nas, bo jeśli w literaturę naszą miesza się kancelarja, nastanie koniec wymawiania się, chorobą analfabetyzmu.

Natchnij swego sługę potężny Marsie i Ty Sowiooka Ateno, bym mógł opisać rządy potężnych władców, Rumlów, Boreckich i Buzków!!

W zamierzchłych czasach rządzili nami wielcy wodzowie, którzy ujrzawszy nas, zaszczepili instynkt wojny. A ponieważ, jak ogień działały ich słowa, przeto ogniomistrzów miano im dano. Za małym, a oni zbyt wielcy, bym mógł opiewać ich rządy.

Z pośród władców naszego ludu pierwszym był Aleksander Łysy (Rumel). Z kawalerją był silnie związany, stąd jazdą uszczęśliwił swego Sępa, a nikt z takim entuzjazmem nie nadziewał się na biednego konia w czasie woltyżerki jak on, ale łączył go nietylko ten węzeł fizyczno-koński, przeżywał również wszystkie walki kawalerji z Budziennym. O tem mieliśmy możność wiele słyszeć. Jednem słowem był to pistolet, nie, raczej cała armata. Aczkolwiek u jego boku wyrastał następca, on obdarzon został nieśmiertelnością przez Olimp oddziału. Czasem doświadczało go niepowodzenie urlopowe, a wówczas łysy nasz władca umiał się znaleźć na wozie i pod wozem, wszakże był on wynalazcą podwozia. Rządził on wiecznie, a biada tym, którzy wzniecili gniew nieśmiertelnego wodza — wodzów.

A kiedy znużony Aleksander Łysy usunął się w cień, by służyć tylko radą przyszłym władcom i w chwilach ciężkich prowadzić oddział np. gdy Olimp alarmował nas, władzę objął Władysław Poczciwy (Buzek). Nazwę tę dostał — bo jako szary piechociarz naszego szczepu prowadził życie poczciwego pastora, obarczonego tuzinem dzieci. Złoty wiek nastał w naszej kohorcie, dosłownie srebrny, wszak obarczeni zostaliśmy srebrnym ciężarem belek, a złoty sen śniliśmy tylko o urlopie. Karność Rumlowska rozpuszczała się w chemicznem sercu Poczciwego Władysława.

Złoty wiek minął, a szczep nasz znalazł się pod znakiem potopu i gdybyśmy mieli siedzibę w Afryce, to przy naszej intensywności noszenia wody Sahara zamieniłaby się na Polesie.

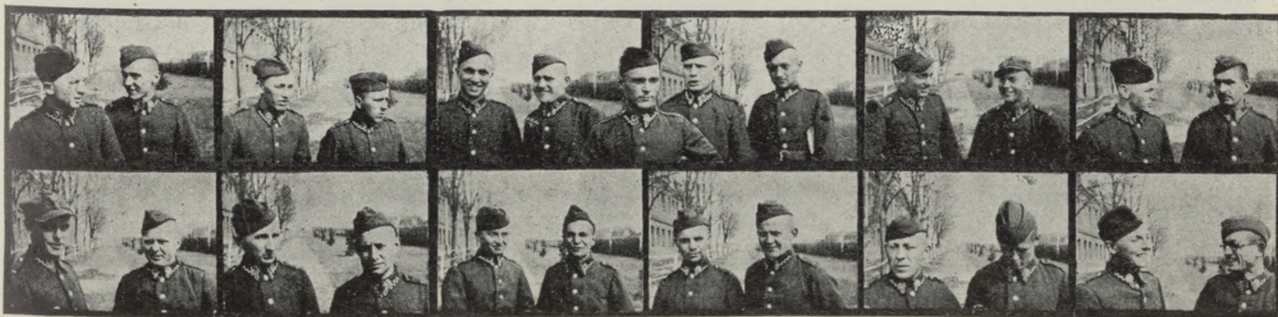
Z tego potopu wody wyłonił się nowy władca Marcin Panie Kochanku (Borecki). Kochał się, — tajemnica Poliszynela, a ciągle nieosobowo używane słówko „panie" było znamiennym znakiem wprowadzenia form towarzyskich. Historyk dopatrzyłby się wpływu na tego monarchę wysoce towarzysko wyrobionego pana Butlera.

Potem władał nami Zdzisław Dobrotliwy (Sereczyński), a kiedy ustąpił skończył się okres spokojny i nasz szczep został wstrząśnięty walką o władzę. Otóż młody następca tronu Marjan Czupurny (Drost) w poczuciu swej władzy ponoć sprzeciwił się wodzowi wodzów Aleksandrowi Łysemu. Wieści te dochodziły do nas już zniekształcone przez wielogębną famę, wszakże śmiertelnym nie jest danem znać życie swych wodzów.

Zdetronizowany Marjan Czupurny dzięki wielkoduszności mieszkańców Olimpu ostał się w szczepie i nie został strącony w lochy zamczyska 44. I nastał okres bezkrólewia, władzę sprawował ponownie Olimp, złowrogi lęk opanował nasz szczep, nie śmieliśmy stać przed obliczem władzy, raczej pełzaliśmy całując świętą ziemię.

Długo się Nieśmiertelni Olimpijczycy namyślali, azali komu powierzyć nawę szczepu. Trzeba było kogoś twardego, jakiegoś Macieja! Znaleźli!! Eugenjusz Rogoząb (Maciejewski) zasiadł na tronie. Srogi był to władca, pokazał swoje rogi, a ząbkiem niejednego ukąsił. Później historja dała mu miano Czyściciela, jako że w czasie długiego panowania Macieja nagminne inspekcje pociągały za sobą najrozmaitsze czyszczenie.

O władcy współczesnym pisać nie chcę, bo nieopatrznie mogę wywołać gniew Szklanookiego Jerzego (Kałuski), a wówczas biada mi! Obok władców tych istnieli wiernie oddani im ministrowie.



Pierwszym był minister uzbrojenia Konstanty Wycior (Lietz). Chudy, wymokły ten mąż stanu mógł powodować raporty przez wysoce nieodpowiedni sposób obserwacji, zagłębiającej w lufy karabinów. Srogi jest pan, rządzący na stołach, lornetach, taśmach, tyczkach i wazelinie, tem bardziej, jeśli za nim stoi Olimpijczyk (plut. Forysiak).

Mundurów władcą był Filip Baryłka (Filipowicz). O! — szastał on koszulami jak komitet dobroczynności. Siedziba tego władcy zmieniała się z końcem każdego tygodnia na komorę gazową (brudna bielizna), ale są to cierpienia władców. Cierpiał więc pan Baryłka za... bieliznę.

Rolę karbonarjusza nadwornego spełniał Zbrojewski, a chociaż takie miano nosił, daleki był od wszelkiej zbroi, co więcej, był zdecydowanym wrogiem instrukcji strzelania.

Finanse natomiast szczepu naszego złożone były w ręce kapitalistów, których przedstawicielem, a zarazem ministrem skarbu był otyły imci pan Ludwik Pobożny (Biliński), najlepszy teoretyk, a gorszy praktyk jazdy konnej. Pochwała historji jednak jemu należy się, zastał bowiem palarnię glinianą, a zostawił murowaną.

Poza tymi dygnitarzami w szczepie naszym istniała arystokracja, ludzie o wyrobionem podniebieniu gastronomicznem, najlepsi znawcy kuchni — kontrolerzy kuchenni. Władza też, dbając o ich szanowne zdrowie, wyznaczała kolejkę w sprawowaniu tego synekuralnego urzędu i przez to samo zmniejszała się ilość kandydatów do Izby Chorych, dotkniętych dolegliwościami żołądkowemi.

Tak więc reszta naszego narodu to szary plebs, na tle którego od czasu do czasu wyrastały jakieś kwiatki. Nie kwiatkiem, ale już perłą sportu był Janusz Telefonista (Klarner), organizator Igrzysk Olimpijskich, ponoć autor książki „Biegi maratońskie w S. P. R. A."

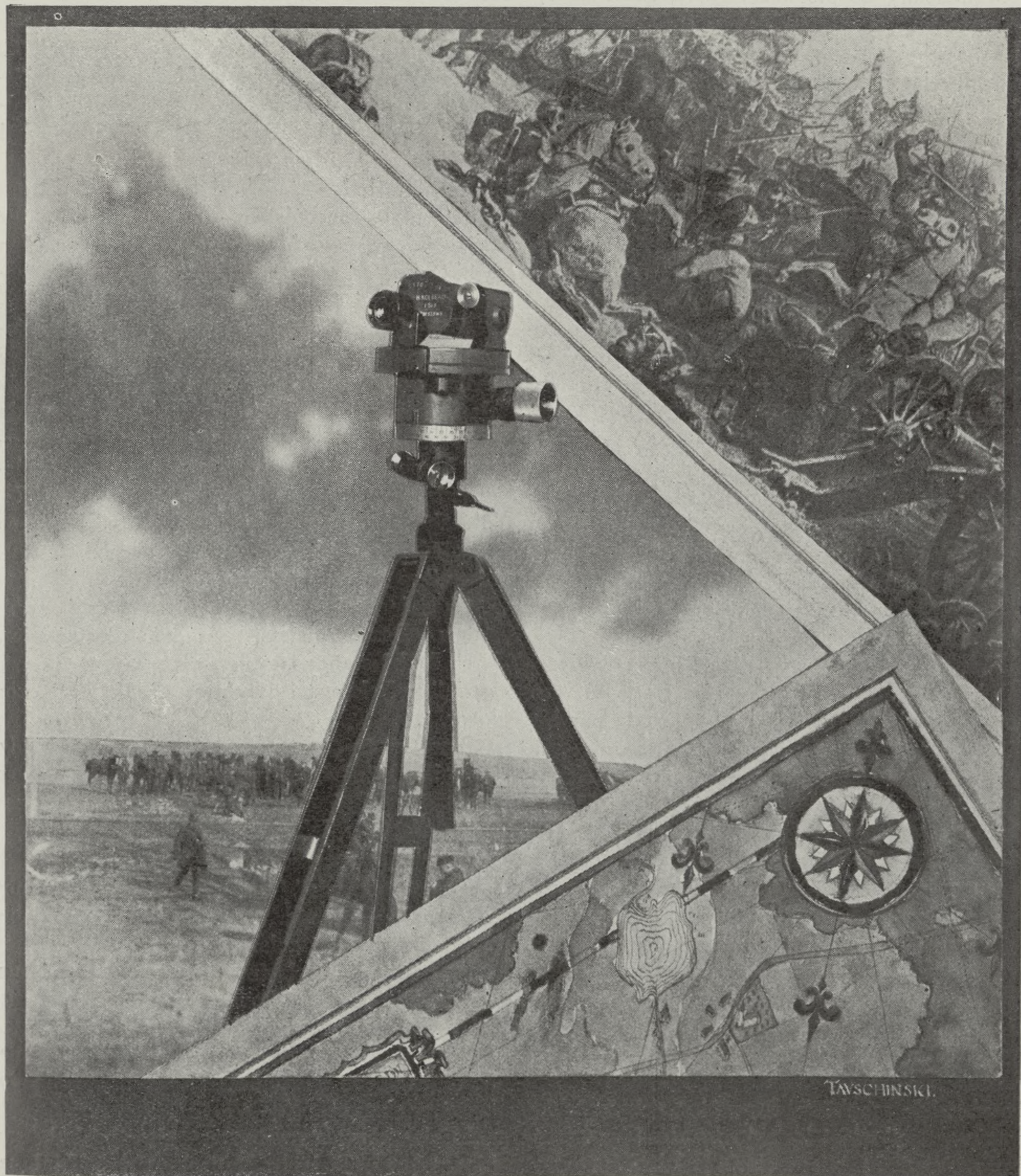
Ale najgłośniejszem echem w szarzyźnie dnia naszego odbiła się walka o głowy między cyrulikami naszego szczepu. Wyrywanie włosów połączone było z wzajemnem wyrywaniem sobie głów. Objektywizmu w tej sprawie zachować

nie mogę, bo wierzę niezłomnie w cudowne dziecię Robertusa. „Rower, zegar, co mu wpadnie. Wszystko on naprawi snadnie!“ (Bajer).

Ustęp o Władziu Czornym został skreślony srogą ręką cenzora, skąd jednak jego działalności, jaką rozwijał w naszej gromadzie (wojskowej nie samorządowej) w pewnej mierze przedstawią rysunki naszego domorosłego artysty, Józia Fokczyńskiego.

Jeżeli obraz życia naszego szczepu posiada pewne ułomności, to uzupełni go szanownym czytelnikom genjalny Oluś, wszechwiedzący Narkiewicz.

podch. Seidler



DAKOWCY

„Strzeż się szpiegów, pamiętaj o tajemnicy wojskowej". Okrutna ta maksyma dominuje nad całą naszą salą. Z tej to długiej sali w prawo i w lewo widać „jaskinie" — rezydencje szczepów. O tych, którzy je zamieszkują, ku wiecznej pamiątce pisał będę. Oni bowiem wszyscy stanowili w r. b. dziarski oddział „dakowców". (O niemniej dziarskich „art.-piechach" pisze kto inny).

Wchodzimy do pierwszej groty, gdzie „zbójców było szesnastu, brody zgolone, kręcone wąsiska, a z boku szabla im błyska". W grocie obozują dryblasy okrutne, starsi panowie przeważnie i nadomiar złego wszelakiego rodzaju „dygnitarze".

Zacząć wypada od największych kalibrów — szef szefów — negus negesti — starszy klasy, bombardjer Łumel (Aleksander Rummel). Wielce przez przełożonych poważan, absolutną i niepodzielną dzierżył władzę. Za stu się odrazu meldował, za stu pytania instruktorom zadawał. Z przedmiotów praktycznych celował w przetaczaniu dział i udanych lub nieudanych wyjazdach na urlop. Mimo wysokowartościowych sukcesów woltyżerskich na biednym „Szyku", który po skoku jego, (lub autora niniejszego artykułu) malał i całą gamę wewnętrznych jęków z siebie dobywał, mimo nie mniej wspaniałego ujeżdżania dzielnego rumaka „Sępa", opuścić postanowił rycerskie hufy a. k., by wylądować w umiłowanej broni pancernej.

Zwan był przez wtajemniczonych „Rumocombiną".

Drugą gwiazdą, (O gwiazdeczko, coś błyszczała) był Marcin Wąsaty (Marcin Borecki), ten, co to „piszcie go Borecki, piszcie" stałą pan-kapitańską wykonywał komendę. Marcin nie zaliczał się do grona gorliwców z cenzusem, kiedy jednak na głowę jego starszeńskiej mości, nie daj Boże, gromy się sypnęły — stawał się srogi, lecz krzywdy nikomu nie wyrządził. Za beztroską koleżeńskość i zmysł dekowania popularny był ogólnie. Do Rocznika napisać miał feljeton p. t. „Lenistwo" — zobowiązanie swoje w ten sposób wypełnił, że nic nie napisał, — oto jedyna w jego żywocie wojskowym gorliwość.

Trzecią rybą (Oj, rybuchna) był „prezes nieboże" (Alfred Rodziewicz), wódz Koła ideol. Prezes, aczkolwiek łajza był okrutna, co łacno po układzie czapki na rasowej głowie i meldowaniu „stem" miast jestem rozpoznać było można, z niejednego pieca chleb jadał. Mimo młodego wieku, kilkunastu władał językami, wszystkie znał kraje (Polskę najmniej), jak własną chudą kieszeń bombardjerską. „Perekińczyk" istny, który na domiar złego moc plotek „high, lifu" międzynarodowego opowiadał.

„Kumplem" jego był Tońko lwowski (Antoni Sołtys), w Antwerpji podrasowany, który kołomyjsko - angielską flegmą przewyższał jeszcze poprzednika. Znawcą był poważnej muzyki, a dobroduszne „człowieku" nie schodziło z ust jego, był cichy i pokornego serca.

„Bysio Dmosio" (Zbigniew Dmowski) mianowany słusznie bateryjnym „Adonisem" — jako bas znamienity dyrygentem chóru S. P. R. A. obran został. Pyta go tedy p. major, kupkę śmiecia trzcinką trącając: „dacie sobie z tem radę?", „przyjdzie luzak, to zrobi, melduję posłusznie"— bystro odpala Zbyszek. „O chór mi idzie" — odrzekł wódz pobłażliwie. Dżentelmenem był „Dmosio" w każdym calu.

Okrutnie był ważny król topografów, „Organistą" przez pospólstwo, za podtrzymywanie chóru śpiewaków oddziałowych mianowany (Jan Witkowski). Mimo złotego zaprawdę serca zrzędził on stale i gderał.

„Zakochany" (Jerzy Kałuski), do którego nieraz trzy listy dziennie od jednej przychodziły osoby, uosobieniem był ładu i porządku. Gdy słomą raz misternie siennik napchał, noc całą do księżyca wzdychał, by nie zasnąć i nie zmierzwić klasycznego czworoboku. Za solidność nieprzeciętną szarży p. o. szefa się doczekał. Wedle słów ognistych członków „groty" brak mu ikry tylko, a p. kpt. „Wojtuś" twierdzi, że żołnierz ikrę mieć musi.

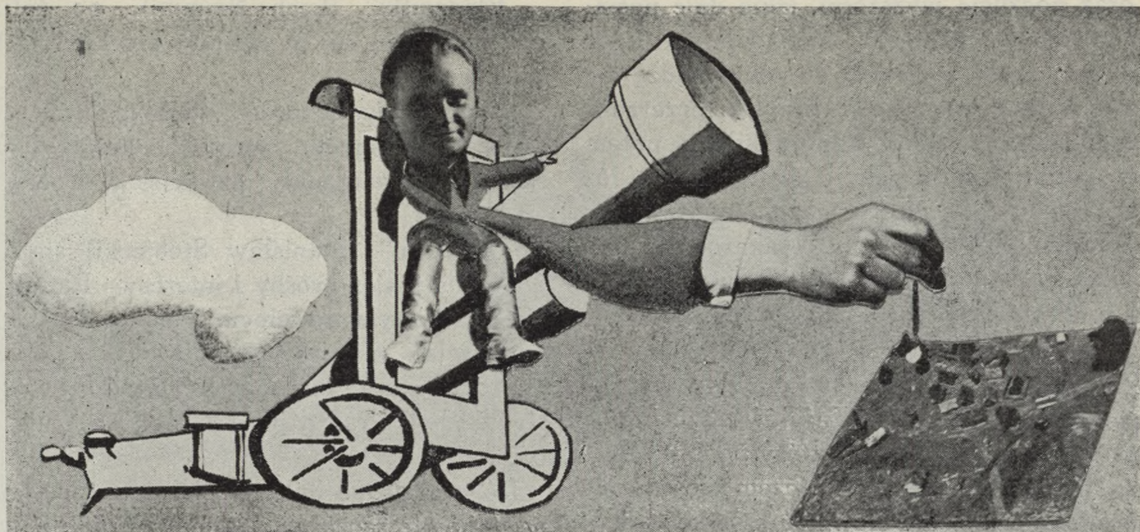
Okazałą trójcą są bracia żarłoczni (Zbigniew Roszczynialski, Antoni Bortkiewicz, Lech Łada) stanowiący jezdnych zaprzęgu „art. kuch." w kolejności dyszlowy, środkowy i czołowy.

Pierwszy to „ten z Szamotuł", któremu nigdy ni spieszno ni śmieszno nie było, jako mistrz zaprzężonej baterji na starość tytułu najlepszego dyszlowego Szkoły się doczekał.

O drugim wspomnę gdzie indziej.

Trzeci to „Łodo" (ta szefowa Łada) coraz nowe zdradzał talenta. Jako najbitniejszy kombinator instrukcji strzelania genjalnym umiał sposobem omijać sakramentalne „instrukcja nie przewiduje", początkowo posępny okazał się z biegiem czasu Don Juanem Włodzimierza, a jako ekskadet pierwszym został w oddziale „czołgistą", co spowodowało, że podał się do broni pancernej.

Wielce charakterystyczną sylwetką był hrabia rodowy (Tadeusz Butler), gdy siedział na



swym rozkopanym „Bekasie" trudno rozpoznać było, który z nich Bekas, a który Butler. Wybrany zresztą został do jeździeckiej elity treningowej. Minął się nieco z powołaniem — specjalnością jego było wożenie krzeseł i innych fortepianów, ustawianie ich na sali, dyżury w garderobie oraz lansady dworskie, jakiemi darzył gości „wspaniałych" przedstawień szkolnych.

Młody starzec to „Konkel" (Jerzy Kunkel) wielki wzrostem, lecz duchem stary, choć latami młody jeszcze, grzebać lubił w pachnących liścikach, tarzał się z „Aurą" po śniegu, wspaniałą odbył raz podróż pod wszystkiemi łóżkami na miotle w dodatku, lecz i to nie ugięło dumnego karku, o czem świadczyły falujące kolejno sienniki.

Bardzo reprezentatywną postacią jest batiuszka „Jacymira" (Jerzy Jacymirski), na banjo pięknie grywający, co powodem wszelkich zwolnień było. Wzbudzał podziw wśród dam. Miał groźnego wroga — w własnej szafce — o bałaganie jaki tam panował legendarne krążyły wieści.

— Malarz (Zbigniew Lipka) junjor wśród starców specjalistą był w dekorowaniu sali i rysowaniu nie zawsze wiernych map na tablicy. Z powodu ciężkiej choroby gardła czas długi w Chełmie przebywał, gdzie pono sercowych nabawił się dolegliwości.

Gwiazda sportowa to „Józio — nasypali piasku" (Józef Jasiewicz). Ów mistrz lekkiej atletyki był jedynym, który w pierwszym okresie otrzymał „dziesiątkę", niestety z wych. fiz. tylko.

„Juka" (Jerzy Paszkiewicz) — wilk morski wpatrzony był stale w dalekie, sine fale oceanów, gardził przyziemnościami życia koszarowego: on korsarz do wody wzdychał — morzem wódki też nie gardził — zamiłowanie do wody znajdowało pozatem ujście w mnogich „dobrowolnie" przyniesionych wiaderkach.

Czołowym jednak typem był „Szakal", „Narcyz", lub „Szwoleżer" (Janusz Żdziarski). Rycerz ten średniowieczny za kołyskę zapewne miał siodło. Pozwalał sobie okrutnie docinać. Panicznie bał się raportów karnych i spania koło hrabiego. Podobno w zaraniu swej dojrzałości opiekował się młodocianemi pensjonarkami. Zamiast lancy kawaleryjskiej przeznaczono „panu koledze" tyczkę telefoniczną tylko.

Dalej z korytarza pod kątem 1600 t. widok się arcyciekawy otwiera. Dopóki nie zapanował tam miłościwie Janusz I Łysy, dopóty porządku antytezą była właśnie grupa II, będąca jednocześnie miejscem tarć społecznych.

Grupa „chłopów" ścierała się z grupą „analfabetów", pośrodku pętali się „warszawiści" i „chłopy zatajone". O władcy tego zbiorowiska, indywidualności wielkiej, „panu" Januszu powiedzieć można, że poza wielką dozą srogości, pewności siebie, do czego się nie wziął paliło się mu wszystko w rękach, czy to sport był, czy wiedza artyleryjska, czy troczenie, czy baterja zaprzężona, wszędzie wśród nas maluczkich prym wodził.

Przyjaciel jego vice-primus oddziału Robert Tauschiński, sprytem, wiedzą i zapalczywością w gniewie również mu dorównywał. Jako p. o. mundurowy srogo dał się autorowi artykułu we znaki — nieszkodliwie zresztą. Był jednym z najmilszych kolegów.

O grupie chłopów powiedzieć należy, że zorganizowała się naskutek krzywdy członkom jej wyrządzonej, tak bowiem surowe prawo wojskowe zrządziło, że czas cały na zmianę służbę sprzątających pełnili. Łączyły ich wspólne wycieczki we własnem umundurowa-

niu, oraz poczucie wyższości, jakie daje posiadanie pewnego minimum mórg i koni. Lecz chłopy też często wojowały ze sobą. Budzę się tedy raz w nocy naskutek krzyku przeraźliwego „Makaron"... (Jan Karłowski), a potem głuchy oddźwięk bitej gęby. „Czarniutki" (Józef Krzeczunowicz) głosem zranionej dziewicy coraz przeraźliwej wrzeszczy: Makaron!!!" Filut Kolka (Mikołaj Chatisow) liczy: „po trzy kośba 5 obrotów, od prawego schody". A potem znów pełny bólu ryk „Czarniutkiego" — gdzie drzwi szafki mojej?, to sprawka typowego przedstawiciela szczepu Tajojów „Czerwonoskórego" (Robert Kornicki), który ponadto specjalistą był w przysiadach, niczem się jednak nie przejmował, będąc również wyznawcą łyczakowskiego hasła „Ta nasypali piasku".

Poza „Czarniutkim" członkiem zespołu chłopów był wyż. wym. „Makaron" vel „Goljat", vel „Stary żołnierz", vel „homo novus", gdyż po dwuletniej przerwie ponownie złe licho do Szkoły go przyniosło. W oczach naszych z wytwornego gentlemana o długich blond włosach przedzierżgnął się w zwyczajnego bombardjera.

Jako, że swój do swego po swoje zawsze ciągnie, wpadł pod zgubne wpływy głównego chłopa, Petronjusza Szkoły (Ludwik Biliński), łysina którego często rozświetlała nocne ciemności, kiedy wracając z wizyt od pp. oficerów szukał strzępów nadużywanej przepustki. Miał powodzenie u pań, jaką nie zobaczył każda mu się podobała. „Arbiter elegantiarum" zasłużył się wielce dla oddziału, jako przewodniczący Koleżeńskiego Funduszu. Jednakowym, miłym uśmiechem darzył ciągle wszystkich przełożonych i kolegów. Będąc znamienitym konioznawcą po ogonie nawet umiał rozpoznać każdą raz nawet w życiu widzianą kobyłę.

Dziś świeżo ubelkowani „analfabeci" pan-szefowe pociechy i „przyjaciele" pana plut. „generała", to: Kolka (Mikołaj Chatisow) figle wiecznie płatający, za oryginalny styl jazdy zwan był „Połamańcem", „Nono" (Henryk Nasuto) mąż ponury, lancuś warszawski (Jerzy Lipski) dzięki obnaszaniu świecy po kościele ogólnie znany, „Blacha" (Stanisław Poller), zrzęda lekka, sportowiec jednak i kolega dobry, no i włodzimierski tubylec wreszcie (Włodzimierz Nikitin), który po trzymiesięcznych triumfach w armji i trzymiesięcznym pobycie w szpitalu, jako ogólnie zdenerwowany wydekował się z wojska.

Białostocki amant Bronek (Bronisław Halicki) niedzielami uwodził piękne, o ironjo, włodzimierzanki. Miewał potem tajemne jakieś konszachty.

„Bledziutki" (Lech Neimitz), po żółtaczce i wylegiwaniu się w szpitalu powrócił w kwiecie zdrowia.

„Samborskie dziecię" (Roman Zakrzewski) z poza poważnych, rogowych okularów świecił szczerą, zawadjacką, galicyjską, trochę leniwą gębą.

„Mrozosio" (Stanisław Stobiecki) stale miał do kogoś jakieś prośby i interesy. Raczej ciężkim niż ciętym dowcipem i sporą dozą odwagi rozweselał nieraz wykładowców i kolegów. „Ostoja" nasz, jak sam osobiście mawiał, „w służbie był pies, a poza służbą św. (nie święty)".

Do twarzy mu było specjalnie z tacą kościelną. Mimo to raczej w swojej fantazji, niż w istocie skory był do wybitki i wypitki.

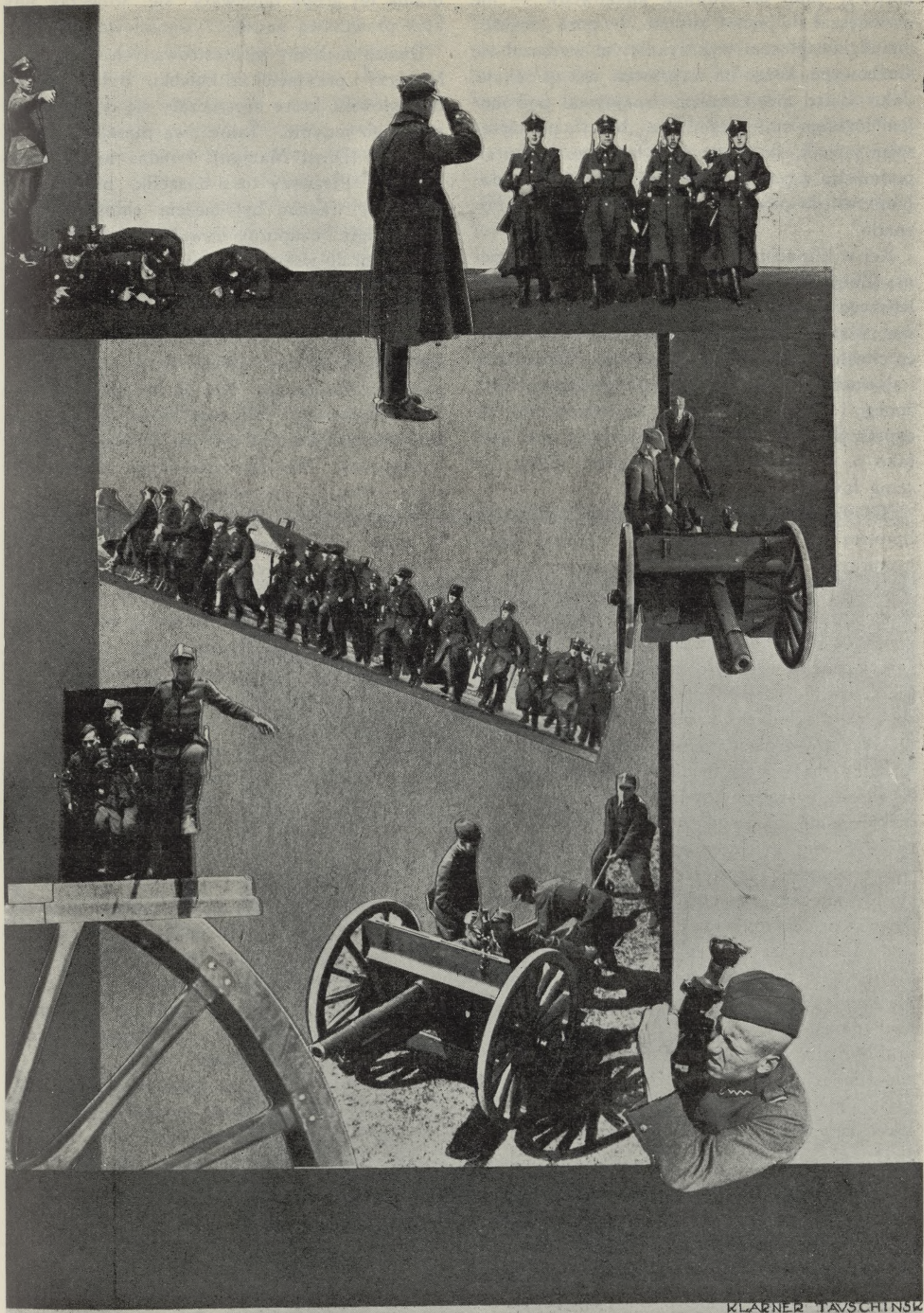
Zatajonym chłopem było niemowlę oddziału (Józef Świeżyński), które łączyło cnoty dziecka z genjuszem wojskowym. Na koniu siedział jak ulany z bronzu, w czem pomagały mu krzywe nóżki, inżynierów ku uciesze maluczkich na precelki przyginał.

— — — — — — — — —

Pod kątem 4.800t hałasuje „Froeblówka". Maleństwa tam z wyjątkiem 2-ch longinusów zamieszkują. Mali wzrostem lecz wielcy duchem są mieszkańcy trzeciej groty. I tu nie brak władz wszelkiego rodzaju, aż roi się od przeróżnego p. o. tałałajstwa, jak: gaciodajcy, karabiniarze, onucniki i inne karbonarjusze aż do samego p. o. kakaowca, ober-pistoleta, Antka włącznie.

Wysoki wzrostem lecz duchem jeszcze większy był „dziennikarz w narodowej koszuli" (Jan Kozielewski), wódz szkolnych pisarzy i gębaczy, sam mówca oraz ideolog znamienity — najpracowitszy pozatem i najwybitniejszy uczeń w S.P.R.A. Do wojska przyjechał blady i wymokły, wystrzegając się cnotliwie wszelkich sprośnych śmiechów i pogwarek — dziś silny jest i krzepki fizycznie także, choć wady swej zasadniczej braku przytomności nadal się nie wyzbył. Prymus raz po raz coś byczył. Zagadał się raz z pewnym ormiańskim genjuszem tak, że zapomniał o świecie i cały wykład przegadał, po półrocznym żywocie pod znakiem Marsa powitał przełożonego uprzejmem uchyleniem czapki, w kuferku, który pół sali zajmował znalazł nieoczekiwanie 27 par onuc.

Dwa miesiące dręczył nas jako pan i władca — złoty, szczery wileński „Hawryło" (Antoni Bortkiewicz). Okrutnie był głośny — mimo zamiłowania do koni — typowy był co dużo ryczy i dużo mleka pije. Raz, dwa, tszi — przegotowanie do omywalni". Tu bardzo był


KLARNER TAUSCHINSK

gorliwy, jako zawiadowca kakaowców — nie przemęczał się jednak zbytnio, bo poza „aczuść" nieludzkim głosem wykrzykniętym wyręczał się służbowymi, każąc im wyprawiać nas na sekcje. Jako sąsiad mój zarazem znajdywał pod mojem łóżkiem stale przeróżne „belki", podejrzewam jednak, że wędrowały tam one naskutek podmuchu z pod łóżka tyrana. Przez podobieństwo do pewnej murzynki zwan był „Mirando".

Rej w lilipucim wodziło rodzie lwowskie dziecię (Zbigniew Zbrojewski). Buzia jego, jako najlepszego komika przystojna skądinąd, misternie zresztą oglądana w lusterku i pudrowana. co chwilę inny grymas przybierała. W ruchach i słowach naśladował wybornie każdego przełożonego i kolegę. Ryczeliśmy niejednokrotnie po capstrzyku do rozpuku. Naprawiał rok cały jako p. o. kwaterunkowy i węglarz jedną i tę samą ławkę.

Nie mniej był ważny w rodzinie Ronald Filipowicz). Reniek „hu - sa - sa" zdobył sławę mazurzysty z bożej łaski. „Raptus nerwus" ze względu na wszechstronne uzdolnienie mianowany został szefem gaciodajów, a później drugim wybrańcem do jeździeckiej elity.

Kompanem jego było maleńkie, ale ważneńkie „bebe" (Adam Polt). Nie lubiał on nie spać na wykładach, a mimo to pistoletem był nielada. Właściwie to należało patrzeć przez lornetkę, by wogóle tę połówę zobaczyć. Kręcił się zato wszędzie i spóźniał na zbiórki. Płcią piękną mimo mlecznego wieku nie gardził. Nieraz wybawiał mnie z topograficznych tarapatów.

Trzymał się z nimi jeszcze pan szlachcic przystojny, młodszy „onucnik" (Jerzy Dobrski) jeździec jakich mało, nadzieja nasza na konne zawody, kobieciarz przytem zapalczywy, co łatwo poznać było po abonowaniu Kina i Światowida dla bawienia wzroku swego podobiznami pięknych dam.

„Pourbaiks" (Kazimierz Pourbaix) — „cóż temu winien jest, że takie dziwne ma nazwisko? (pytali niektórzy instruktorzy)" — to prawdziwa cicha woda, co brzegi rwie. Po mowie sądząc, za dziecko mógł uchodzić, polityk to jednak i żołnierz doskonały, przecież nieład w szafce niekoniecznie źle świadczy o żołnierstwie. Cóż zresztą wymagać od człowieka, który zawartość tej szafki w razie nagłych zbiórek nogą ugniatał, a w dwuszeregu stawał z koszulą na spodniach.

Za to kiedy „paczka" szła w szaserach na zabawę głośno było wokół. W każdą sobotę przed wieczornym apelem dawano biesiadę operową, kompozycji Reńka, a pod batutą Zbyszka. Zebrania tej grupy odbywały się wówczas, gdy ktoś prawdziwą paczkę żywnościową otrzymał.

Dwóch mieliśmy zarejestrowanych śpiewaków, harcerzy i przyjaciół od kolebki. Były też skromne słowiki, które ograniczały się do chóru familijnego jedynie. Takie dwa ptaszki to jeden paszkot (Drost Marjan) i jedna krępa (Jan Krępa). Pierwszy to p-o.-szefik, pistolet nad pistolety, trzecim był mężem całości. Jasio „oddaj igłę" czupurny bywał nieco. Obaj byli chłopcami do wszystkiego, wszystko im szło jak z płatka, nie wyłączając mazura.

Specjalną grupę stanowili „cynicy" pod wodzą don Józe'go (Misiewicz Józef), absolwenta Korpusu Kadetów, arkany sztuki dekowniczej na wylot znającego. Nic go nie mogło wytrącić z równowagi. Mistrzem był w opowiadaniu przygód różnych, aż pot mu na łysinę i szkła występował. Nietylko zblazowana mina świadczyła o bogatej przeszłości.

Dziura w czole i cięcie przez oblicze nie tyle może o bohaterstwie wojennem, co raczej o awanturniczym żywocie gorącokrwistego i na wdzięki kobiece czułego don Joza świadczyły. A potem „przygadałem, że bracie facetkę, klawa była i t. d., za chwilę drugą, trzecią, też niczego była. Cwana zgrywa bracie?"

Towarzyszem tych niecnych gawęd był „Grzybek" (Leon Żebrowski) — starzec pomarszczony z obleśnym uśmiechem na cynicznej gębie — „dej ognia brecie" — mawiał nałogowo. Człek ten jednakże, wielką miał nad pospólstwem przewagę, — poetą był — z bogami gadał. Natchnienie miewał po każdej poczcie lub przesyłce.

Prawnik, chroń Boże artylerję przed tą nacją, (Jerzy Szczerski), wiele miał cech charakterystycznych, np. uzębienie, trzonowe zęby z przodu i to bez rejestrów, a siekacze z tyłu. Celował w „dotykaniu" bo zanim co zrozumiał sto razy dotknąć musiał. — Pozatem bardzo „sympatyczny" młodzieniec.

Zawodowi służbowi to Henio wiedźma (Henryk Sztekler). Najlepszy sprzątający, bardzo uczynny kolega i fotograf doskonały. Zaprawiał się na cow-boya na koniu „Wiwacie".

Drugi to kołomyjsko-warszawski Anglik (Jerzy Lövis of Menar). Słynął z uszczypliwości i temperamentu, ale zdolnym i dobrym był kolegą.

Trzeci to „Łajkajtis" (Zygmunt Łaukajtys), graj w kącik Zygmusiu graj, a pozatem nie przejmuj się dalej niczem. Zacny z ciebie chłopak, tylko krew twoja żmudzińska wolno jakoś, wolno płynie. Festina lente — śpiesz się powoli.

Osobno traktować należy „lepszego faceta" (Cezary Plater), który aczkolwiek drugiej był członkiem grupy za gościa uchodził. Na zajęciach fizycznych nie bywał — przecież grzać musiał „wątchobę w izbie chorych", pod względem bałaganu przewyższał mnie. Porządkowaniem zresztą zajmował się oddany Miecio z innego oddziału, a gdy tego nie było musiał biedny Cezary luzaka o gwałtowną pomoc prosić, bo guzik się urwał, lub porteczki rozpruły. Raz w miesiącu miał zamiar, lecz nigdy do tego nie doszło, przezornie chowanemi okruszkami traktować kolejno wszystkie grupy. Mimo, że z szlacheckiego wywodził się rodu, sknera był okrutny. Martwił się pół roku, że dał szewcowi dwa złote zadatku. Posiłki ze względu na dyjetę spożywał w kantynie, gdy zapomniał wówczas zamknąć szafkę podpadał p. plutonowemu „generałowi". Fruwały chlebaki, futerka, szaliczki, sweterki, kubraczki, po całym budynku. Część zwisała smętnie na lampie, część tarzała się pod łóżkami. Dopiero Miecio w kilka dni później doprowadził wszystko do ładu. Gdy siedział na „Cyrance", lub zrywał ją do skoku ,poznać było, że kawalerzystą jest z urodzenia

— — — — — —

Jeśli w przyszłości przeglądać będziecie te wspomnienia nie gniewajcie się na mnie. Nikogo dotknąć nie chciałem. Sądzę, że miło jest przypomnieć sobie tych wszystkich, z którymi służba wojskowa pogodnie i wesoło mijała.

Podchor. *Lerski — Sołtysik Jerzy.*



Kpt. Marjan Schneikart

PIERWSZE WRAŻENIA

Obrośnięci cywile znikają poza bramami koszar, czujnie strzeżeni przez wartę. Uczucie bezpieczeństwa opanowuje wszystkich na widok mocnych ogrodzeń. Łatwiej przemknąć się przez biblijne ucho igielne niż przez koszarowe sztachetki. Zmiana trybu życia następuje raptownie, a nawyczki, wynikłe ze złotej wolności, dostają bezlitośnie w łeb. Sroga władza przydziela każdego do odpowiedniej izby. Element najbardziej wartościowy garnie się do drugiej, bo jak chodzą gadki zeszłych roczników, tam było i jest najlepiej.

Obowiązkowe postrzyżyny odbywają się w dość swoistym humorze. Grzywy płowe, czarne i ryże z hukiem spadają na ziemię. Plączą się w nich nogi balwierzy. Niecodzienne święto jest dla łysych. Ich wypomadowane czaszki mało odbijają się od głów kolegów. Poczekajcie tydzień, wtedy i tak każdy odróżni te kule bilardowe na waszych szyjach. Dość, nie mówmy o nich; zbyt łatwo się poślizgnąć, wsiadłszy im na głowy.

Życie normalne. Niektórzy są nawet bardzo zadowoleni. Życie w wielkiem skupieniu wciąga wszystkich do współżycia, do przyjaźni. Bez przesady. Dni upływają szybko. Znamy już doskonale musztrę — ale więcej lotną niż pieszą. Kryj się, padnij, zbiórka pod kuchnię, biegem marsz!

Retorykę zwolna poznajemy na ujeżdżalni. Tam też większość dowiedziała się coś o sobie i to z tych szczegółów, których się zwykle w metryce nie umieszcza. Nikogo to jednak nie uraża. Jedni nie reagują, bo są niepewni prawdy, drudzy patrzą na to przez żołnierskie szkła.

Nieboszczyk Kneipp, słynny zwolennik wodolecznictwa patrzy z dumą na swych naśladowców. Wszelkie bowiem niedociągnięcia kanonierów są gruntownie leczone wodą. Studnia jest tuż przy koszarach — drobnostka zaledwie 100 metrów do umywalni. Delikwent topi więc swe grzechy w kubłach noszonej wody. Nazywa się to treningiem. W pokorze ducha trenujemy się do dalszej karjery wojskowej, klnąc na czem ujeżdżalnia stoi.

Niedziele i święta...

Humor naszej władzy cenimy jak dobre wino. Niewinna to paralela. Jedno bowiem i drugie wprawia nas w dobry nastrój, pozostawia po sobie dobry smak, pobudza do lepszej sprawności, a — niestey i co najgorsze — zbyt mało ma władza humoru.

Ano taki obrazeczek. Przychodzi szef, humorek ma nadzwyczajny, — a że to jak ziewanie jest zaraźliwe i udzielające się — cała klasa gra i śpiewa, cieszy się. Chodzimy za nim jak żydzi za cadykiem. Dowcipy sypią się, twarze i brzuchy krzywią się w paroksyźmie śmiechu, oczy błyszczą jak „kok" przed przeglądem. Tak, to był naprawdę, pierwszy niezapomniany żołnierski dzień radości.

Poeci, wy którzy apoteozujecie życie żołnierskie! Dziś dopiero wam uwierzyliśmy. Dotąd byliście dla nas jedynie zwykłymi fantastami.

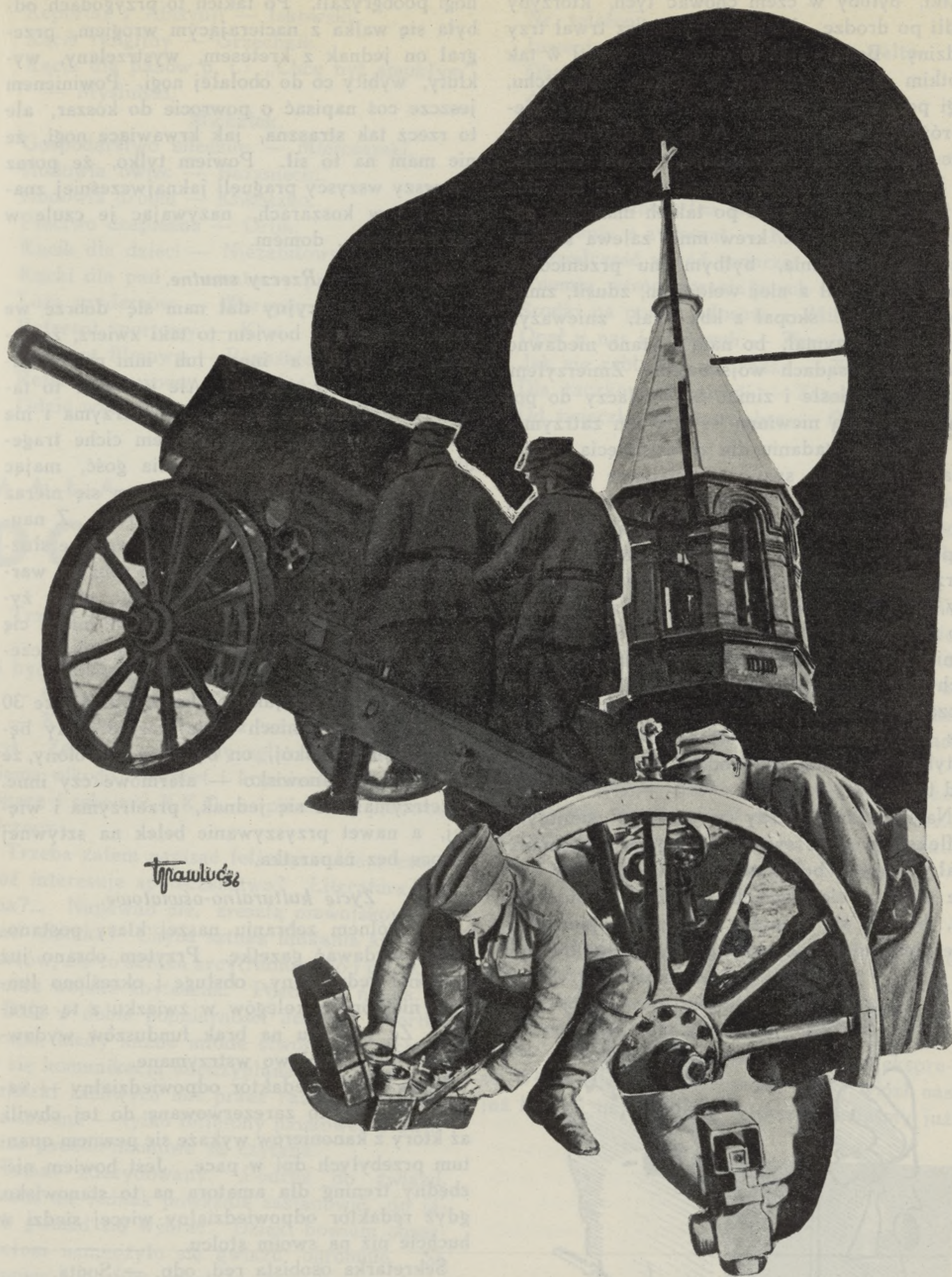
Niedziela, święto Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marji Panny oraz dzień św. Marjana. Jednak, jeżeli w tym dniu był wielki ruch, to nie z tego powodu, że chodziło nam o świętego, ale o Marjana.

Takież bowiem imię dostał na chrzcie nasz Dowódca. Jak wypada dobrze ułożonym i wyćwiczonym kanonierom, należało coś przedsięwziąć, coś takiego, coby mogło Naszego Solenizanta przekonać o głębokiej czci, jaką żywimy dla Niego. Niepomni więc dwój z nauki służby i „braterskich napomnień" na ujeżdżalni, wszyscy starali się według swej możności uświetnić ten dzień. Z rana in gremio wraz z chórem stawiliśmy się pod jego oknami, życząc wszelkiej pomyślności szczerze i poprostu. Potem wróciliśmy do odświętnie przybranych koszar na zbiórkę do rozkazu. Przy rozkazie popłakalibyśmy się jak bobry z rozrzewnienia i radości, gdyby nie to, że nie wypada płakać na baczność i na wyjściowe mundury. Po obiedzie odbyła się wspólna fotografja, ale niestety żyd patałach tak sknocił odbitki, że trudno było poznać na nich, czy to przełożeni stoją, a kanonierzy siedzą, czy też vice-versa.

— — — — — — — — —

Kochane ćwiczenia...

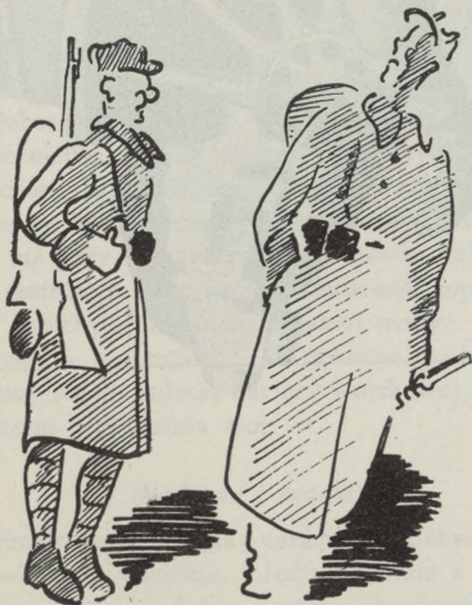
Ćwiczenia garnizonowe. O, nieba! jak to niewinnie brzmi! Myśleliśmy, że to będzie musztra piesza w gorszem wydaniu na placu, a tymczasem nie. Roluj bracie koce, ładuj plecak, chlebak, nie zapomnij o butach wyjściowych, manierce, menażce, masce, karabinie i innych „drobiazgach" i hajda na świeży wiaterek. Brakowało tylko, żebyśmy wzięli z sobą jeszcze



Dozór Nr 1

szafki, byłoby w czem chować tych, którzyby padli po drodze. Nieszczęsny marsz trwał trzy godziny. Boże! Ileż to człek przeżywał w tak krótkim czasie; posucha w gardle, brak tchu, nogi pościerane, ubranie mokre od potu i wiele różnych okropności. A tu ci taki piechociniec jeszcze nad uchem baje, że oni dziennie po 30 — 50 km. robią, chwali się, że dla nich to igraszka, że jeszcze po takich marszach zające gonią, że, że... krew mnie zalewa słuchając takiego trutnia, byłbym mu przenicował twarz lub zrobił z niej welodrom, zdusił, zmieszał z błotem, skopał z kbk-ował, znieważył, alem się wstrzymał, bo nam czytano niedawno przedtem o sądach wojskowch. Zmierzyłem go tylko wyniośle i zimno od owijaczy do polówki i z miną niewinną — gdy ten zatrzymał się w swojem gadaniu dla zaczerpnięcia powietrza — zacząłem swoje opowiadanie o artylerzystach, ludziach, którzy z pogardą odnoszą się do marszów, bo zwykle jeżdżą konno lub w powozach, choć są tak silni, że armatę o kalibrze 75 mm. noszą z łatwością pod pachą, którzy mają tak duże działo, że podczas deszczu lub zadymki cały działon chowa się do lufy i gra w niej w karty lub piłkę nożną, którzy po gwintach lufy jeżdżą sobie tak, jak uczniaki po poręczach, którzy... ciągnąłem dalej, ale tu naraz mój piechociniec z wrażenia traci oddech, potyka się i pada na drodze. No i chyba dotąd tam leży.

Na kwaterze każdy z nas po smutnych refleksjach nad swojemi nogami wysmarował takowe boczkiem fasowanym, by sobie ulżyć w cierpieniach. Aliści i tu niewygoda, bo gdy się zasnęło, towarzysze piechociarze, znęceni zapachem wędzonki, byliby nam nogi poobgryzali. Po takich to przygodach odbyła się walka z nacierającym wrogiem, przegrał on jednak z kretesem, wystrzelany, wykłuty, wybity co do obolałej nogi. Powinienem jeszcze coś napisać o powrocie do koszar, ale to rzecz tak straszna, jak krwawiące nogi, że nie mam na to sił. Powiem tylko, że poraz pierwszy wszyscy pragnęli jaknajwcześniej znaleźć się w koszarach, nazywając je czule w oszołomieniu... domem.



.. „Zmierzył go od stóp do polówki" ...

Rzeczy smutne.

Okres repetycyjny dał nam się dobrze we znaki. Repetycja bowiem to taki zwierz, że jeden cię pyta, a inny lub inni muszą odpowiadać i to z sensem. Ale kanonier to takie bydle silne, że wszystko przetrzyma i nie padnie. Rozgrywały się przytem ciche tragedje. Np. z instrukcji strzelania gość, mając przenieść ogień z celu na cel, sam się nieraz „zacelił" na śmierć, a potem ani rusz. Z nauki służby najgorszą zmorą było pytanie ze służby wartowniczej: A poco to, a co robi np. wartownik, gdy przechodzi koło niego stara żydówka? A idż sobie wstrętna babo, niech cię inny wartownik zastrzeli, czego się mnie czepiasz?

Najlepiej to dać jakiemu bezrobotnemu ze 30 zł. miesięcznie i niech sobie waruje. My będziemy mieli spokój, on będzie zadowolony, że ma pracę i stanowisko — alarmowe czy inne. Przetrzymało to się jednak, przetrzyma i więcej, a nawet przyszywanie belek na sztywnej czapce bez naparstka.

Życie kulturalno-oświatowe.

Na ogólnem zebraniu naszej klasy postanowiono wydawać gazetkę. Przytem obrano już personel redakcyjny, obsługę i określono funkcję niektórych kolegów w związku z tą sprawą. Ze względu na brak funduszów wydawnictwo jest chwilowo wstrzymane.

Uchwalone: Redaktor odpowiedzialny — vacat. Miejsce to zarezerwowane do tej chwili, aż który z kanonierów wykaże się pewnem quantum przebyłych dni w pace. Jest bowiem niezbędny trening dla amatora na to stanowisko, gdyż redaktor odpowiedzialny więcej siedzi w buchcie niż na swoim stolcu.

Sekretarka osobista red. odp. — Sońta.
Stenotypiska — Tarka.
Referent kalendarzowy — Piątek.
Dział fryzjerski — Bartosik.
Dział dentystyczny — Kałucki.
Nieszczęśliwe wydatki — Szczęsny.
Higjena osobista — vacat.
Zagadnienia moczo-płciowe — Moczulski.

Reportaż z Abisynji — Iskowski.
Kącik religijny — Grzechnik.
Kącik dla panów p. t.: „Chcę być smukłym" — Myśliński, Michałek.
Gospodarstwo mleczne — Mielczarski.
Hodowla owiec — Baraniecki.
Hodowla drobiu — Kokoszko.
Ptactwo drapieżne — Orlik.
Kącik dla dzieci — Niezabitowski.
Kącki dla pań — amatorzy przepustek.
Loża szyderców — Woropay.
Referent sportowy — Kłoś.
Referent filmowy — Banaśkiewicz.
Referent operowy — Pawluć.
Gdzie wytworna pani się bawi — Wieczorek.
Nr. telefonu redakcji 44.
Inwentarz — jeden Stojaczyk na palto.
Obsługa — Woźniakiewicz.
Artykuły zgłoszone do 1-go numeru.
Sprzęt kuchenny — Tarka.
Działanie alkoholu — Dzięgielewski i Pielecki.
Drzewostan — Gajewski i Zagajewski.
„Kto wazelinuje ten jedzie" — vacat.
Uzębienie u zwierząt — Kiełczewski.
Rozrodczość wśród zwierząt — Kocisz.
Anemja wśród dorastających — Bondarczuk.
Środki na porost włosów — Mikiewicz.
Opał u nas i u innych — Zimniak.
Jak nie zabłądzić w drodze — Zdanowicz.
Dla żaczków przestrogi — Zaczek.
Od świeczki do kandelabra — Orlik.

MAŁA WYCIECZKA

DO GWIAZD

Trzeba napisać feljeton.

— Kolego, koniecznie dzisiaj wieczorem. Musi być, inaczej kryminał.

— Cooo??!

— Kryminał. Ja się z wami nie będę pieścił. Zgłaszać się każdy zgłasza, a do roboty niema nikogo. Raport i kryminał, jakem kronikarz i sekciarz K.K.O. — pienił się przewodniczący.

Trzeba zatem napisać feljeton. Ale o czem? Cóż interesuje społeczeństwo? Literatura piękna?... Napewno nie, zresztą niewojskowy temat. Sztuka? Chyba sztuka unikania kar i raportów, ale to sztuka arcytrudna—no i po ukończeniu wojska zbyteczna. Pozostaje nauka.

Dziś w dobie popularności Jeansa, Obertha, Krupa, kiedy każde młode stworzenie zachwyca się komunikacją międzyplanetarną, a dr. Fr. Bujalski zachwyca nas przez radjo odczytami naukowemi — tylko feljetony naukowe, a zwłaszcza pseudo-naukowe są czytane.

Temat zdecydowany. Podróż do gwiazd. Trzeba się jednak poważnie zastanowić, do jakich gwiazd się wybrać. Dzięki bowiem obserwacjom namnożyło się gwiazd ogromnie. Są filmowe i niesfilmowane, są fizyczne, spadające, stałe i zmienne, są gwiazdy w ruchu i w stanie spoczynku. Ku którym się zwrócić. Jedźmy na chybił trafił, może trafimy, choć nikomu nie chcemy uchybić.

— — —

Na placu alarmowym wre. Wręczyciele wraz z pomocnikami kręcą się koło stalowej rakiety mającej za chwilę opuścić glob cywilny. Odkręca się właśnie ostatnie Sierpnie z płasku dennego.

Rakieta w kształcie stożka przejściowego posiada dwa zgrubienia środkujące i pierścień wiodący. Na skorupie znajdują się napisy, w których 33 rzędach jest opisana historja fabryk, co je wyprodukowały oraz własnoręcznie wymalowane autobiografje pasażerów, zaczynające się od roku i partji wyrobu.

Mój towarzysz pieści otrzymaną od narzeczonej różę wiatrów i coś jej mówi o kołysce... Bo całe szczęście ustawiają już kąt podrzutu i za kwadrans opuszczamy glob cywilny.

— — —

Uff...

Nie przypuszczałem, że niewinne Vo, może tak dotkliwie człowiekowi potłuc kości. Jęcząc, obmacujemy swoje członki. A tymczasem za nami uciekają, nikną, maleją, giną drogie postacie. Pędzimy z zawrotną szybkością ekspresu Włodzimierz — Warszawa, który wiózł nas już kiedyś, ba! z daleko większą. Jesteśmy już



Kap. S. Rokicki

po niewielkim upływie czasu w marszu planetarnej niepewności.

Przedewszystkiem ustalamy orjentację. Jest to trudne, gdy nie widać żadnych gwiazdek w pobliżu — tem trudniejsze, że jesteśmy w ruchu. Po półgodzinnem ślęczeniu nad celownicą przyjaciel mój jest bezradny, gdyż punkty nawiązania, jak: Marcelówka, Poniczów, Wodzińsk i Białozowszczyzna dawno zniknęły. Orjentacja magnetyczna niemożliwa, gdyż igła skacze radośnie, jak bombardjer na urlopie. Czekamy zatem na jakieś ciało niebieskie.

— — — — — — — — —

Ciągle jedziemy. Nareszcie spełniło się marzenie mego „wykładowcy" jazdy konnej wyrażone pogardliwie.

— Do lotnictwa z takim żebrakiem, co na kobyle siedział, jak na samolocie. A pięty, żebraku! Pię-tyy!!!

Ale dość tych ziemskich refleksyj.

Zbliżamy się do jakiejś groźnej konstelacji. Przyjaciel, pochylony nad „Tymczasowym atlasem nieba", stara się przeprowadzić rozpoznanie. Ale już obaj wiemy z obserwacji „doświadczonych", gdzie się znajdujemy. Widać wyraźnie trzy duże gwiazdy o niesamowitym, groźnym wyglądzie — to *Marjanoidy*. Jesteśmy w systemie planetarnym *Marjanoid*.

Słyszę groźny okrzyk kolegi: „Giniemy pod „44", chwytam się rozpaczliwie uchwytów dobrze wyprasowanego łoża, by się nie zapaść w odmęty koszarniaka. Byle tylko mieć pomyślny kąt dodatni!

Suchy trzask...

— — — — — — — — —

Jesteśmy na planecie prawdopodobnie jedynej, która krąży wokół trzechsłonecznego systemu Marjanoid. Nazwaliśmy ją „2". Nie jest na niej tak źle, jakby się zatraconym cywilnym astronomom zdawało. Gwiazdy nie są wystygłe, dają dużo ciepła, dzięki czemu możliwe jest życie i miłe życie.

Spotkaliśmy dziś pierwszy znak życia. Było to dziwaczne, nielubiane na tej planecie stworzenie. Połamane, niekształtne, złośliwe poruszało się dość inteligentnie po labiryncie niezbadanej planety, chytrze omijając przeszkody. Był to *cenzus*.

— — — — — — — — —

Nowe odkrycie. Gdyby sławny Bujalski był z nami, miałby temat do paru radjowych odczytów. Zaobserwowaliśmy bowiem gwiazdę potrójną, powstałą z podwójnej — gwiazdę rosnącą.

— — — — — — — — —

W dość dostępnej okolicy zobaczyliśmy uczonego. Wsparty na odwzorowaniu Roussilhe'a siedział w pieczarze topografji oddzielony od świata siatką kilometrową. Jest to komenda-tor i badacz instrukcji strzelania. Istna gwiazda pracy, skrzętnie nam świecąca, choć wybuchająca nierzadko żywym, parzącym płomieniem.

— — — — — — — — —

Dzień dzisiejszy minął spokojnie. Jedynie słychać było głuche wystrzały i słowa: „Komenda" Kosmando!"

Pewno jakiś meteorek wpadł pod potrójną gwiazdę.

— — — — — — — — —

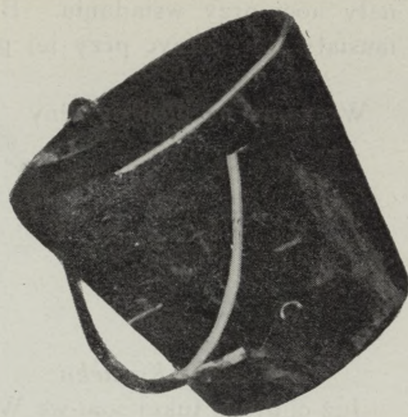
Znowu nowe odkrycie. Tym razem mała gwiazda podwójna. Nazwaliśmy ją „izolatorkiem". Próbowaliśmy z nią nawiązać łączność telefonicznie, mimo chrząkania, sprawdzania obwodu mówniczego, głos bombardjerski nie dotarł do odległej gwiazdy. Nadawaliśmy sygnały brzęczykiem, ale i nasze brzęczenie było bezskuteczne. Żyliśmy zatem zdala od tej gwiazdy — przez indukcję. Jeszcze jeden rozpaczliwy środek łączności pozostał — konny patrol. Ale sprawdziła się maksyma, że nikt jeszcze nie porozumiał się po linji, położonej patrolem konnym. Chyba rakietami śmiechu, jakie się wypuszcza z tej okazji.

Słońce, choć odizolowane, ma jednak dużo blasków i to serdecznych, tak, że nie można powiedzieć, abyśmy wpadli pod złą gwiazdę.

— — — — — — — — —

Przyjaciel mój oswoił sobie „cenzus". Bydlę to tak nieraz złośliwe stało się łagodne pod wpływem treningu i racjonalnej tresury. Nawet znieczulało na klasyczne i gorzkie powiedzenia, których memu przyjacielowi nie brak, zważywszy, że przebywa od urodzenia w pobliżu koszar. Otóż cenzus żądny emocji pod wpływem tajemnego popędu krwi uciekł na „polanę ujeżdżalni". Tam dopiero zaznaliśmy rozkoszy. Był to bowiem park środków lokomocji: Dosiadaliśmy zatem ze zmiennem szczęściem wolnych Łaciników, Miłych, Niemiłych, a bardzo sędziwych Pegazów. Niejeden Vivat zatruwał nam życie. Bekas jak w cel walił kopytem nie szukając w zawodzie z nami żadnego Ar-bitra. Niejedną na tej polanie ponieśliśmy Wyrwę, zanim z Valetów staliśmy się królami ujeżdżalni, choć do Olimpu jeszcze nam daleko. A wszystkie te nasze dole i niedole odbywały się pod gwiazdą podwójną (okrągłą jak księżyc, którą nie można nazwać *czarną)*. Blask jej był wcale ostry, choć dosyć serdeczny. Światło miało nierówne, ale, gdy świeciła jasno — *ciepłe*. Wielce nie lubiła cenzu-





"GENERALNE" PORZĄDKI





Nardelli

sów, które złośliwie na ujeżdżalni nas opadły, wyrywały strzemiona, wyciągały derki, podcinały nogi przy wsiadaniu. Bardzo też często musiały się sparzyć przy jej płomieniu.

— — — — — —

Wracamy na glob cywilny. Ciężka i trudna, choć pouczająca, była podróż po nieznanej nam przedtem planecie. Na tym ziemskim jednak padole codziennych szarych dni, czasami pomyślimy o gwiazdach. Przeważnie życzliwie.

Podchorąży *R. Szczęsny.*

LIST SEFLIKA

Mój złoty Karlicku.

Już ci długo tukej som we Włodzimierzu i padom ci, że fajnie mi jest.

Jezusku, co jo zech sie tu juz naucył, lotem łopakowany, buduja telefony, strzylom bez prochu, umie juz jechać na koniu, chocech ino dwa razy zlecioł. Nauczyłech tez nowa mowa, co tu padajo ci, łod których słowa mogo leżeć na brzuchu, skokoć, strzylać krumflekami lub tyż stoi po cichutku co sisie tukej nazywo „Baczność". Ten najfajniejszy padoł ci też raz do mnie „żebrak". Pieronie alech się łuradował ino, że mi potem pedizeli, że to jakosik jak po naszymu hochor. Ale teć mi tak fajnie pedzioł, że go przez to bardzo lubio i gdy ny kozoł tobych nawet w niedziela jedna kwaretka nie wychlapoł ino dwie i trzy. Z ożyroków też tu nie brakuje, to też cuje sie jak w domu u stato ci nie było ale dostałech ci już „freitra" na co tu bombardjer godajom i jak w niedzielu rzyka, łebo u ciotki Bógdołowej. Tak ciufoch zawody ido na kwarytka, chroboka zalać, tak pieszynem wystrojony, z fajną copkę, z łostrogami na krumflekach, to aż mi serce puknąć chce łod szczęścia, tokim ci jo wojok, taki pieroński wojok. Bołeś sie, że nie byda mioł komratów, tożeś sie ale łomylił. Som ci same fajne kumple z całej Polski, to z pod Wilna, z pod Warszawy, z pod tego Lwowa tojajki, co to wiesz tyn Szczepko i Tońko w Katowicach w tyatrze godali. Nie lubiałech tych pierońskich gorolów, dzisiok jednak rozumia to, że som toni takie same gizdy jak my w doma, tak kożdymu dobrze z łocu widać, tak ci sobie dycki usłuży, dobra rada do i ta dobrze w kupie sobie żyjem i kochamy sie.

Pozdrów tyż to moja Hildusia ino padom ci, ty minajduchu z nią nie idź w zolyty, bo jak przyjada, to cie tak hachna, że sie nie łopamiętasz.

Jak tyż zaś na tyw łurlop przyjada, to se u naszych młodych Powstańców pogadamy, jo zaś byda Wom łosprowioł, jak mi fajnie w wojsku było, coch tu widział tak daleko łod Bogucic i Nikotowa i jacy tu dobrzy ludzie som.

Pan Bócek z tobą ty stary pierunie.

Twój kamrat

Seflik.

Zarys pewnej historji

Początkowy prehistoryczny okres istnienia ginie w pomrokach rekruckich. Był to, jak określa mitologja, okres żołnierza ciosanego.

Prototyp żołnierza — rekrut nie pozostawiał po sobie dzięki sumiennej pracy przełożonych żadnych śladów. Wiemy tylko, że przywędrował do tych polarnych okolic — z cieplejszych krajów cywila, wygoniony przez komisję poborową.

Odsyłając spragnionych wiedzy czytelników do źródłowych prac prof. Skrobka: „Rekrut, jego istnienie na ziemiach wschodnich" oraz prof. Wypotka: „Poniektóre przyczynki do ludowych podań o rekrucie", przystępuję odrazu do historji, która się rozpoczęła z chwilą przyjęcia chrztu wojskowego.

Było to zimą, roku 6-go żołnierskiej ery.

Chrzest ten — podniosła, piękna uroczystość, podniósł serca żołnierzy. Nieszczęście jednak chciało, że uwieczniał go „artysta" Schönblum (po polsku — ładny kwiatek).

Podział geograficzny.

Geograficznie podzielić można według doliny wielkiego korytarza na dwie strefy, które rozpadają się na pomniejsze wyraźnie ograniczone obszary. Na strefie znajdujemy Krainę wyciorów, dalej Płaskowyż, gdzie znajdują się dwa

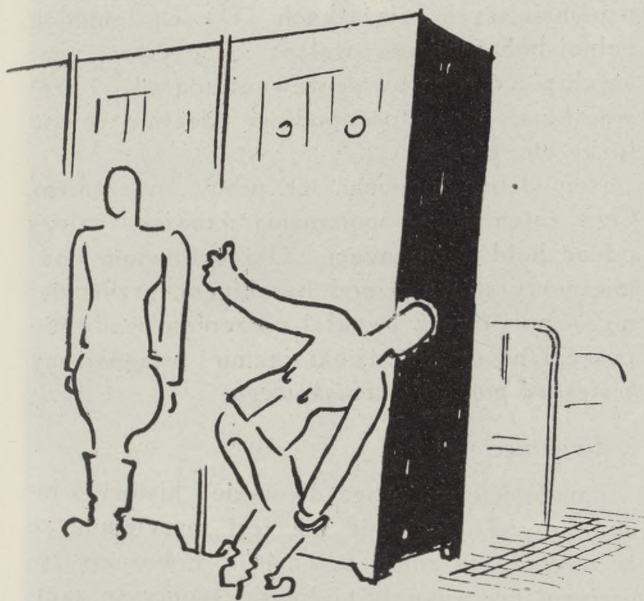
wielkie jeziora Spóźnialskie i Kłótliwe oraz Dolinę Zapomnianych Szyderców. Na II-giej idąc w kierunku o azymucie 1.600 rozróżniamy Niż Konusów, obficie zakrzewiony, dalej płytę „Zażywnych", usłaną jeziorami egoizmu i kończymy na „Górskim" krajobrazie ostatniej krainy.

W granicach każdego z tych obszarów, ograniczonych chińskim murem szafek oraz sporami granicznemi sprzątających, upływało życie oddziału. Z biegiem jednak czasu, zauważywszy, że ów i owi często ukrywali się za szafkami przed wspólnem niebezpieczeństwem, kształtować się zaczęła wspólnota, mimo tu i ówdzie zachodzących słownych utarczek.

Wtedy to właśnie Kancelarja Panów, hierarchicznie rządząca ludem, powoływać zaczęła jego królów, a także nominować pomniejsze urzędy.

Dynastja białych.

Pierwszym królem z woli Kancelarji został Włodzimierz Jasny z rodu elektryków (dlatego również nazywany *Świattłym).* Trudno odtworzyć całość jego panowania, tembardziej iż ówczesny kronikarz Maleńki Kadłubek, niewiele pisał w swej zgryźliwej kronice. Dużą zaletą władcy była jego skromność i powściągliwość (rzecz u władcy tem cenniejsza, że rzadka), Po krótkiem jego panowaniu niemal niebiańskie nastały rządy, zwiastowane przez następcę Jasnego — Gabryela. Chylimy czoła przed trudem jego szefoskiego żywota. Potężne reformy: „Ciszy po capstrzyku", oraz „Szybkich zbiórek", dziś już weszły niemal w krew, to też nie odczuwamy ich wielkiego znaczenia w ówczesnych czasach.



„często chowali się za szafki"

Na Gabryelu kończy się dynastja Białych, gdyż ci muszą ustąpić podbici przez „Śpiewającego Turka", władcę ambitnego i muzykalnego. Ciężkie to były czasy dla pozbawionych słuchu. Wraz z całą ludnością zbierali w wolnych chwilach wśród trzasku linijki, stawiani na baczność, wciskali w swoje „zakute" głowy prawidła rytmu. Wdzięczny lud wystawił fałszywe melodje. Z dynastji Czarnych był również następca Turka ras Habaj. Władca ten choć czarny nie wprowadził niewolnictwa, ani nie wymyślał poddanych od... „obisynów". Sympatyczne jego rady zamykają złoty wiek kraju. „Był on — pisze kronikarz — słusznego wzrostu i miłej powierzchowności. Łagodny w mowie i wesoły wielce, był lubiany i lud ochoczo wykonywał jego rozkazy".

Ogólna charakterystyka złotego wieku.

Na plan pierwszy wysuwają się nauki. Lud za przewodem mądrych swych władców ochoczo garnął się do wiedzy tembardziej, że niechętnie stali pod pręgierzem na repetycji, bo do przyjemności to nie należało. Literatura piękna tego okresu znajduje się w archiwach prywatnych (płci żeńskiej w wieku lat 18 — 25) i nic o niej nie można powiedzieć, gdyż nie została oddana do użytku publicznego. Baza z początku dość wykwintna przechodzi w barok i stacza się do poziomu ujeżdżalni, co zgodnie określają wszyscy historycy jako jej upadek.



„...przykładał się gorliwie do nauki"...

Absolutyzm.

Igo Sym, zwany również *Pięknym* z racji swego młodzieńczego oblicza, otworzył okres absolutyzmu, którego nie można nazwać oświeconym. Znamionowało go wielkie nieposzanowanie dla swego języka, którego zaczęto używał, denerwując i maltretując niejednego z pod-

danych. Zapobiegliwość jego większa niż potrzeba, jednak nie poszła na marne, gdyż zachował dla siebie i swej dynastji Księstwo Południowe, które ongi zależało od Księstwa *Mieczysława Krypeya,* zwanego *Podsiadłym* — wielce koleżeńskiego choć sprośnego w mowie.

Złote nastały czasy dla grzeszników, gdy jeden z ich grona zasiadł na królewskim tronie. W okresie absolutyzmu panowanie Czesława było jaśniejszym błyskiem, który nas przygotował do smutnego panowania następcy.

Przy blasku kandelabrów powołano do rządu Romana I, z nieco wschodniej dynastji. Było to w okresie, kiedy rozpoczęły się wielkie gonitwy o nagrodę I-ej lokaty, a prywata i egoizmy współtowarzyszy zaczęły kruszyć wspólnotę. Autokratyzm i wyniosłość — wyniosły dynastję Romanowych z szarzyzny izby żołnierskiej na wyżyny władzy. Po dzisiejszy dzień królują potomkowie tej dynastji na intratnej posadzie „starszego", skąd bezpiecznie można bronić bastjonów I lokaty.

Zmniejszonem choć niepoprawionem wydaniem Romana był *Kazimierz Mały,* zwany również Kaczorem z powodu swego pięknego głosu. Idąc buńczucznie śladami swych następców, władca odgrodził się od swych współtowarzyszy i poddanych, przyjmując ich łaskawie od czasu do czasu w kancelarji, gdzie im udzielał posłuchania, no i częstych rad. Buńczuczność jego jednak malała z dnia na dzień pod wpływem doświadczeń. Żeby bowiem wysoko zalecieć, trzeba być przynajmniej dziką kaczką, a nie domowym kaczorem.

Ogólna charakterystyka absolutyzmu.

Cóż może historyk napisać o absolutyźmie, skoro trwa on dziś jeszcze. Literatura tego okresu przejdzie do potomności w książkach raportów karnych i uwagach oficera inspekcyjnego tu i ówdzie w pamiętnikach poddanych. Wydeptane bloki od starych siedzib ludu pod „44" świadczą wymowniej niż niejedno ważkie słowo. A słowo, mowa żywa tego okresu najmniej się nadaje do druku, choć — jak twierdzą optymiści — niejedno w niej się znajdzie szczere uczucie.

Czasy ostatnie.

Zatarły się jednak stare urazy za sprawiedliwych, spokojnych rządów *Mieczysława Spokojnego,* założyciela dynastji *Pulpetów.* Okazało się, że bez trywialnych słów... można rządzić ludem. Piękny to jest przykład w historji porządnych, twardych, a jednak miłych i koleżeńskich rządów.

Na szczęście następca Spokojnego również Pulpet — *Kazimierz Pełny* lub Tłusty był kontynuatorem mądrej polityki swego poprzednika. Władca ten, który już władał i to rozkosznem królestwem domowego ogniska, rozumiał naszą niedolę, zdala od tego co w życiu najmilsze. To też rządy jego miały w sobie coś ze słodyczy, często nadchodzących paczek.

Jakby to pisząc historję, nie wspomnieć o pomniejszych książątkach. O ich żmudnej, pełnej bohaterstwa, walce: o czystość naszych pieców, zarówno wewnętrzną jak i zewnętrzną, o czystość podłogi, idealnie równe łóżka etc. etc.

Niepodobna pominąć ich pracy milczeniem. Choć zatem bez wspomnienia nazwisk, należy oddać hołd ich pamięci. Okres bowiem upamiętniony stójkami pod karabinem, przysiadami — no i (rzecz zwykła) noszeniem wody nie poszedł na marne, dzięki czemu osiągnęliśmy *królestwo porządku wojskowego.*

Zamknięcie.

Zamknięcie może być dwojakie: historji i historyka. To ostatnie nie jest przyjemne ze ze względu na zimno pod „44". Pobożnem życzeniem historyka jest, by się skończyło zamknięciem historji.




PAWLUĆ-SPODAP

Znacie – to posłuchajcie

Dawno — przed wielu laty, kiedy to jeszcze nikomu z nas, ani znanych nam przodków, nie śniło się przenosić z krainy niebytu na ten najlepszy ze światów — żył pewien Grek, wielki filozof, z natury rzeczy mądry, a poważnie myślący.

Tenże, usiadłszy kiedyś w cieniu rozłożystych drzew na polanie, zamyślił się głęboko i wyrzekł słowa, wieczystą prawdą brzemienne: „Człowiek — mówił mądrze — jest królem stworzenia, istotą najmędrszą obok bogów, nie może atoli zgłębić istoty tworów, na które oczy jego spoglądają, i nigdy nie zdoła odróżnić smacznego miąższu i słodkiego soku — również i nie odgadnie, co ukrywa się w leśnym orzechu, zdrowe ziarno, czy szczątki, pożarte przez robactwo.

Westchnął mądrze nad słabością człowieczą— w wędrówce jednak za prawdą nie ustał, albowiem nie byłby prawdziwym filozofem i myślicielem.

W uśmiechu, otworzył usta swoje i rzekł:

„Od lat wielu wychodzę o wschodzie słońca z domu swego, aby zasiąść w cieniu palmy i myślą sięgać w krainę nieskończoności. Siadam pod temsamem drzewem, które nie jest ani największe, ani najpiękniejsze, żadne jednak inne nie byłoby mi milsze dla pracy i spoczynku.

Na Zeusa! Jestże twór poza człowiekiem, któryby zdolny dawać rzeczom wartość według swego myślenia? Któż ma równej potęgi ducha, aby drzewo i kamień ożywić jako bliską i drogą pamiątkę?"

Niemasz starych mędrców — prawdy odmienne pozostały.

Jeżeli więc któryś z nas weźmie do ręki księgę tę za lat kilka lub kilkanaście, natknie się na fotografje starych towarzyszów doli i niedoli, jeśli odczyta wrażenia na „ciepło", wówczas kreślone — ileż wspomnień ożyje w pamięci z każdą zgłoską.

Choćby też do cna zapomniał o zasadniczej różnicy między stopką, a piętką w kwadrancie, choćby wyparowały z pamięci „kośby" i „nawały", zawsze pozostanie w niej wspomnienie prasującej śnieg klasy na nieśmiertelnym „placu potów" — gdzie to śpiewaliśmy „madelon" na kilkanaście głosów.

Jak tu nie pamiętać jakiejś Cytry, Paraboli, czy Bagdada, który tak sprytnie potrafił konserwować wszelkie kurze, łupieże etc. w bujnej sierści, że zawsze coś dla instruktora pozostało, mimo czyszczenia z całą gorliwością „pod słowem".

Zabierzmy się jednak do naszej pracy wspominkowej metodycznie, regulaminowo.

Klasa nasza składa się z oficerów, podoficerów i szeregowych, jak każda zresztą! Przystępujemy do opisu każdej części składowej z osobna. Najtrudniejszą jest, jak zwykle, ta pierwsza litera w słowie. Chciałoby się coś miłego i sympatycznego napisać, ale nie wypada, boć to nie list miłosny... Są ludzie, których niełatwo się zapomina, którzy krótko, zwięźle i mocno zapisują się w pamięci.



Człon drugi naszej klasy, równie groźnemi i stanowczemi maluje się linjami. Sylwetka, oczywiście nie ta sama, ma jednak wiele cech wspólnych.

Opis władz klasy byłby jednak bardzo niekompletny, gdybyśmy pominęli w nim osoby naszych kolegów, pełniących obowiązki podoficerskie wszelkiego rodzaju, którzy świecili czas jakiś, jakby meteory.

Meteory te spadały wraz z rozkazem klasy i świeciły krócej lub dłużej, zależnie od uzdolnienia i umiejętności bycia „prawą ręką". Prym wśród nich wiódł zawsze p. o. szef (p. o. nie znaczy „przez omyłkę", jak to złośliwie interpretują), dźwigający na swych barkach cały ciężar odpowiedzialności za porządek w rejonie i wśród całej bandy.

Niełatwe to zadanie i niewdzięczne chodzić dzień cały z marsem na twarzy, głośno mówić i wydawać ostro rozkazy, aby osobie swej i stanowisku możliwie dużo nadać powagi.

Gorzej jest, jeśli te wypróbowane sposoby zawiodą, co się pierwszemu dostojnikowi na tem stanowisku u nas zdarzyło.

Doszedł zatem do głosu inny z arsenałem nowych środków, z zapasem pewności siebie i znaną skądinąd zdolnością, wodzowania. I oto srogie miny ustąpiły miejsca t. zw. „mocnym słowom i gestom".

Byli potem inni władcy, chłopcy morowi, z czwartej grupki pochodzący — ci panowali długie czasy i karali nas często doraźnemi „równaj w prawo" i „baczność", zostawiając jak najsympatyczniejsze po sobie wspomnienie.

Z kolei rządy przeszły w ręce „maluczkich". Nacja ta, jak wiadomo, najbardziej czupurna i zadzierzysta, otworzyła w klasie okres światłego absolutyzmu. Do nawrotu srogich min i mocnych słów wprawdzie nie doszło, nowi władcy atoli zaznaczyli, że nie myślą liczyć się z opinją poddanych i karać będą za wszelkie przewiny bez miłosierdzia. To też kiedy, po krótkim okresie triumwiratu władza przeszła w ręce ciemnowłosego negryty, trwoga wielka padła na tłum pokorny.

Odtąd od korytarza do palarni rozlega się codzień niski, donośny głos, a liczba raportów rośnie, rośnie...

Z pośród innych funkcyjnych zasłynął szeroko srogi cerber czystości butów i innych „sort"— p. o. mundurowy. Mąż ten, niezłomny w swych zasadach urzędował z najwyższem namaszczeniem kilka godzin tygodniowo, przyjmując brudną bieliznę, buty i mundury do naprawy. Każdy przyniesiony przedmiot mierzył okiem inkwizytora i odrzucał wszystkie nie noszące „wyraźnych cech konserwacji".

Nic też dziwnego, że jeszcze za życia zebrał plony swych zasług w postaci pochwały w rozkazie klasy i wysokiego uznania u współczesnych.

Solą i fundamentem wojska jest szary żołnierz. O nas więc, szarych wojakach, parę słów trzeba powiedzieć. „Przyjechało was tu kupa cywilów, każdy myślący tylko o sobie — mówił wódz na początku służby, — ale niedługo jak tylko dostaniecie trochę... tego... klasy oblicze zmieni się do niepoznania i stworzycie zwartą zgraną całość".

Tak się też stało i obecnie zgraliśmy się całkiem niezgorzej. Nie znaczy to oczywiście, aby nie dochodziło do ostrzejszej wymiany słów, aby ktoś komuś czasem rodziny nie poruszył, ale wiadomo — kto się lubi i t. d.

O powody nie jest znów tak trudno. Publiczną jest tajemnicą, że „Wyciory" patrzą z góry na „Konusów" w przenośni i bez przenośni, bo to i nadążyć taki nie może w marszu, i na większą szkapę wskoczyć, i wogóle „Konus". Ci zaś ostatni mają niemniej ważkie kontrargumenty, że to oni właśnie są najlepsze wojsko.

Mamy chwile beztroskiej wesołości i swawoli. Okazuje się, że poważny skądinąd pan inżynier



doskonale zabawia się w „węża" lub zwykłego „berka", czego napewno wstydziłby się w cywilu.

Grunt, że humor zakwaterował się w klasie, na stałe. Znamy takich, którzy odżywiali się przez cały dzień z przerwą na spanie, innych— systematycznie i regularnie chorych na niektóre wykłady i repetycje, jeszcze innych zapracowanych w imprezach ogólnoszkolnych, szczególnie podczas apelów

Można powiedzieć, że bywało się przed szafką i za szafką, w stajni i w ciemni, na koniu i pod koniem, rozmaicie — ale zawsze na wesoło.

Napewno pozbędziemy się z czasem, większości naszej wiedzy wojennej i trzeba będzie sobie wiele rzeczy na ćwiczeniach przypominać; pozostanie jednak, jako trwały ślad naszego pobytu w Szkole, umiejętność życia w gromadzie, świadomość potrzeby wspólnego wysiłku i szacunek dla własnego munduru — rzeczy bez których niemasz żołnierza — obywatela.



Opowieść o wszystkich wodzach

Był ongiś hufiec rycerzy z pod znaku św. Barbary, którzy w chorągwi S. P. R. A. służąc, w lekkiej byli działobitni. Mieli rycerze ci nad sobą wodza wielkiego i znamienitego, tempore belli wsławionego w walkach krwawych z pohańcami ze wschodniej strony, o czem świadczyła wstęga o narodowych barwach krwi i niewinności, którą rycerz ów pierś swą opasywał i na której w dnie wielkie a uroczyste, krzyż zaszczytny zwykł był wieszać. Cieszył się tedy wódz ów miłością towarzyszy lekkich (półpancernych ALK 2), którymi dowodził, bo mądry był, a sprawiedliwy o strawę zasię i zasłużony wypoczynek dla pachołków swych zacnych tak dbający, jako o ładunki wszelakie do harmat straszliwych i innej broni — ręczną alboli samoczynną zwanej.

Wtajemniczał wódz rycerzy młodych w fundamentalne arkana wiedzy rycerskiej, które w mowie swej dziwacznej zwykli byli „wube" nazywać. Zazwyczaj początek owej nauce dawało uczynienie kredą na desce czarnej dwóch lub czterech naleśników misternych, na których i między któremi dopiero rozgrywały się rzekome walki groźne, a straszliwe wielce. Tam rozsiadały się cicho, a tajemnie czaty zwarte, tam „handryczył" się z niemi na linji oporu nieprzyjaciel. Tam między owemi naleśnikami, które jak tego każdy łacno domyśleć się może, symbolizować miały różne urozmaicenia struktury matki naszej ziemi. — Toczyły się boje przeróżne i wszelkie działania wojenne, które tem się odznaczały, że jeśli „my" nacieraliśmy, to nieprzyjaciel „zwiewał uderzony w krzyż" zaś jeżeli npl. nacierał, to niezmiennie napotykał na „nasz" niepokonany opór. Ale nietylko podczas onego „wube", rycerze mogli z wodzem swoim gadać, nierzadko bowiem w południowych godzinach przystrajali się w różne rycerskiego ubioru części, aby pogwarkę z nim prowadzić i słyszeć: „No co macie na swoje usprawiedliwienie? Wobec tego ja was ukarzę, rozumiecie?"

Drugie miejsce w hierarchji rycerskiej tego hufca zajmował wojownik inny, któremu wiek szronem już przysypał skronie. On to wskazywał jak skutecznie, polepszająco, czy obramowująco, lewo czy prawobocznie zażywać harmat onych straszliwych, o których później nieco czytać bę-


SPODAR - PAWLUĆ
PODCHORĄŻYCH REZERWY ARTYLERJI

dziesz czytelniku pilny a niestrudzony. I okrzyk bardzo wielki „komenda do cholery," rozlegał się wówczas zazwyczaj wokoło, bo mistrz ów żądał od uczniów swoich rychłej niezmiernie decyzji. Atoli nietylko tem parał się ów „wujcio" i nad innemi gałęźmi sciencji rycerskiej miał on pieczę. Oto pod jego argusowem okiem młodzi rycerzykowie szłapali po błotach rozległych, dźwigając płyty czworogranne, które od czasu do czasu na potrójnych cudacznych nóżkach rozstawiali i długo nad niemi medytując, coś kreślili, przez szpary jakoweś okiem jednem zerkali



i różne inne dziwne bardzo praktyki odprawowali, nader często wzywając imion dawnych, a wielkich wojowników jako to hetmana Zamoyskiego lub króla Jagiełły, tudzież wodzów cudzoziemskich autoramentów, trygonometrów, a Marcelówków jakowychś.

A trzeci z rycerzy onych, wzrostu był niezbyt wielkiego, atoli głosem bardzo potężnym brak ten udatnie nader sztukował. Nie wiedziano z początku chciałli on odmłodzić się, zwąc wszystkich wokół ojcami — czy co inszego, aliści po pewnym czasie zaprzestał tego, więc i domysłom kres położono, czasem je tylko wznawiając kiedy „bębnami" obdarzając, srodze karał winowajców przeróżnych. Wodził on całe wojsko zaciężne często do komnaty pewnej, misternie nader wewnątrz uczynionej, gdzie przedziwne cuda wyczarowywał z instrumentów wszelakich, które komnatę zapełniały. A czego tam nie było? Mogłeś tam znaleźć przeróżne mechanizmy światło lub dźwięk ze siebie łacno wydające. Co więcej, gołębia nawet, wprawdzie wypchanego, znaleźć tam można było na oknie; a i drugi był tam ptak, sztuczny jakowyś, sztucznie a zmyślnie bardzo uczyniony, który pod pułapem czasem latając, na sznurku meldunki jako strawę duchową ksobie bez ochyby przyciągał. Atoli zająć się należy personą owego małego wzrostem, a głosem wielkiego oficyjera. On tedy sam zajmował się wpajaniem w swych młodych wojowników wszelakich wiadomości o tem — jakiemi to sposoby, przy harmatach, na ten przykład, przebywając, łacno można z „Janem" „Żubrem" „Warszawą" „Krakowem" i „Lwowem" a osobliwie z dowódcą na punkcie gadać, a zasię migaczów wymyślnych zażywając i mrugać nań figlarnie a porozumiewawczo. I kazał tedy jezdnym, lub per pedes apostolorum pomykającym żołnierzom druty różne szybko ciągać, na tyczkach je i drzewach wieszając. Innym zasię bębny i skrzynki a sakwy różne wydawać polecił, po polach ich z tem wszystkiem pędzając, gwoli nauce jedynie nie zaś ku zaspokojeniu grzecznej gadatliwości, pozwalając im do skrzynek owych cudownych mówić.

Jedną miał dziwną cechę mąż ów, oto, jakby niezbyt dowierzał jasność słów swoich co trzy słowa mniej więcej upewniał się bardzo donośnie czy go zrozumiano. Atoli nietylko tem parał się ów wojownik dzielny, miał on powierzoną również pieczę i nad tem, by młodych rycerzy należycie zaprawiano w sztuce władania bronią wszelaką, tudzież chodzeniu i padaniu ozdob-





nem. Wówczas to informacyj przeróżnych zwykł był udzielać, o tem, że ogrodnik w wirydarzu pięknym nieopodal siedzibę swą mający, pomocnika wrzekomo poszukuje i o tem, że widły łacno mogą się w broń groźną przemienić osobliwie zasię w dłoniach niektórych rycerzy.

Ostatni z oficerów w tym hufcu najniższy ponoć starszeństwem, najwyższy był wzrostem, on to porał się właśnie samemi harmatami, tudzież końmi, a także, aż straszno wspomnieć, powietrzem morowem i wszelakiemi innemi zarazami w powietrzu się unoszącemi. Nie on sam wprawdzie ukazywał tajne części owych śmiercionośnych, straszliwych przyrządów, aliści czuwał nad pokazywaniem tego, potem zaś sam na repetycjach, a rekapitulacjach wszelakich srogie, temu zmierzające pytania zadawał. Rumaka zasię miał pięknego, tak rosłego, iż sam tylko, bez trudu, z elegancją wielką mógł go dosiadać, innym wszystkim bowiem sprawiało to trudność niemałą. Z powietrzami zasię owemi morowemi eksperymenta różne czynił w specjalnie k'temu przeznaczonej komnacie.

Tacy to byli wszyscy oficyjerowie w owej działobitni harmat lekkich, pod dowództwem starszego rycerza, który jakoby ze złota nie z gliny był ulepiony.

A po nich zaraz w deskrypcji naszej miejsce mieć będą ich namiestnicy, sub-oficyjerowie. Na ich to czele stał rycerz, którego sławę i czyny długo opiewać powinienem, atoli słów dość ozdobnych niebiosa poskąpiły pióru memu. On tedy, z chwilą—gdy nie było żadnego oficyjera, obejmował stante pedante rządy nad tem wojskiem i nierzadko wówczas przystępował do fundamentalnego potrząsania żołnierskiemi, zbrukanemi nazbyt sumieniami. Wskazywał wówczas, że „a więc nie może to mieć u nas miejsca, taki chaos" iżby łoża wszystkie nie były równiotko zasłane i wygładzone. Lubił nader polecać w niektórych wypadkach w pierwszej kolejce, ręka do góry! Opuścić! Stawić się! et cetera.

Ów rycerz nie młody już i od dawna św. Jerzemu służący, oczy miał jako dwie świeczki, które gdy w delikwenta jakowegoś wbijał — ów nie wiedział co począć ni gdzie się skryć.

Był także inny sub-oficyjer, któren znowu bardzo był wielki znawca owych harmat straszliwych. Na wszystkie bezeceństwa mógł jako tako patrzeć pobłażliwie, atoli serce się w nim krajało i momentalnie przez usta wyskakiwało jeśli tylko ktoś sprzęt wojenny spreparować usiłował. Wówczas to czekanikiem jakowym alboli innem ciężkiem a twardem narzędziem kogoś ugodzić miał ochotę, atoli uczynić tego nigdy nie uczynił, bo tak w mowie jak i w uczynkach bardzo był powściągliwy.

Inny zasię był rycerz, któren nad szatkami wszelakiemi pieczę miał, ten — ci był, który podczas apelów rozlicznych zazierał w najbardziej tajne zakamarki butów a chlebaków, a nawet, co wstyd napisać, nawet nogawice kazał na nice wywracać, iżby badał czy brudem jakowymś skalane nie są, a któregokolwiek żołnierza nie czystemiby się okazały, bieda mu wielka wówczas. Miał wojownik ów ku pomocy rycerzyka młodego bardzo, któren odziewał wszystkich w szaty przeróżne, a nie zawsze wszystkich zadowolnić mógł, bowiem nieraz szaty cale malutkie na personę ogromną wtłoczyć chciał alboli vice versa.

Byli jeszcze i dwaj inni suboficyjerowie ci ato-



li później znacznie od wszystkich innych przybyli do owej działobitni, niewiele tedy o nich napisać można, li tylko to chyba, iż jeden cyrkumferencji bardzo był grzecznej, co gdy szedł, taki właśnie aspekt dawała jakoby kula tanecznie się toczyła. Drugi zasię „konusem" być się okazał — co niepomierną sympatję doń wzbudziło zwłaszcza wśród wojska przy poniektórych harmatach zazwyczaj zgromadzonego.



Tacy to byli wszyscy rycerze, którzy wojskiem owem zacnem dowodzili, atoli dobrze będzie gdy się dowiesz luby czytelniku nieco i o znamienitszych zpośród tych — którymi dowodzono.

Był tędy rycerz jeden wzrostu nader słusznego, ten ci był, który w sprawach wielkiej doniosłości wśród „Kakao" miano noszących prym trzymał i rej wodził i ponoć z samym pułkownikiem rycerstwa swego nierzadko pogwarki miewał. Z tej też to pewnie racji nie lubił później gadać z młodszymi. Drugi zasię był mąż,o twarzy takiej jakgdyby z Chin dalekich a orjentalnych ród swój wiódł, tenci był mądrości wielkiej, a sciencje wszystkie rycerskie rychło posiadłszy, śmiał się szydliwie ze wszystkich kujących. A był także i inny serce do amorów skore nader mający, który na różne sposoby o glejty się starał, za któremi do osiedli ludzkich był wypuszczan. On tedy, późną nocą do kustenny swojej wracając, zwykł był z ostrożnością bardzo wielką łoże swoje oglądać a obmacywać, albowiem zazdrośni towarzysze broni nierzadko z butów, ładownic akordów różnych posłanie zgoła do Madejowego podobne gotowali mu.

Kończyć już muszę i jedną tylko mam do Ciebie czytelniku zacny prośbę, tedy niechaj mi wybaczone będzie, iż w sposób tak bezecnie nieudolny czas twój zajmować się ośmieliłem, atoli niech na moje usprawiedliwienie uważanem zostanie, iż rzemiosłem rycerskiem się parając, nazbyt mało mam czasu z wyższego rozkazu przydanego, iżbym mógł o wszystkiem należycie pięknie pisać.

Podch. *Andrzej Niklewicz.*

MELDUJĘ POSŁUSZNIE 16 DO PRZEGLĄDU

Było nas kilkunastu z różnych stron Polski i rozmaitych przekonań, ale gdy nas ostrzygli i ubrali w drelichy koloru ochronnego, staliśmy się jednakowi i podobni do siebie. Odrazu też poczuliśmy się silniej związani ze sobą aniżeli z resztą kolegów. Wkrótce potem jeden z nas odjechał do lotnictwa. „Kuroć" złoty chłopak, złośliwy i nigdy nie darujący swego. Pamiętne było ustawienie przez niego działa na dozór. — Było to w sali, stał za tablicą „co zrobicie gdy nie widzicie działa?".... „to wyjdę z za tablicy i zobaczę". Takim był zawsze i takim odjechał. Wszyscy życzymy mu, aby skręcił kark, bo był przesądny — jak każdy lotnik.



Pierwszym naszym wodzem był C. K. Marszałek, wąsaty, zgarniający wąsami z łyżki zupę. Oj, ile nam dał w skórę w pierwszych najcięższych dla nas dniach, tego jeszcze nie zapomnieli niektórzy i w myśl zasady — „stara miłość nie rdzewieje" odbijali sobie do końca na nim. A kto



z nas nie pamięta „Dziedzica" słynnego amanta, jednodniowego niedzielnego urlopnika, który poświęcił dwie noce na podróż aby spędzić z Nią dwie godziny, z Nią, której sobotnie listy trzymały go przy życiu, naturalnie oprócz papierosów.

Któż z nas nie pochłaniał jego słoniny starej, bo starej, ale dobrej w poście, bo w ostatki nikt pomimo dobrej woli nie mógł jej „uskutecznić". Szafka jego była składem śmieci i różnych klamorów, a gdy „notre cherif" przypadkowo zaglądnął do niej, to nie upadł z wrażenia tylko dlatego, bo był oparty o łóżko. Sąsiadował z nim o miedzę „Romeczku — ideolog",wiecznie zajęty pisaniem i czytaniem listów.

Ostatnim z tej czwórki był „Kłapeć" nomen omen; słynny ze swoich powiedzonek.... „Nawrocki, kto wam tak głowę rozbił?" „Panie Kapitanie koń uderzył mnie w głowę", i jego głośna uwaga... „dostał głową w łeb", plaga podczas godziny spania i po capstrzyku, bo wtedy zbierało mu się na gadanie z powodu tego też gadulstwa dostał na gwiazdkę... kaganiec. Nieszczęsna ofiara pierwszych kroków bokserskich, po treningu pił tylko przez słomkę i ciągle badał swoje zęby i szczękę. Biedny był ten, kto dostał się w ręce, lub na języki tej czwórki, nie miał spokojnego żywota ani spania. Najlepiej pamięta ich — „odorator", prezes sekcji dekoratorów, wiecznie zajęty pracą przy ozdabianiu sztandaru, „Jeden gwóźdź na jednego dekoratora na dobę" (jeden g. d. d.) a mimo to draperje były upiększone smętnie zwisającemi sznurkami. Wydatnie pomagał mu nasz mistrz skrzypiec. Patrzący na całą służbę przez objektyw swej nietykalnej Retiny — „Wacio", wytworny fotograf, siedzący zawsze nad albumem i zajęty wlepianiem zdjęć. Boże, ile on ich miał, tego niech nikt z nas mu nie pamięta, bo i trudno, żaden przecież z nas niema od niego jednej odbitki, kręcił filmy jak Bodo — „bo do" niczego.

Pamiętacie „dęblińską...", niedoszłego lotnika, który z braku możliwości wyżycia się w górnych strefach.... latał po Włodzimierzu z manicurzystkami. („Ach, jaka piękna kobieta, naprawdę śliczna, a jaka rasowa nóżka").

Clou jednak gromadki był kłótliwy „Fiu — czek" (przy Fiu należy gwizdnąć") słynny z budowy biurka do dekoracji dla „Gwiazdy Syberji", nasz łowca mikrobów. A mogliśmy również poszczycić się „Negusem" nigdy nie mającym papierosów, a mimo to wiecznie palącym, utrapieniem wszystkich otrzymujących paczki. Zwany był też „Zuchwały" od swego słynnego rumaka, pogromcy B. Z. Wspaniały typek o murzyńskich wargach, nieprześcigniony żarłok... „masz pączki?"... „nie mam"... „no to marsz pod łóżko, masz mieć".

Nikt nie zapomni „Muzykanta" — „Ej", który razem z „taką Zarembą" lwem salonowym, tym razem bez grzywy, potrafili upijać się za całe jeden zł. 50 groszy, a nawet coś jeszcze przynosić dla kolegów.

Był też „Rysownik", odwalał ciągle jakieś



mapy, robił na jednem posiedzeniu sześćset sztuk papierosów, i ulatniał się zawsze wtedy gdy trzeba było coś zrobić, a gdy gorąca chwila minęła, zjawiał się spokojnie i... cicho. Na stoliku topograficznym, ku naszemu przerażeniu wciął wszystkie lampy i piece, które później imitowały dozory, cele i t. p. Pomimo ciągłego wcinania pozostał nadal chudeuszem.

Osobliwością był „Kostuchna", jeden z kandydatów na zawodowego, o bardzo „ujmującej"



powierzchowności, gdyż przynosił ujmę dla nas wszystkich Ale „każdemu wolno kochać", więc on kochał wojsko zwłaszcza w kuchni, czego dowodem była jego przyjaźń z kucharzami. Miał dziwny i ciekawy sposób zsiadania z konia głową w dół, mimo to jego grzeszny szkielet owinięty w skórki nie doznał uszkodzeń. Podczas wyjazdu w teren wszystkich wyprzedzał, bo..." szkapa najdzielniejszego rumaka wyprzedzi, jeśli zamiast człowieka duch na szkapie siedzi". Mimo wszystko dobry chłopak, a to że miał tylko dwa piętra dobrze zabudowane zaś w trzeciem wróble, to nie jego wina.

Był między nami wyrzutek, który z powodu swej gorliwości, wszystkich nas doprowadzał do rozpaczy, pomimo, że trudno go było zastać na sali przed capstrzykiem, a jeszcze trudniej po... bo jakkolwiek nie był lunatykiem, stale łaził po nocy z podręcznikiem p. t. „Postawa zasadnicza i jej wpływ na awans" po... palarni Nr. 00.

Najstarszym a zarazem najważniejszym był „inżynier chińczyk", przed którego skośnemi oczyma żaden pyłek nie mógł się uchować. Gdy łaził po piecach czuł się jak artysta na scenie, gdyż bili mu oklaski. Specjalista od zdawania raportów, a gdy nie miał komu, to szukał odpowiednich objektów nawet w miejscu, gdzie honory nie obowiązują. Zamiłowany narciarz, „ta przywiózł sobi narty ze Lwowa, a śniegu jak nima tak nima, a ta trzeba je codziennie wycierać z kurzu".

O innych sprawach, dotyczących naszego życia trudno wspominać, bo są zbyt piękne, aby nie raziły oka przeciętnego czytelnika, a cóż dopiero tak pogardzonego cywila, od którego dzieli nas jeszcze tyle miesięcy.

podch. T. Kłapcia, R. Laidler.

PRZED PIERWSZYM URLOPEM

Dziś awanse na bombardjerów.

Na sali wszystko się trzęsie. Wysłużone łoża pozataczały (niczem geometrzy) dziwaczne łuki, sienniki przybrały fantastyczne kształty kot, grzbietów i ścieków (warunki terenowe b. dogodne). Szef aż pobladł.

Na wszystkich wykładach słychać pobrzęk czyszczonych ostróg, szabel, sprzączek... Gdyby każdy apel poprzedzał wyjazd. No nie. Niemożliwe — jakby wyglądały raporty?

Napięcie wzrasta — zbliża się rozkaz. Wiemy, że ten rozkaz będzie ciekawszy niż wszystkie dotychczasowe, bo przyniesie pewien przełom w naszem tutejszem życiu. 80% z pośród nas ma uzyskać, nie bądźmy poetyczni, pozwolenie na przyszycie sobie belek.

Różne były miny i nastawienia kolegów. W zasadzie nikomu nie zależało na „belce", ale każdyby wolał ją dostać. Byli i zapaleńcy. Trudno byłoby zapomnieć kol. Ch., który cały dzień i kilka nocy (w pewnej ubikacji) rozmyślał nad tem czy będzie miał lokatę... 62 czy 63. Zbiórka. Wchodzi szef. Raport. Baczność, „z dniem dzisiejszym mianuję" i t. d. Co chwilę słyszę wykrzykniki najrozmaitszego kalibru: „jestem" „stem" je — stem". W głowie mi się mąci „Jestem" czy nie „jestem". Nareszcie. Tak. Byłem zawsze skromny. To też jestem przy końcu.

Wzajemne gratulacje... pokpiwania.

Tegoż dnia wieczorem urządzono opłatek (przepraszam, ale nie wiem jakiego wzoru).

Gdzieś z pod niewiadomej szafki wyfrunął lotny (jak jego pieniądze) aniołek „funduszu kol." Zameldował się przepisowo p. kpt. (widocznie i świętym spodobały się nasze maniery). Wyjął wielki worek „ładunków anormalnych" i rozpoczął swoją misję. Takiemu to dobrze. O wszystkiem bestja wie, co komu potrzeba.

Najpierw postanowił ulżyć w kłopotach dowódcy, którego zmartwiło, iż u nas raporty nie były, zjawiskiem rzadkiem i ofiarował mu baterję wzoru „centra" o oślepiającej mocy światła.

Nieustraszonemu wykładowcy topografji — stolik topograficzny, b. dobrze oklejony, koloru zielonego z naniesionemi punktami na... karty. „Wiadomo" — p. porucznikowi, znawcy wszelkich wybryków naszej kuli — geoidę ziemską, wirującą, aby miał czem się „martwić" jak ją odwzorować. Zrozumiano!!

Specjaliście od wzorów i działoczynów zapalnik natychmiastowy, łatwo używalny niezawodny w działaniu wz. 52A63RP/32 — pudełko

zapałek. Nigdy nie zadowolonemu z porządków w rejonie szefowi — przynajmniej raz dobrze posłane... łóżko. Świetnie obznajmionemu z zasadami broni szybkopalnej podoficerowi broni — R. K. M. uproszczony z rękoczynnie regulowanym powrotnikiem... pukawkę. Rzekomo strapionemu brakiem w magazynie 1 pary kalesonów i koszuli podoficerowi mundurowemu komplet bielizny... — kombinację i „napierśnik" jedwabny. Mistrzowi od K. B. K. karabin bez lufy, łatwy do czyszczenia, nierdzewiejący — łuk ze strzałą.

Wszystkim kanonierom jedną wielką... belkę. Nieustannie coś kłapiącemu kol. Kłapci — kłapcioniec rzemienny... kaganiec. Wywodzącemu swoją rasę z gór Atlasu kol. Procnerowi b. sympatyczną partnerkę — murzynkę... obnażoną. Powietrze przesłoniła jakaś niebiańska mgławica i nasz aniołek, tłumacząc się brakiem czasu — zniknął...

Po wzajemnych życzeniach i połamaniu się opłatkiem uroczystość zakończono i wszyscy pomaszerowali na boisko, gdzie dalszy ciąg uroczystości odbył się przy pięknie ubranej i oświetlonej choince.

podch. Kaczkowski.

Galerja sławnych ludzi

(Na melodję: Dudni woda dudni)

1. Feluś Murzynowski
Za szafę wciąż nura
Mówi, że od wody
Cierpnie na nim skóra
Oj dana!

2. Robię w skali mapy
Robię w skali mapy
Jak kto Żuka ujrzy
Przeczyć się nie trudzi
Oj dana!

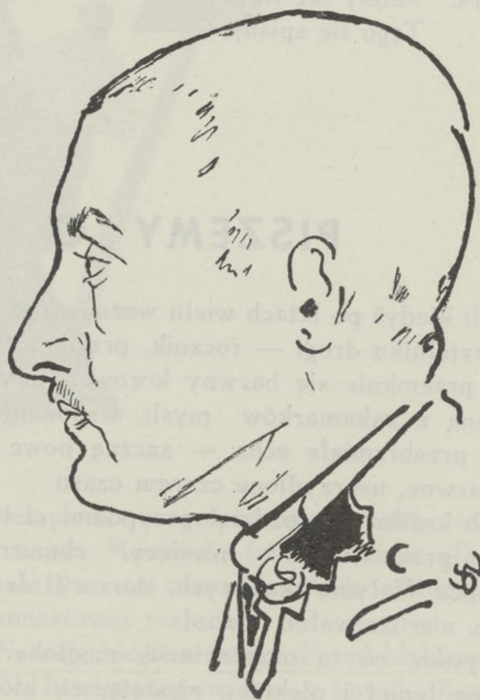
3. Strzelał piorun strzelał
Strzelał z dubeltówki
Wreszcie się skaleczył
U jakiejś tam wdówki
Oj dana!

4. Michel ma czyraki
Świat się o tem dowie
Że z tego powodu
Siedział wciąż na głowie
Oj dana!

5. Biją wciąż Negusa
Chociaż nie jest zerem
Kuzyn jego Procner
Został kanonierem
Oj dana!

6. „Kanonik" nam śpiewa
Teraz gorzkie żale
Bo zamiast na balu
Siedzi w kryminale
Oj dana!

7. Rycerz coś Grodnicki
Warjat czy udaje
Wciąż z angielską flegmą
Do raportu staje
Oj dana!



8. Jest też i karbowy
Palone ma buty
Dwa wiechcie ze słomy
W domu zaś trzy krowy
Oj dana!

9. Sznuk ważna figura
Niech się nikt nie śmieje
Tak jak każdy prezes
Często się zaleje
Oj dana!

10. Hrycyszyn wciąż wzdycha
Ta nie bądź frajerem
Kiosk żem miał w cywilu
Tum jest kanonierem
Oj dana!

11. Zenio zaś Oporski
Hm! Siodło to nie głogi
Słuchał instruktora
Pokrzywił se nogi
Oj dana!

12. Czego u nas niema
Marszałki, Hajduki
Są ciastka i Zioła
Są i małe Żuki
Oj dana!

13. Imię nazwę goni
Co to wszystko znaczy
Jak więc jest właściwie
Wilhelm czy Ignacy
Oj dana!

14. Mamy też Radaja
Tęgo się spisuje
Lecz cóż to za „primus"
Co nafty nie pije
Oj dana!

15. Jest luzak Jarmolik
Sprzątanie uprawia
Jako wzór zaś wiedzy
Kapitan go stawia
Oj dana!

16. Mamy też Wi — ducha
Co nocą nie straszy
Każdy rad go słucha
Bo jest starszym klasy
Oj dana!

17 A wśród starców wielu
Są u nas i dzieci
Za swoją mamusią
Mały Wiesio beczy
Oj dana!

18. Niema u nas wody
Ale są rekiny
Pożarliby wszystko
Nawet porcję gliny
Oj dana!

PISZEMY O NASZYCH

Jeżeli kiedyś po latach wielu weźmiesz w swe ręce czytelniku drogi — rocznik, przed oczyma twemi przemknie się barwny korowód postaci. Powstaną z zakamarków myśli, wspomnienia, dawno przebrzmiałe echa — zaczną nowe życie... barwne, uskrzydlone czarem czasu.

Niech krótki ten rozdział przypomni ci tych, którzy przez wiele miesięcy, chmurnych i w słońcu Wołynia skąpanych, stanowili Jedno, wielkie, nierozerwalne Jedno!

Wszystko, co tu przeczytacie, mogłoby być napisane lepiej i piękniej, niestety, ci, którym w udziale przypadło uwiecznienie kroniki oddziału, są zwykłymi śmiertelnikami, nie wynaleźli prochu, nie mają pretensyj do celowania w doborze metafor.

Opancerzeni wiarą tą słodką, rozpoczynamy elaborat myślowy... chcemy być skromnem ogniwem w łańcuchu tych, którzy przed nami byli...

...pragniemy pozostawić pamiątkę tym, którzy przyjdą po nas!

— — — — — — — — —

W rozsłoneczniony września poranek, na małej włodzimierskiej stacyjce, po tarapatach podróży, wysypuje się na peron „kwiat polskiej młodzieży"... Autorzy niniejszego w towarzystwie kolegów niezdecydowani, czy pójść z gościnnym p. plutonowym, który wyszedł po nas na dworzec, czy też zobaczyć miasto, gdzie mają spędzić ważny epizod życiowy — wybierają to drugie.

Siadamy do dorożki. „Jedź pan przez miasto" — padają smętne słowa: Ożywieni ciekawością młodzieńcy rozsiadają się w „wykwintnym" wehikule, porwanym przez rączą parę typowo włodzimierskich „pegazów".

Zaczyna się miasto. Poprawiamy bujne fryzury. (O Boże! Teraz trzeba to obciąć!...).

— — — — — — — — —

Wchodzimy na teren Szkoły. Po dłuższem czekaniu na pięknem boisku przybywa nam jeszcze jeden tytuł życiowy — jesteśmy żołnierzami.

Walimy na górę. Spotykamy bardzo uprzejmego pana, niedługo poznaliśmy w nim szefa naszego oddziału.



Postępuje z nami, jak rasowy gentleman:

„Panowie będą łaskawi, proszę za mną. Tu pańskie łóżeczko, a tu szafka". Omal nie mówi proszę się rozgościć i czuć się jak u siebie w domu, tylko jego brwi — i marszczące się nawet przy uśmiechu czoło wróżyło coś nieznanego.

Jesteśmy mile rozczarowani — skostniałe w skurczu obawy twarze, zaczynają się rozprężać, pierś swobodniej falować.

Niestety, jak pozory mylą. Czar szybko, bo już po włożeniu zwierzchnich okryć „barwy ochronnej", prysł...

Mozolne są te dni rekruta. Choćby taka zbiórka. Do modlitwy bez pasów w furażerkach, do zajęć w pasie i furażerce, na wykład w pasie bez furażerki. Strasznie skomplikowane. W pasie — bez pasa, w czapce — bez czapki, albo w czapce bez pasa, z pasem bez czapki, w pasie i w czapce. Mówić nie trzeba, jak wyglądało to w praktyce, co oczywiście było przyczyną natychmiastowej reakcji.

„Na salę biegiem marsz. Przed blokiem zbiórka. Na boisko biegiem marsz. Lotnik! Kryj się!"

Te dźwięczne słowa poczęły nam grać niemiłosiernie i grały — całe szczęście — niezbyt długo.

Nim minął okres rekrucki, przestały wywierać piorunujące wrażenie. Nasuwa mi się analogja — ruch artylerzysty - rekruta jest szybki, ba, bardzo szybki, jazda konna możliwie najbardziej odwrotnie. W miarę przyzwyczajania się do kłusa, nawet galopa, traci władanie własnemi nogami, których żadna siła nie może wprowadzić do wyższego chodu, niż stęp.



Kpt. Mrówczyński, kpt. Kobylarz, por. Żaboklicki, por. Miklaszewski

Zaczęła się twarda praca nad metamorfozą, „zamazanych cywili" czy „mamusi-synków" (nie mam na myśli Ptasia), na dziarskich żołnierzy. Jeśli rezultat choć w pewnej mierze był pozytywny, jest to owocem naprawdę rzetelnych wysiłków panów instruktorów, a przedewszystkiem p. kpt. Mrówczyńskiego.

Bo czyjaż to zasługa, że myśmy najgłośniej się meldowali?

Gdy służbowy zmuszał kolegów swym wrzaskiem do ochrony uszu, komunikując dowódcy: „w czasie mej służby nic ważnego nie zaszło"— marsowe jego oblicze rozpromieniał uśmiech, a zdawałoby się mało treściwe, dla nas jednak wymowne słowo „tak" — nagradzało niebezpieczeństwo zerwania strun głosowych.

„Co on się kłania! Nie wiecie, jak stoi się na baczność, wyżej głowę — tak".

„Cywil jesteście, jak wy, Jakubowski, tę rękę opuszczacie. Nie można tego zrobić szybciej? No, zasalutujcie jeszcze raz — tak."

Nieraz podczas musztry pieszej przelatywał szept elektryzujący: „Uwaga — wódz idzie!"

Wszyscy prężą się, mimowolnie każdy spogląda w prawo. Pada komenda: „baczność! — na prawo patrz!" Niestety, nie zachwycamy dowódcy.

„Mocniej, nie żałować tych nóg" — woła p. kapitan.

„To trzeba zrobić tak" — wysuwa się z pod płaszcza niezbyt klasyczna, ale silna noga — całą stopą walcie o ziemię".

Długo biliśmy w tę urodzajną glebę wołyńską, nim wydobyliśmy słowo — „tak".

Trudno było zadowolić naszego wodza.

— „Co, już wam zimno, wy nawet nie wiecie, jakie tu mogą być mrozy. Jedną noc nie spał, a już chodzi jak nieprzytomny. Cobym z wami robił na wojnie, gdyby tak 3 dni trzeba było nie jeść i nie spać.

A na wykładach: „Cicho tam. Czy mam was przymknąć".

Jednak mało nas przymykał, a pod srogą napozór twarzą krył się człowiek dobry i na „grzechy młodzieńcze" bardzo wyrozumiały. To też wiara szczerze przywiązała się doń i prosto, po żołniersku kochała swego wodza. We wspomnieniach zawsze będzie budził oddźwięk najszczerszej sympatji, a w życiu, uwagi jego napewno nieraz będą cennym drogowskazem.

A teraz kolej na „kogoś", z kim obcowaliśmy może najwięcej — p. kpt. Kobylarz.

Zapomnieć można wiele, boć przecie poprzez jesień i zimę wołyńską, biegły ku nam chwile bądź różne, bądź tak bliźniaczo do siebie podobne, że zacierać zaczęły powoli swą wyrazistość...

Ale chyba zapomnieć nikt nie potrafi tych z nim spędzonych godzin, zarówno w terenie, jak w pamiętnych konturach sal wykładowych.

Postać i ruchy p. kapitana zdawały się mówić: „Napoleon był mały, a był dobrym artylerzystą, i ja nie jestem wielki, a też... artylerzystą jestem"...

„Człowieku nieszczęśliwy — mawiał, — wyście źle spali dzisiaj, lub sen przykry mieli, herezje opowiadacie, wstrzeliwania obramowującego jednem działem nie umiecie... To źle! Zameldujecie się u dowódcy do raportu — za wyjątkowe lenistwo. Znikajcie, znikajcie, bo zabiję, spalcie się czemprędzej!

Często dziwił się p. kapitan, jak przy podziale nas na grupy, tylu hamanów potrafiło stanąć w pierwszym szeregu.

„To jest obserwacja? Chodźcie, zobaczcie, toż to wygląda, jakbyście spacer po 15-tu... piękną łączką urządzali... po co bujać, drogi panie Figielski? Po co?...

A kiedy p. kapitan grzmiał swym głosem, rzucając pioruny spojrzeń i wzywając pomsty Niebios i Hadesu (nierzadko) — straszna trwoga padała w nasze szeregi. Nawet ci, którzy po szaleństwach tanecznych, pragnęli mieć w ostatnich ławkach trochę sennego spokoju, otwierali



fot. Suchocki

zdziwione oczy, pytając: co? co?... o co chodzi?... ty... mów, gdzie dozór, co my właściwie niszczymy?" Człowiek ten jednak posiadał w sobie coś, co mimo wszystko, kazało go uważać nietylko za „alfę i omegę" (nawet „lambdę") wszystkich strzelań, ale... kochać, tak, właśnie kochać.

Myśmy wiedzieli, że gdyby ktokolwiek z nas strzelał naprawdę do nadjeżdżającego czołgu (nawet z zepsutemi gąsienicami, poruszającej się piechoty), ewentualnie atakującej (przypuśćmy: nawet stępem) kawalerji, to zanim baterja oddałaby pierwszy strzał, dusza każdego z nas dawno błądziłaby po Polach Elizejskich, lub ta sama dusza, przyobleczona nadto w członki nędzne, zewnętrznością swą świat napróżno wstydzące, siedziałaby sobie na tapczanie instytucji... izolacyjnej w... Warszawie na Dzikiej, Lublinie na Świętoduskiej, a już conajmniej, dobrze znanego nam „44".

Sam zaś był bożyszczem orjentacji i szalonego tempa wszystkich strzelań i „wcinań".

Jakże dobrze dał nam się poznać w krótkim czasie wodzostwa swego, gdy pod nieobecność d-cy nam hetmanił. Pamiętacie te długie sznury rycerzy nieśmiertelnych, ciągnące co wieczór i rano przed pobudką na przeglądy, a potem złowrogie obietnice obdarzenia delikwentów kryminalnych „tem co mam" i „co mam, to dam" (coś około 5 dzionków ścisłego).

Chyba nikt nie nastawiał nam tyle „koni" i „trój bezapelacyjnych", jak on, i żadna repetycja nie oplatała nas skurczami dreszczu, jak właśnie z instrukcji i topografji.

I... chyba nikt nie miał takiego.. uśmiechu, jak on. Uśmiechu, którym „łeb urywał hydrze naszych ponurych myśli o lokatach, którego jednak zbudzenie było dla nas sztuką tajemną, niemniejszą, niż strzelanie samo...

— — — — — — — — —

„Wszyscy do mnie biegiem marsz — znacie to wyrostkowie mili, o kim mowa?" — Toż to por. Żaboklicki, zwołujący rozkosznie w zasłonach terenowych kryjących się gorliwców. Rzucamy kątomierze, tyczki, taśmy, biegniemy co sił w kończynach do swego dowódcy, kreślącego nogą na piasku stanowisko baterji, dozory, cel i t. d. i t. d.

Następuje wykład. „Kto rozumie — rękę do góry". Wszyscy naturalnie podnoszą ręce. „A kto nie rozumie? — nikt nie podnosi. Pan porucznik uśmiecha się i... zaczyna wykładać to samo na nowo. Następnie tradycyjnie wyzywa bomb. Stacha, aby powtórzył. Niekiedy udaje się, a jeśli nie... otrzymuje miano „cymbała" i wstępuje na swoje miejsce.



„Czy mam was przymknąć"

Ileż to godzin spędziliśmy, ćwicząc „na pas" i „do nogi broń"? Nie poszło to na marne... Pamiętacie uśmiech pana porucznika, chwalącego nas?

Pamiętacie trudy nasze, wyróżnione odznaczeniem nas na defiladzie 11-listopadowej?

I... czyż praca nad nami tego miłego porucznika nie należała — do owych bardzo jasnych stron życia wojskowego?...

— — — — — — — — —

Trudno nie wspomnieć o tym, który nam cały rok „działo czynił" i miejskich chedraków „Wuefem" w „sztekkerów przerabiał". Choć autorzy niniejszego, swem prawniczem pojmowaniem „sprzętu" nie wzbudzali w nim zaufania, dziarsko za jego głosem ćwiczyli „obsługa na wozy" i... przeciwnie, — objektywizm wszędzie!

Arbiter elegantiarum, pan porucznik Miklaszewski, był dla nas wzorem dobrego tonu. Subtelność jego na ujeżdżalni zestawić można tylko z tkliwą melodją słowika, lub cichym szeptem stęsknionej dziewicy.

Często jednak budziliśmy współczucie w p. poruczniku.. Nietylko stawiał nas za zasłonę, aby ochronić od wiatru, lub zezwalał na „nieśpiewanie" podczas mrozu, ale ubolewał nawet nad tem („biedaki... biedaki..."), że w gimnazjach po macoszemu nas uczyli, że uniwersytety też... niewiele nam dały.

Jeśli mniej, niż życzył sobie p. porucznik, przyswoiliśmy sobie od niego wiedzy wojskowej, niech nam to wybaczonem będzie, chęci zawsze mieliśmy najlepsze.

Wydawane „dźwięcznym" głosem komendy: „bomb. S... do mnie, po drodze 10 razy padnij"— wywierały zbawienny skutek. Skakaliśmy koło dział, jak szatany, nastawy „kręgu i bębna" szły w szaleńczem tempie... ku własnemu tylko niestety zadowoleniu.

Pan porucznik uparcie twierdził, że zwykły kanonier w pułku prędzej się tego nauczy.

W miarę przedłużania się pobytu w S. P. R. A., zżywaliśmy się z p. porucznikiem coraz bardziej, doceniając, że celem wszystkich jego wysiłków było wychowanie nas na dzielnych, zahartowanych do spełniania ciężkich obowiązków żołnierzy...

— — — — — — — — —

Kto z nas zapomni wodzów jazdy konnej, wśród nich zaś nieśmiertelnego uczestnika wszystkich konkursów hippicznych i szczęśliwego triumfatora ostatniego „Biegu Pocieszenia", p. por. Maziarza.

„Zefirem" się zwał (czytelniku — to imię owego konnego zwierzątka tylko...) — pamiętam...

Sam wódz był specjalistą od „przekręconych wodzy", łydek i „palców do konia".

Ileż płodny umysł tego człowieka zrodził fantastycznych określeń naszych „wsiadów"? O Boże! Poprostu mnóstwo, poprostu zabardzo!



Pamiętacie tę bajeczkę... o pięknej dziewoi, której p. porucznik nie chciał pocałować, by nie zbudzić w jej serduszku orkannych żądz, a w konsekwencji, by nie przyczynić się do powiększenia społeczności — o takiego „gzymsa", „jak wy, kanonier Malesa".

Albo np. propozycję zrównania swych zdolności naukowych ze wzrostem i pocałowania, na kolanach klęcząc, — satelity w... oba wybladłe policzki... To znów przedziwne skojarzenie faktów historycznych, jak np. coś w tym rodzaju: „Przyjaciele! Słuchajcie... gdyby rycerstwo polskie, które za Bolesława Chrobrego, Muzułmanów pod Lignicą stratowało, powstało z grobów i zobaczyło takich kanonierów z cenzusem... toby z żałości spowrotem do grobów wstąpiło"...

Były chwile, kiedy zdawało nam się, że „umrzemy w krzyku"... czuliśmy zawrót mętny nietylko... w głowach. Kółko i „jazda na ogonach" w kłusie ćwiczebnym wytrzęsły nam niemal wszystko. To, co zostało jednak — trzęsło się z radości na wiadomość wyjazdu w teren i kochało tych, którzy tak zmyślnemi sposoby... nietylko „wsadzili" nas w siodło, ale również wpoili sentyment jazdy konnej.

— — — — — — — — —

Wspominając o wszystkich, niesposób pominąć bezpośrednich przełożonych — instruktorów p.. podoficerów i im choć słów niewiele poświęcić.

Początkowo byli wcieleniem słów Skargi (coś tam o biciu dziateczek rózeczką i w... coś), w miarę jednak zżywania się z nami, stawali się raczej ich antytezą.

Któż z nas nie wspomni Szefunia srogiego z wiecznym marsem na czole i oczyma, któremi chciał każdego z nas przeniknąć, tak jakby znał „Dekalog pierwszo-działowy".

Albo kto nie pamięta Łazarza, dzięki któremu tak często latało się do brogów, lub kryjąc od „lotnika", wdychało czar ziemi Wołynia?

A Rysia Millerka, który cały czas rywalizował zaciekle z niezastąpionym wykładowcą sprzętu p. plutonowym Kaletą, by w rezultacie ulec temu fanatycznemu entuzjaście z honorem".

Dziś jeszcze zda mi się słyszeć „harmonijną grę" p. Kalety na... gwizdku.

Zastępował nam Golda, a głos instrumentu tego wibrował radośnie, nietylko w narządach słuchu, lecz nierzadko dochodził do przełyku, klatki piersiowej, przewodu pokarmowego, a nawet pięt.

W ostatnich dniach ponoć miało wyjść nowe wydawnictwo, którego autorem był plut. Kaleta, a nakładcą nasz fundusz koleżeński.

Ma to być książka, zatytułowana: „Błogosławiony żywot świętego Regulaminu". Ze źródeł nieoficjalnych dowiadujemy się, że wobec nowego projektu reorganizacji armji, podanego przez Tolka Hoppego na ostatniej klasówce z Wb. — p. plut. Kaleta odstąpił od zamierzonej pracy.

— — — — — — — — —

Jak czułbyś się czytelniku, będąc np. Lublinianinem, gdybyś po prawicy znalazł „wąsatego" mieszkańca Lidy, z lewej pieruna z Katowic, w nogach młodzieńca ze Stanisławowa, a „za zagłówkiem" jakiegoś „gbura" z Grudziądza. To też miny małoróżowe, a w obcowaniu daleko posunięta rezerwa. W miarę jednak, gdy „pan kolega" zamieniał się w Cześka, czy Staśka, a nawet dalej, bo szybko asymilowaliśmy swój sposób wyrażania do stylu ujeżdżalni, wypogadzały się oblicza, poprawiał humor.

Szybko zatarły się różnice środowisk, staliśmy się naprawdę związaną całością. I — o nieba, prędzej, niż spodziewałem się, koledzy z apety-

tem, zaczęli wypróżniać zawartość moich paczek, a Stasio perjodycznie czyści buty moją pastą.

By kształcić się nietylko na dzielnych żołnierzy, a także na dobrych obywateli — tworzyliśmy niebawem różne samorządy.

Ideowo przewodził nam duży, a młody (oczywiście, wiekiem), sympatyczny Andrzej (wydawca dzieła p. t. „Kobiety w mojem życiu"). Naocznie przekonałem się, że „wielcy ludzie" mają „złote serca", cały czas pełnienia przez niego funkcji p. o. szefa zawzięcie godzinami czyściłem buty.

Sekretarzował mu dzielnie, niestety, już nie wiekiem, młody Olek (domicilium jego Lida). Pamiętacie koledzy, jakie piękne pisał protokóły z naszych zebrań?

Ambicją jego była jazda konna. As woltyżerki, niewątpliwie byłby prymusem w zastępie, gdyby nie znalazł godnego przeciwnika w starszym klasy. To też wszelkie wywody Olcia w naukowych dyskusjach przerywał Wilek: „dość, następny dureń" — było to naprawdę tylko złośliwością.

W dziedzinie gospodarczej (fundusz koleżeński) wybili się Jurek z Radomia i znany sportowiec, zwycięzca wszystkich biegów i gier — Burbeją zwany.

Podziwialiśmy często opowiadania tego herkulesa lwowskiego, o wyczynach sportowych — żałujemy, że niestety nie miał okazji czynnego ich potwierdzenia w naszej obecności.

Niemniej lekką ręką darowaliśmy mu ten mały „wpadunek", gdy razem z Witkiem Nagórskim uparcie przyznawali się do palmy pierwszeństwa w tym samym niestety biegu narciarskim.

Jeśli przechodzimy do opisu szarego człowieka, zacząć wypada od tych, którzy się pierwsi wsławili, a panu kapitanowi przy odprawie służby, niestety w czapkach bez podpinek, poznać dali.

Winą ich był... zły zajazd.

Choć wmieszał się w to nawet oficer służbowy Szkoły, choć delikwentom wyraźnie łydki dygotały, burza przeszła szczęśliwie i to dzięki temu, że inżynier Woźniak wyglądał „jakby do trzech doliczyć nie umiał", czem zupełnie rozbroił dowódcę.

— — — — — — — — — — —

Albo Kapłon — skromne słówko, jak dużo jednak mówi o starszym klasy „Bimbusem", lub popularnie „głową (wspak) z uszami" zwanym. Meldował zawsze na „dziesiątkę", szczególnie buńczucznie wykrzykiwał gdy czuł swym niezawodnym instynktem obecność przełożonych. Ostrogi jego sypały jarzące skry.

Biedny byłby jednak ten, ktoby jakiejś naukowej informacji pragnął od niego zasięgnąć. Odnosiliśmy nieraz wrażenie, że w człowieku tym drzemią jakieś dynamiczne uczucia tęsknot za niebogą, że jest jako ibis smętny z duszą w sonet miłosny zamienioną.

Z jednym Lilpopem jakoś się rozumieli... Fajny to był chłop ów Lilpop, mimo swojej 30-ki, i dyplomu inżynierskiego, kryjącego się skromnie w zanadrzu bluzy. Przeszłość jego, oprócz fragmentów kilku — była tajemnicą. Dwóch rzeczy jednak nie zdołał ukryć:

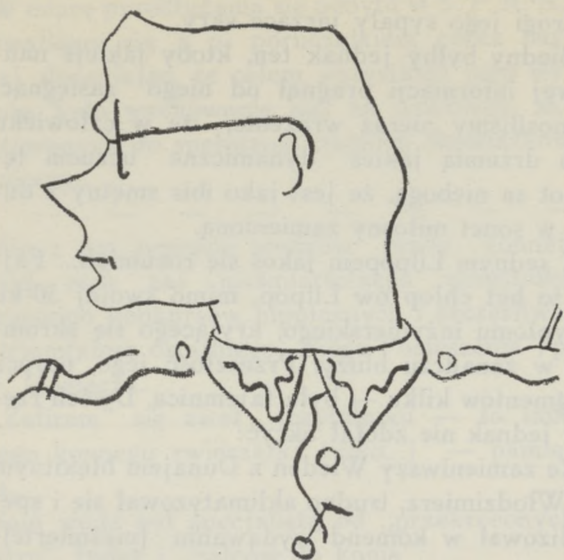
Że zamieniwszy Wiedeń z Dunajem błękitnym na Włodzimierz, trudno aklimatyzował się i specjalizował w komend wydawaniu (nieśmiertelne „prawo równaj"). Braku zaborczości względem płci pięknej, choć czyjeś „szare oczy" słały mu anonimowo tęskne spojrzenia.

Jurek i Romek, dziwnie ich los razem łączył. Specjaliści od „pływania", którzy w opinji naszego wykładowcy za instruktorów tej sztuki uchodzili. Przy repetycjach, pięknem słowem walcząc, nie jedną tajemnicę „czarnej magji" z zakresu instrukcji i topografji wyrwali. To, że Jurek miał słabość nie do „ciał niebieskich", a Romek „wcinał" lepiej dary Boże, niż „wprzód", czy „wstecz", nie zawsze było winą intensywnego zwiedzania Włodzimierza (przyznać należy, że w to najwięcej wkładali energji).

Kiedy mowa o „wyciorach" — uszanujmy reklamę regjonalną. Otwiera ją „Kantuś-Spinozuś", znany „pedant i służbista", który za dokładne celowanie na działoczynach („na włos"... i coś tam o pannie Marjannie; vide „Podręcznik dobrego tonu", A. Łazarz), rekordy odwalał w pląsach do brogów i siadach na gołoledzi przed działownią.

Miał śliczny, melodyjny, pełen niewypowiedzianej ekspresji głos, ale miał również... pecha! Zawodził go bowiem ów głos w momentach nader ważkich, bo przy komendach. Ileż to razy p. kpt. Kobylarz proponował mu strzały „zgni-





łem powietrzem"? Ileż razy wołał strapiony: „Mamo! Warjat!" Nie pomagało to jednak wiele... D I zawsze powiedział, ale dalej nadchodziło melodyjne jąkanie.

Odnosiliśmy wrażenie, że chciałby zaśpiewać jedno ze swych ulubionych tang:

„Ktoś mi wszystkie słowa odjął"...

Z nim razem dość często szalało z miotełką na działownię inne chłopię — „marzycielem" zwane. Przy odliczaniu „do 2" — mawiał zawsze i zdecydowanie 3.

...I tu następował gest, zwany wdzięcznem ust otwarciem.

O jego wiedzy artyleryjskiej świadczy skromny fakt wychowania klasycznego.

Hej, prymusów gromado, drżyj. Na was kolej... Mieliście wygórowane ambicje, celowaliście we wszystkiem... Zresztą, któżby mógł wypić więcej, niż Doduś. — Mężczyzna ta słodka, zawiodła w chwili decydującej, bo przy oklejaniu stolików topograficznych, w żaden sposób nie mogła przypomnieć sobie obietnicy współpracy danej p. kpt. Kobylarzowi.

Wywijałeś się biedaku, jak wąż, nie chcąc zdradzić swych nieprzeciętnych zdolności introligatorskich, aż wreszcie wyszło na jaw... obietnica dana była po 20-tym i... którymś.

Bliźniaczył ci Dodusiu — Tadziulek, na wodach K. K. O. hodowany. Niewątpliwie hodowała go również ciepłota „matrymonjalnych pieleszy", niemniej jednak podobnie pogodnie usposobionego Żonkosia należy ze świecą szukać.

W tem miejscu niech nam wolno będzie złożyć gratulacje, szczęśliwej małżonce, — z powodu tak cnotliwego Tadzia.

W zespole naszym uwił swe gniazdko pewien ptak nocny — Sową zwany, zapamiętały przeciwnik snu, ale... tylko w nocy. Jak często widziało się go „kimającego" rozkosznie i raz wraz dotykającego noskiem pulpitu ławki wykładowej. Raz nawet udało mu się to zrobić w towarzystwie jednej z pięknych tancerek na zabawie harcerskiej... Ha trudno. Ponoć ptaki tego gatunku najchętniej we dnie sypiają...

A któż tam za szafką stoi?

A... już wiemy, to stały tego miejsca bywalec — wiośniany Bromcio,

„Perjodkiem" (ale tak cichutko, żeby Janeczka nie słyszała...) zwany.

O Nieba! Kandydat na prymusa — otwierający kondukt prześmiesznie żałosny, pod osławiony 44.

Instytucję tę odwiedzali różni i... czasowo różnie.

I ci, którzy „Złotą Renetę" z nad Gopła w nadmiernych ilościach golili.

I ci, którym rozszarpane nerwy, repetycyj zdawać nie dawały, i tacy wreszcie, „którzy służbowymi będąc, w snach o ukochanej się „ćwiczyli", pozostawiając nasz inwentarz żywy i martwy, a także karabelę swoją, na łup zaborczy służby inspekcyjnej S. P. R. A...

Odchodzącym śpiewano w „Mogile ciemnej". A w ponure i wiatrem smagane noce, słychać było ponoć śpiewy cichsze nieco, nakształt kwilenia, dochodzące z pod zegara wartowni.

Śpiewano niektóre wyjątki z „Pajaców" Leoncavallo.

A jednak, te smutne napozór przeżycia miały również swój niezaprzeczony urok.

Dość tych ponurości... uśmiechnijmy się, bo oto przepycha się na korytarz z za ośmiu taboretów — „Ptasio"...

Wiecznie roztargniony, działonowym będąc wyznaczał niewolnika, do łóżka swego słania i butów czyszczenia. „Grubą Bertą" go także zwano i... Jasiem wonnym.

Nieodłącznym towarzyszem jego — był „Toluś" (Ptaś... pożycz szasery), wieczna i niestety niezbyt szczęśliwa konkurencja miłosna z niejakim J. W. P. mgr. „Ojlem". W przyszłości nagrodzono go sowicie — dostał p. o. szefa, by lawiny żółci, mógł wylać na podwładnych.

P. „Ojle" (herb również nieznany) zdawał się być konkurentem niepokonanym, jednak i tu ponoć sprawdziło się niebawem, prastare polskie przysłowie: „Gdzie dwóch walczy — tam trzeci korzysta".

A Klausa i jego towarzysza niejednokrotnych wyjazdów do znanego portu morskiego — Zbyszka Sch... pamiętacie. Nie jest że to dziwne, że dwaj ci ludzie z tak przeciwnych krańców Polski pochodzący, w sztuce swej rozumieli się tak doskonale?

To, że Klaus przewyższył swego „kumpla" zmuszając do pracy wszystkich sprzątających całego rejonu, a Zbysio „ograniczył się do sprzątających kolonji „konusów" — to tylko niejednakowej mocy trunków wina...

A śpiew ów wśród ciszy wieczornej, co tyle trudu sprawiał służbowemu przy zwołaniu zbiórki... pamiętacie nasi kochani?

To miły „kanonier z pyzikiem", Filar, niezawsze podpora i Wiluś diva operowa wdzięcznemi głosy wymyślne „Żurawiejki" śpiewają. Ile tam pomysłów się zrodziło? Szkoda, że młodym artystom trudno się wybić, zapewne dlatego tylko do literatury muzycznej nie przejdą.

Śpiewakom sekundowali dzielnie niemniejsi artyści z innej już wprawdzie branży. Bela — prezes honoris causa sekcji „Dek" (...biedaczek mimo „zagrożenia gruźlicą", przetrwał służbę dzielnie) i Loreth — w śpiewie rywal Kiepury, i nasz Leonardo da Vinci.

Wiele on spłodził portretów, wzbudzających u kan. z cenz. tęskne wspomnienia i zmuszających ich do „słodkich" przeżyć sennych.

A naszego Miecia, odtwórcę „Melodyj Warszawy", nieśmiertelnego wirtuoza żywego słowa.

Czyż nie był rarytasem obiadów żołnierskich? Życzymy Ci Łodzianinie drogi, byś w życiu nie był pechowcem „13-ki".

Tyle, tyle przesuwa się postaci...

Dwa „konusy cholerne" Karczmar i Milanowicz co nietylko wzrostem zaufanie p. kpt. Kobylarza budzili. Bolcio Woronowicz na szczęście z gruczoły małpiemi nie mający nic wspólnego.. Ramzy długonose, magistry „górne", które za szafkami ślęcząc wiedzę artyleryjską nocami wchłaniali... wreszcie największy rangą



płci pięknej uwodziciel, Stefcio z domu „Mickey Mouse".

Czas kończyć — ha trudno, jesteśmy słowianami (aryjczykami może — nie? podpowie złośliwie „primabaleryna" — Kulak) i... każda najmilsza nawet rzecz, ma ponoć swój koniec.

Przestrzeń, jaką rozłożą lata między to, cośmy przeżyli wspólnie, wspomnienia nasze opromieni... Jeśli między szpalty nieudolne, wpełzła podstępnie myśl jakaś kąśliwa — niech nam to przebaczone będzie. Jednego jestem pewien, że starcami będąc niejeden z nas zanuci:

„...czy jest piękniejsza szabla, niźli nasza czarna?".

Podch. *Skorzyński Jerzy i Staszewski Romuald.*

P O B U D K A, WSTAWAĆ!...

(Plagjat świadomy w/g M. Samozwaniec)

Był to świt przeciągle bolesny, jak śpiew bociana. Siwa mgła — omętnica omamrotała swym zjadliwym wyziewem świat, tu i ówdzie migotały kropelki wody, zwane przez cudzoziemców dżdżem.

Olejniczak, jak trup blady, jakby przez sen otworzył powieki, przetarł je alabastrowym kułakiem i spostrzegł, że jest tylko w jednej koszuli. Czemprędzej więc zapiął pierzynę jedwabną pod szyją, wstydząc się słońca, które zaglądało do koszar, jak czuły małżonek do swej kochanki. Po namyśle odgarnąwszy garść włosów, którą mu sen śpioch niepoprawny, narzucał na czoło, wyskoczył odważnie z łóżeczka i klasnął ochoczo w obie dłonie.

Prawda! — toż dzisiaj ma iść ponoć z fuzją na musztrę pieszą. Wszak mówił wczoraj plutonowy. Zastanowił się: — „bodaj to prawda". „Biedny plutonowy, trzeba mu to wybaczyć i dopomóc, on taki dobry".

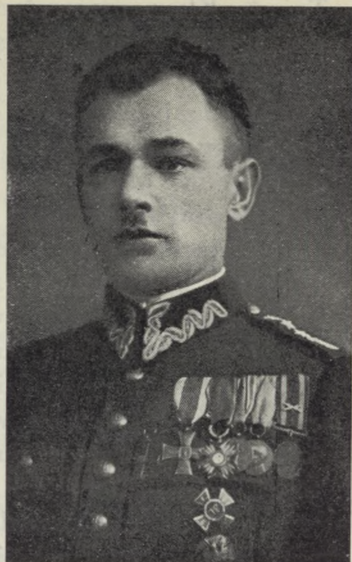
I jego, Olejniczaka kolebał, jak gdyby był niemowlęciem przy piersi.

Wesoły jak pasikonik, chociaż jakiś utajony smutek leżał mu wyraźnie między brwiami, obuł swe sarnie nóżki w pończoszki fil d'Ecosse, połangielskie. Poczem przemiłym ruchem przerzucił na siebie przez głowę zręcznie swe-

terki i odziawszy się w matinkę różaną, przy której cudnie odbijała jego cera matowa, w czerwony rzucik, podszedł krokiem kontredansowym do srebrnego umywalnika — nucąc znaną piosenkę: la, la, la, la

Podchorąży *Marjan Eile.*

NASZ **ZESPÓŁ**



Kpt. Alfred Prager

Wszyscy razem tworzymy jedną wielką rodzinę — z każdym dniem coraz bardziej zespalającą się. I choć niedługo już jej więzy organizacyjne rozerwą się, każdy z nas pójdzie odrębną drogą, to jednak duchowo pozostaniemy na całe życie członkami naszego zespołu.

Dlaczego? — narzuca się pytanie. Odpowiedź krótka. Bo na tych twardych ławach, wśród tych surowych murów staliśmy się żołnierzami. Tu wśród doli i niedoli poznaliśmy się nawzajem, tu może poraz pierwszy ujawniła się wśród nas zespołowa ambicja, dzięki której dążyliśmy zawsze, na czołowe miejsca. I tu wreszcie wsłuchani w mocne, twarde, żołnierskie słowa naszego dowódcy, złożyliśmy nieme ślubowanie pozostania na zawsze wiernymi głoszonym nam ideałom. Wytworzyliśmy własną ideologję, nieoderwaną od życia, a o tyle „naszą", że jest wynikiem wspólnej pracy myślowej nas wszystkich, jest wyrazem wspólnych dążeń kilkudziesięciu młodych żołnierzy, związanych z sobą ramami jedności organizacyjnej.

Odrębność charakteru naszego zespołu nie wyraża się tylko w jego obliczu ideowym. Tak samo w codziennej, szarej, żmudnej pracy nasz zespół odznacza się wieloma specjalnemi cechami. Stworzyły one nasz własny światek, pełen swoistego indywidualizmu. Gdy kto zapytał któregokolwiek z nas, z którego jest zespołu, a ten odpowiedział że od „Pragera" — wiedziano już bardzo wiele. Dlatego może tak zwana „proza" naszego codziennego życia nie jest tak bezwyrazista i zpewnością zostaną po niej wspomnienia:

Nazewnątrz tworzyliśmy jedną, nierozerwalną całość, ale baczny obserwator mógł zauważyć różnice, jakie zaznaczały się w naszem wewnętrznem życiu. Były wśród nas dwa "światy". Pierwszy smukły gotyk, pnący się ku wyżynom pełen finezji i subtelności — drugi baryłkowaty barok, przyziemny wprawdzie, ale zato solidniejszy, „masywniejszy". Pierwszy miał w swojem łonie tak zwanych „prymusów", drugi tego zaszczytu nie dostąpił, wiadomem wszakże było, że na wiedzy asów drugiego, naprawdę można polegać. A cóż powiedzieć o naszych najdzielniejszych organizacyjnie grupkach? Pierwsza była jak jabłko tyrolskie, nazewnątrz piękna, wewnątrz zepsuta. Druga nie wadziła nikomu — domicilium solidności, w niej stały łóżka „senatorskie" starszego klasy i starszego grupy. Trzecia — to „małopolska granda", czwarta najwięcej się obżerała i najwięcej zbierała raportów, piąta była muzykalna, czyżykiem i świerszczem zalatywała, zaś szósta była chyba warszawskim pensjonatem „pod ojcem Maciejem".

Rządził nami wódz groźny, a surowy. Mistrzowsko strzelał nam „w kuper", zawsze w kierunku, otrzymując zwarcie po pierwszym strzale. Byliśmy mu oddani całą duszą, bo rozumieliśmy, że jego twarde, mocne, żołnierskie słowa uczyniły nas prawdziwymi żołnierzami. Czuliśmy, że jest przywiązany do nas jak prawdziwy, szczery opiekun, to też i ceniliśmy go jak swego opiekuna, a nie jak zwierzchnika tylko. On najwięcej przyczynił się do uczynienia z naszego zespołu jednej, wielkiej rodziny. („Aniołku! Jak w bęben na Boże Ciało").

Drugi oficer, to „nasz p. kapitan". Czuwał nad tem, by nam się instrukcja strzelania z topografją „nie popajdały w głowie („Siup! Tata za krzakiem. Wystrzał!).

Pan kpt. Święcicki z miejsca poznał się na naszej wartości. Nieustannie żałował tego mleka, któregośmy tyle wypili, bezużytecznie. Jego zdaniem, — siedząc w Szkole. Ogromnie nie lubił leni i śpiących dotkliwie dając się im we znaki.

Najmłodszy oficer, pan porucznik Józefczak był mistrzem od „fikołajek" (specjalność naszego zespołu). Pozatem był postrachem służbowych oraz wszystkich meldujących się („stójcie na baczność przyłóżcie ręce, zapnijcie guziki"). Nazwaliśmy go też lotnym inspektorem szafek, które potrafił otworzyć w „najnieodpowiedniejszym momencie". Dzięki niemu salutowaliśmy najprawidłowiej w całej Szkole i najstaranniej mieliśmy obciągnięte płaszcze.

Przejdźmy teraz do naszych bezpośrednich „opiekunów" pp. podoficerów.

Najstarszym był p. plutonowy Suszek. Nie rozstawał się nigdy ze swoim gwizdkiem, którego już sam widok zmuszał nas do pośpiechu. Czuł ogromną antypatję do miejscowości Garwolin, bo ilekroć chciał kogoś nazwać stereotypowem określeniem wojskowem „oferma", zastępował je charakterystycznem powiedzeniem „chłopie z Garwolina".

Pan plutonowy Pierścionek, opiekun armat i pakuł, nikomu nie zawadził, nikogo nie skrzywdził. Gdy się tylko mocno rozgniewał, słyszeć można było dosadne słowo „do chulery jasnej".

Miano „arbiter elegantiarum" słusznie się należy p. plutonowemu Szawrackiemu z wyglądu i z urzędu. Sprawując bowiem funkcję podoficera mundurowego, swoim wyglądem zewnętrznym dawał przykład rozmaitym flejtuchom, jak żołnierz winien być ubrany. Bezlitośnie i z nadzwyczajną precyzją wykrywał kurz we wszelkich płaszczach i innych kocach.

Pan plutonowy Michalski i kapral Dmitrewicz to „dwie ostatnie nowości zespołu", z któremi bliżej nas nie zapoznawał żaden karny raport, ani kubły wody (dobre chłopy).

Takimi zostaną nam w pamięci nasi przełożeni, takim cały nasz zespół, a pamięć ta nieraz może osłodzi chwile smutku i troski życiowej.

Podchorąży *Sławomir Sokołowski.*

JAK ZASTALIŚMY KOSZARY MUROWANE, A ZOSTAWILIŚMY DREWNIANE I MALOWANE

Iluż to Migdalińskich w rejonie sali wykładowej łamało sobie głowy nad zagadnieniami położenia nieprzyjaciela, nad tajnikami ugrupowania pułku w marszu ubezpieczonym i kolejnego zdobywania horyzontów. Ta więc kuźnia wiedzy, w której wykuwały się takie złote myśli, jak naprzykład: „rozróżniamy rozpoznania bliskie, dalekie i... lekarskie!", stała się osią zainteresowania naszych architektów, pragnących ozdobić ją i upiększyć. Główną uwagę skierowano na nasze „murowane" sanktuarjum zespołu. Jakiś „malunek", mający przypominać nam odznakę Szkoły, nie wzbudzał zachwytu ogółu. Z inicjatywy p. kpt.—d-cy zespołu powstaje specjalny komitet dekoracyjny, pod moralnym i faktycznym jego protektoratem.

Fundusz koleżeński postanawia subsydjować roboty pod hasłem: „sztandar państwowy musi mieć godne tło".

Rozpoczyna się żmudna praca artystyczna oprawy tej części naszego zespołu. Plany, konferencje, — zrodziły wreszcie pudełkowatego orła i 4-krotne przekroczenie kosztorysu. Królewski orzeł na czerwonym tle, odcinający się bielą od zielonych kolumn, u stóp którego tkwi dumnie sztandar państwowy, stał się naszą


Kpt. Wisławski


Kpt. Święcicki


Por. Józefczak

chlubą i dumą. Pracą wykonaną przez naszych malarzy, szczycił się cały zespół z zadowoleniem patrzący na zachwyty władz i kolegów.

Mówiąc o pracach artystycznych nie mogę pominąć palarni.

Odgrywała ona w naszem życiu bardzo ważną rolę. Bo np. gdy zdenerwowany egzaminem z Instr. wyrzucony na zbity kark z kancelarji, przychodzisz do palarni gdzie chcesz słuchać przez radjo oszałamiających dźwięków tanga, — właśnie dowiadujesz się odeń, że „Arago" jest znakomitym płynem na odciski, i, że jeżeli „chcesz się zabawić, to idź na bal „Warszawa swej Politechnice". Oczywiście uspakajasz się natychmiast.

Gdybyś miał ochotę zagrania na patefonie — i to nie uda ci się, gdyż jest on zawsze — i notorycznie „zepsuty".

Niechby więc samo „exterieur" palarni ulgę jej gościom przynosiło. Miłość bliźniego była powodem wystąpienia naszych malarzy w szranki bojowe.

Powoli zaczyna wykwitać na ścianach „malunek za malunkiem" — obrazki wzięte z życia naszego. Czy to „dolce farniente" na sali podczas wykładów, czy to okrutne skutki pierwszego wyjścia na miasto. Wszystko to przemawiało nam do serca, świadcząc o głębokiem wczuciu psychicznem autorów. Ile tych obrazków rodzajowych jest na ścianach, o tem sami wiecie najlepiej. Przyznacie jednak, że najbardziej pomysłowym jest charakterystyczny obrazek p. t. „Musztra piesza".

Ach ta kobieta maszerująca w gronie pięknych młodzieńców!

Ileż to jednak korzyści można wynieść z tejże palarni. Bo czy wiesz miły czytelniku do czego służy lorneta nożycowa?!

A do czego może jeszcze służyć?...

No to stanowczo musisz iść do palarni, a dowiesz się napewno.

Nie myślcie jednak, że na tych skromnych pracach wyczerpała się nasza fantazja i dobre chęci. Postanowiliśmy jeszcze pomalować sufit w całym zespole w kwiatki, piece w drobne kratki (pepita), szafki ponabijać huculskiemi koralikami, stołki wyrzeźbić w stylu zakopiańskim, podłogę zaś zrobić nakrapianą. Pewne względy (od artystów niezależne) nie pozwoliły zrealizować tej kolorowej wizji. Mamy tylko podłogę nakrapianą, lecz omawiane plamki mało mają wspólnego z prawdziwą „sztuką".

Myśl główna tego feljetonu niech stanowi naukę dla przyszłych adeptów artylerji: „Zapałem" i pracą można w tydzień z koszar Kraków zbudować". Podchorąży *Brodzki Jerzy.*



ŁÓŻKO

Bez łóżka źle byłoby w wojsku. Bo gdzieżby spali żołnierze? Na ziemi?! — dobre sobie. Żołnierz musi mieć wygodę, ażeby odpoczywać i nabrać sił. A właśnie łóżko koszarowe jest cudownym meblem, zastępującym kanapę, biurko, kosz na brudną bieliznę, ogródek (łóżko polewa się czasem wodą), a nawet gniazdo dla myszy. Jakże więc takie kochane bydle, łączące w sobie dziesięć i jeszcze jedną zaletę — nie cenić.

A spójrzmy na „visages" łóżek:

Są dumne, nadęte jak portfel bankiera.

Smutne i opuszczone, jak uwiedziona dziewica, nędzne, jak zmięta szmata, gładkie i białe, jak policzek kochanki. Są łóżka tragi e i są nijakie. Właśnie te nijakie, o takiem łóżku nic nie możesz powiedzieć. Stoi sobie skromnie w szeregu innych i nic nie mówi (pardon one wogóle nic nie mówią, a jednak...). Takie są najgorsze. Doprowadzają do pasji działonowego, p. o. szefa i t. d. Dlaczego? No bo są nijakie. Ani ich pochwalić, ani zganić. Stoi sobie takie nieszczęście, taki mebel, taki... (słów mi zabrakło ze zdenerwowania) i nie można mu nic zarzucić. Więc zarzuca się je w niepamięć.

A no stoi dalej... i nic.

Są łóżka buntownicze, która to cecha występuje zazwyczaj rano. Wiadomo, rano każdy jest zły, a cóż dopiero łóżko.

Przez noc jako tako przystosowało swój grzbiet do pokracznej i ciężkiej postaci leżącej i kręcącej się na niem.

Drzemało sobie spokojnie, myśląc o spokojnym urlopie, kiedy koszary będą puste i nad łóżkami nikt nie będzie się znęcał... Nagle zostaje wyrwane z owej rozkosznej drzemki, wstrząsa się słomianem wnętrzem, szeleszcząc niecierpliwie. Robi mu się zimno, więc się marszczy i potem w żaden sposób nie można go

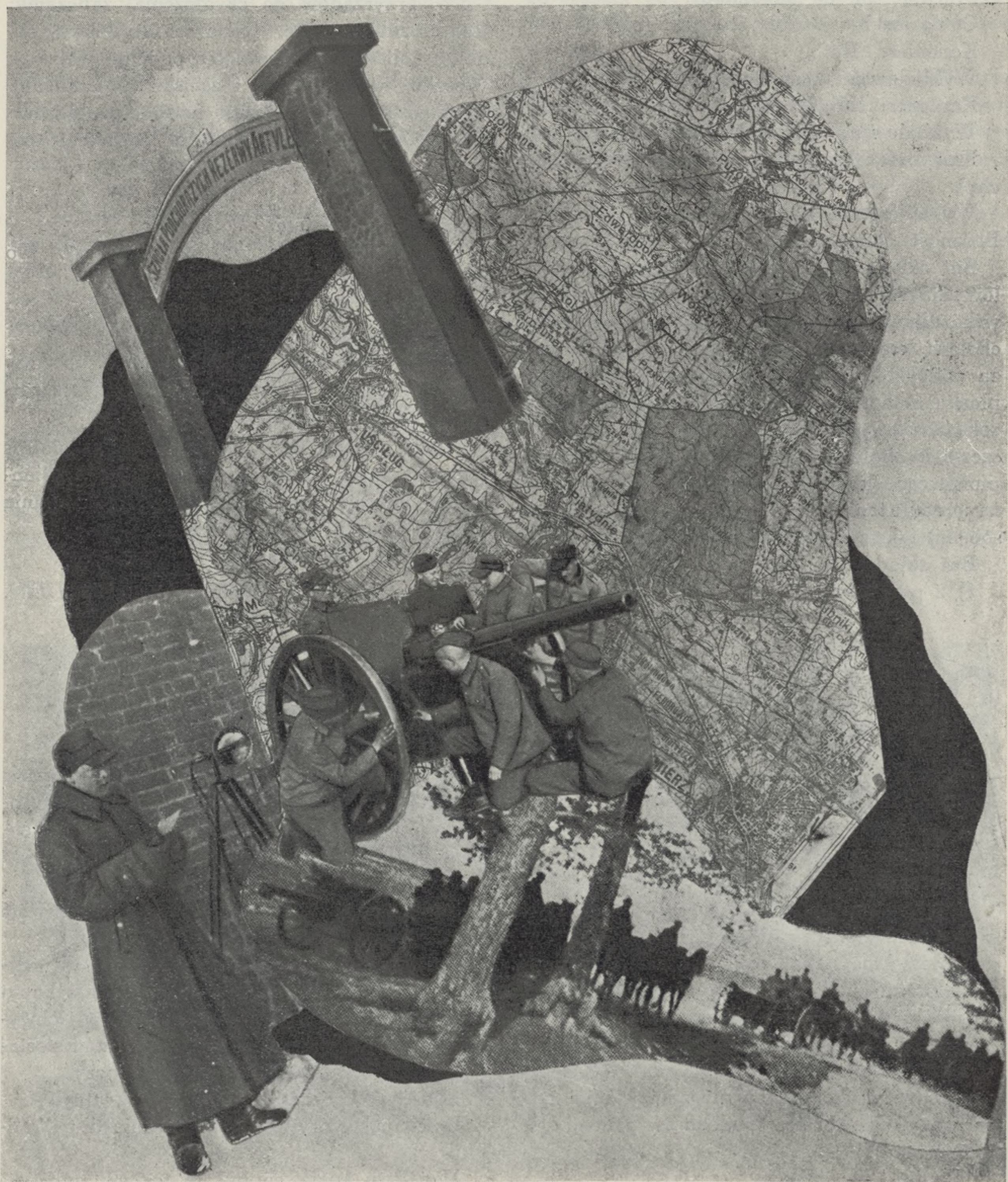
zasłać. Każda słomka staje w niem dęba. Burzy na sobie pracowicie układany koc, wystawia złośliwie język prześcieradła i pluje słomą na wszystkie strony — drżyjcie sprzątający! Jeśli stoi w szeregu wykręca się na wszystkie strony, łamiąc szyk, podnosi jedną nogę jak piesek na latarnię... Wreszcie zmaltretowane, zbite stołkiem (wojskowy przyrząd do prasowania) uspakaja się. Ale ileż to nerwów napsuje ścielącemu. Biedak staje nad swojem dziełem, spocony, zziajany, klnący i... nareszcie.

Ażeby cię musztra piesza pokochała!!

Aha, wcale nie nareszcie. Spojrzyj po godzinie na takie łóżko Tatry, Karpaty, Mont Blanc.

Niema na nie rady.

Podchorąży *J. Widawski.*



WYKŁAD O BUCIE

Osoby:

a) wykładowca,

b) trzech kanonierów.

Wykładowca: Kończyć palenie... Baczność. Dziś nauczę was o bucie, o bucie ćwiczebnym. Spocznij. Czy to jest krowa? (pokazuje na but). Nie to jest but ćwiczebny, półpancerny wzór 29 z podkówkami stalosurówkowemi. (zwracając się do kanoniera).

Co to jest?

Kanonier: But...

Wykładowca: Jak się nazywacie?

Kanonier: Migdaliński.

Wykładowca: Generał Migdaliński?

Kanonier: Tak jest panie ogniomistrzu. (śmiechy).

Wykładowca: Spokój. Baczność. Spocznij. Baczność. Spocznij.

But składa się z części skórzanych i metalowych. Aby opisać but, ujmujemy go palcem wskazującym prawej ręki, przyciskając zlekka cholewę kciukciem. Lewą ręką podchwytujemy za podbicie znajdujące się w środku dolnego płasku buta i unosimy but przed sobą na wysokość trzeciego guzika w ten sposób, żeby płaszczyzna cholewy była równoległa do poziomu pionowego, którego punkt oczny znajduje się na przedłużeniu spon łączących. W ten sposób but odprzodkowany, jest gotowy do opisu.

But składa się:

1) z przyszwy,

2) z cholewy,

3) z przyrządów do czyszczenia.

Przyszwa składa się: z noska, lewoskrętnego w bucie prawym, prawoskrętnego w bucie lewym, z części wzgórkującej, napiętnika i obcasa obkutego.

Cholewa składa się: z wlotu, dwóch uszek, w których znajdują się otwory Nr. 1 i Nr. 2 (pokazuje otwory w uszach buta) i z części powietrznej wewnątrz cholewy. Część powietrzna bywa lekko zanieczyszczona.

Do przyrządów do czyszczenia zaliczamy: trzy szczotki i pastę. Pasta znajduje się w pudełku kolistem. Nazewnątrz pudełka widzimy: wieczko, wkład, denko i zacisk. Znaki malowane na pudełku oznaczają fabrykę pasty i partję produkcji. Zacisk służy do zaciskania pokrywy górnej.

Fajtłapowski.

Kanonier: Jestem.

Wykładowca: Nie jest ale „jezdem". Do czego służy zacisk.

Kanonier: Do zaciskania.

Wykładowca: Dobrze.

Dalsze przyrządy do czyszczenia to trzy szczotki: szczotka ryżowa wzór 08/15, szczotka do glansu i mazak.

Mazak składa się z rączki, z kiści włosów i obsady kiści. Buty służą nam do przyjmowania pozycji zasadniczej, do przyjmowania pozycji spocznij i do czyszczenia.

Baczność. Rozejść się.

Podchorąży *Marjan Eile.*

DZIWNA PODRÓŻ

Pragnę ci opowiedzieć o dziwnej podróży — i wędrówkach mistycznych w świat inny niż ten, po którym stąpasz i choć może nie wierzysz — posłuchaj.

Noc zimna, ciemno i cicho bardzo. Źle i smutno jest. Szukam w mózgu myśli radosnych, wspomnień słonecznych — pustka.

W tem ktoś stanął obok i za ramię szarpnął.

„Giorgio — szepczę — czemu budzisz". Ale to nie był on. Oczy dziwne, jak dwa maleńkie, lecz niezwykłej mocy reflektory, jedno czerwone (tem na mnie spoglądał) — drugie wirowało szybko, szata plugawa, jedna noga sarnia, druga kobieca (podobną w palarni oglądać można).

„Panie?" — bełkocę.

„Pójdź a zapomnienie znajdziesz" — słyszę, choć ust nie otwierał. Na nic tłumaczenia, prośby — powlókł za sobą. W drodze przez salę ramieniem rzucił — kotarę z orła zerwał i drżące me ciało okrył.

Stajnia. Dziwna — szklana i pełna woni różanych.

Przy dziwacznym żłobie „Taboret". W grzywie kwiaty, w ogonie kwiaty, a zamiast kopyt łapy olbrzymie. Jedną za gardło kogoś chwycił, drugą trzewia mu szarpał... a rząd postaci smutnych czekał, aż uśmiercić raczy.

„Dość — krzyczę — widoków okrutnych".

Uciekam. Korytarz taki strasznie długi, śliski.

Dopadam konia, a był to wałach wspania-

ły, szerokopierśny, rozdętochrapy, w żłób łbem bił niespokojnie i głosem ludzkim bełkotał coś o nadprodukcji, impasie i ideałach. Hacele chciałem wkręcić (nędzne przyzwyczajenie z tamtej strony świadomości) — nie pozwolił.

„Siadaj — ryknął — i pozwól niech pędzę, pierwszy, sam do mety. Pędzę jak szalony, a wiatr lodem w oczy pluje, szaty szarpie, śnieg biały chmury białe do — stóp zwala.

— Czy pamiętacie przyjacioły, jazdę podobną?", — trzynasty był najkrótszego miesiąca. Wpadam do lasu, zielonego i pełnego słońca. I biegnę już sam. Czart gdzieś w okolicy Werby (wzgórze 210) utknął, ale może gonić jeszcze. Biegnę. Polana, a na pniu zwalonym starzec długobrody, białobrody siedzi. Poznaję i kwilę radośnie:

— „Ojcze Macieju".

Spojrzał błękitem oczu dobrych i uczułem się od smutku bezpieczny. Ojciec nad garnkiem wrzącego mleka siedział, sypał coś, mieszał i płyn brunatny, a wonny powstawał. Poznałem to Ka.Ka.O.

„Dla dziatek moich strawę warzę — szepnął — pójdź, opodal bawią się".

I widzę bachorki rozkoszne, różowiutkie — szczebiocą, baraszkują, a pieczę nad niemi miał Daniel wspaniały.

A stało się, że dziecię najmniejsze podało mi rękę i powiodło w krainę tysiąca dziwów. Chłopiec ów wdzięczne imię Sta-vin nosił (to vin mu przydano, bo jak wino mądrość i słodycz z siebie dawał).

Widziałem łąkę. Stado byków krasnych się pasło, strumyk płynął, a u jego brzegów Baranek, jakby dziewica pięknolicy, cudnokształtny nad wodą pochylon struny gitary trącał. Wokół narcyze, dziewice się pasły, kusiły go — grał dalej.

Znów las. Wśród drzew gajowy Tarasz podążał (nie wymienię herbu, bo paskudny) w ręku niósł kobiałkę i czegoś smutny był i tylko czasem gdy spojrzał na stworzonka, w trawie igrające uśmiech różowy na wargach mu wykwitł.

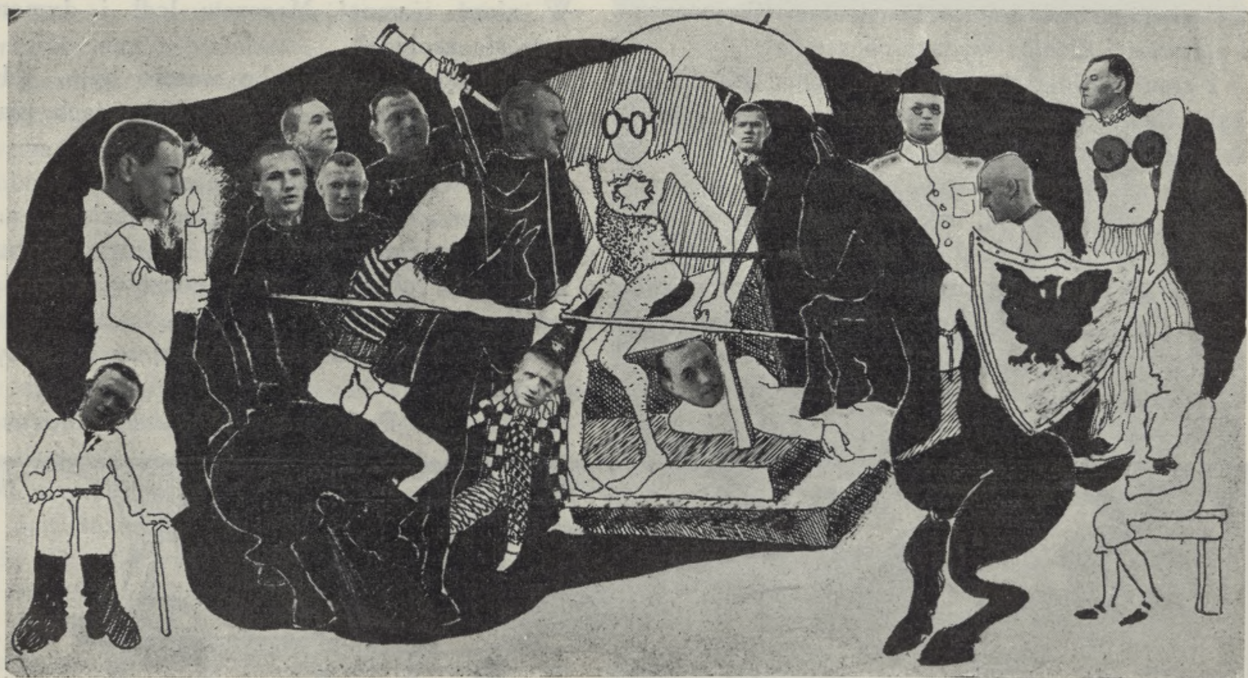
I do świątyni bogów potężnych zawiodło mię dziecię. A był w onej świątnicy kapłan mądry a przebiegły imieniem Lu-sem (ród świątobliwy Burgh na świat go wydał). Kapłani inni zazdrościli mu bo blisko Pana był i wiecznie z nim wiódł rozmowy, ale lud należną chwałę mu czynił i woły ofiarne niósł bo wielka była mądrość i moc słów jego.

Padłem na twarz przed mężem onym i prosiłem, by choć rąbek tajemnic i dziwów świątyni odsłonił. I oto okazał ów swe miłosierdzie, służkę przywołał i prowadzić kazał.

Poczęła się wędrówka nowa.

Pokoik widziałem maleńki cyfrą 6 oznaczon, w nim chór mężów ośmnastu pienia cudne zawodził i coraz ktoś ubywał, a pozostali kabałę kładli i rozmowy uczone wiedli.

W podłodze izby innej otwór był kratą przy-



kryty i jęk do mych uszu zeń płynął. Pochyliłem głowę — w czeluści do ściany przykuty wił się młodzian piękny. Na piersi nagiej sęp olbrzymi rył jego miano. I tylko trzy litery wzrok mój uchwycić zdołał, a były to C.Y.G. Opodal sześć Rebek włosy rwało, a zawodziło żałośnie. Służka dotknął mej szaty i rzekł:

— Panie pójdźmy dalej, to buntownik, niegodzien twej litości.

Przystąpiłem do cierpiętnika innego, ten w wazelinie Brodził i mydła wołał, ale nie było w mej mocy ulżyć jego cierpieniu.

Zajrzałem też do komnaty, w której kapłanów czterech sekty S i G (Sodoma i Gomora) chwałę bóstwu czyniło... a, że rzeczy sprośne, a straszne dziać się poczęły, skromność wrodzona oczy przysłonić kazała. Usłyszałem wtedy głos drżący, kapłana Mün, a wtórował mu Bak, Far i Nar. Służka mówił mi, że Pan rozpusty ich i gnuśności nie potępia, bo ściany świątyni zdobią, ołtarze wznoszą i w ludzie radość niecą.

I stało się, że byłem na dworze, nygusa potężnego, którego imię Eile Selassi lud ze czcią powtarzał.

A wonczas w stolicy turniej się odbywał wspaniały. Siadł cesarz tysiącem parasoli złotych osłonion. Skóra lwia nagość ciała dostojnego kryła (skórę ową sam szatny Obod upolował), a na piersi potężnej a włochatej gwiazda piękna błyszczała.

Wokół cesarza kupią się wasale, rycerze, kapłani, kupczyki — u stóp zaś nałożnice jego. Za plecyma władcy stał astrolog Krzywonos i złe wieści niebios wyczytane szeptał.

I smutny dnia tego był Pan, choć różnie go zabawiają: to miną, to słowem ucieszneni wesołkowie dwaj Podciech i Ferentis.

Ale oto herold (miano Dyżew nosił) głosem, jak trąba z Jeryho, rycerzy oznajmił, którzy walczyć mieli. Stanął w szrankach pan z Jachowic — u boku giermek (pojmany w czasie jednej z wypraw Bojarczyk) równie, jak pan roztropny, a mężny. Naprzeciw wyszedł drugi rycerz—Matyjas, mąż pełen krzepy niezwykłej. Ale ani zapasy, ani popisy gwardji przybocznej (szkolił ją oficer pruski Pivo von War) nie rozchmurzyły oblicza pana. Rozchyliły się jednak w uśmiechu radosnym, a lubieżnym wargi króla, bo oto stanęła donna Mikullina, tancerka hiszpańska wdzięcznie przegięta (cesarza o romans posądzano z piękną cudzoziemką). Skinął Pan dłonią, a podczaszy Gatnik-kiew napoje chłodzące, wino i bakalje usłużnie mu podał.

Wystąpił potem baletmistrz nadworny Borkor (ongiś kapłan Izydy i dyrektor cyrku) i powiódł w pląsy hurysy cesarzowej.

— — — — — — — — —

Oszołomiony wyszedłem na ulicę stolicy, tłumów radosnych pełnej. W zaułku ciemnym przystąpił do mnie mąż blady i kusił, bym szedł za nim do domu rozkoszy i mówił, że znajdę tam piękności o krwi wrzącej jak lawa krajów rodzinnych, opjum, sny cudne dające, że ruleta złotem mieszek mi napełni.

Był to Iwan, — a u boku sługę miał ponurego — Mikołę.

Wstąpiłem do domu onego, a u progu gnom wypełzł i ciżmy, kurzem okryte zdejmował mi — a na szyi uczułem ucisk słodki ramion kobiecych... w izbie, makatami wysłanej, rozkoszom grzesznym oddawali się mężowie, a jeden tylko w kącie siadł samotny, twarz bladą ku górze uniósł, na gęślikach grał tęsknie, a popłakiwał.

Dalej graczy ujrzałem namiętnych Byli to Sadkower, Kor-ku, Ładni i Smiałkow.

W niszy ciemnej Marczew legł i dymem opjum się zaciągał.

Już chciałem zostać, bo wesoło było, gdy mąż szalony do izby wpadł. Na ustach piana, w ręku nóż.

I znów wybiegłem na ulice miasta.

Stanąłem nad brzegiem dużego jeziora, a... gdzieś z szuwarów wypełzły stwory dziwne a pokraczne, chwyciły mnie, poczęły szarpać... obudziłem się.

I to był koniec najdziwniejszej w mem życiu podróży.

Podchorąży *Klonowicz Tadeusz.*

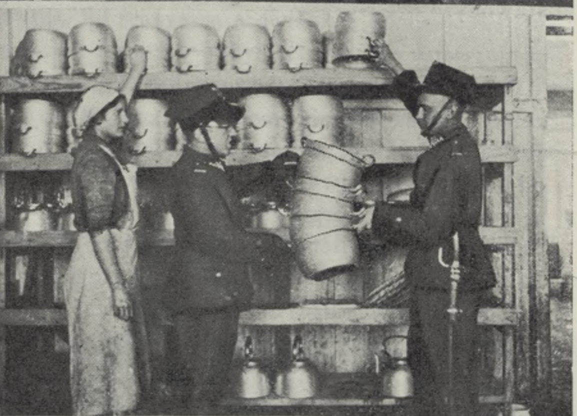


O WSZYSTKIEM i WSZYSTKICH











Przyszliśmy do służby wojskowej z przeświadczeniem, że idziemy spełnić swój obowiązek obywatelski. Stosunek nasz do armji był przedtem już uregulowany, nim ją sami poznaliśmy z bliska. W tym właśnie stosunku zasadniczym żadna zmiana nie zaszła do chwili dzisiejszej i niewątpliwie nie zajdzie. Zarysowały się natomiast pewne poglądy szczegółowe na rzeczy przedtem nieznane lub znane powierzchownie.

Armja nasza jest dopiero napoły armją pokojową, tak jak armje wszystkich państw, które partycypowały w wojnie światowej. Będzie taką, dopóty ze służby czynnej nie wyjdzie ostatni oficer i podoficer z rzędu tych, którzy do armji polskiej przyszli po czynnych udziałach w wojnie światowej. Naturalnym biegiem rzeczy dojdzie do tego, że za lat kilkanaście mówić będziemy o weteranach wojny światowej. I trudno przejść nam dzisiaj do porządku nad zagadnieniem, które się stąd samo narzuca: my sami uczymy się rzemiosła wojennego jeszcze pod okiem ludzi, którzy przynajmniej w 75% rzemiosło to dobrze wypróbowali w czasie wojny światowej, względnie w r 1920-tym. Jakoś z zaufaniem uczyliśmy się tych różnych — można powiedzieć, pięknych — przedmiotów przyszłej wojny, jakoś ten maskowany nieprzyjaciel nie trącił zbytnio alegorją, jakoś to wyszkolenie bojowe nie miało jeszcze cech ćwiczeń tylko. Bo dowódca i instruktor powoływali się na przykłady przezeń przeżytych bojów. A co będzie, jeśli ten pokój dzisiejszy długo potrwa, jeśli ci nasi instruktorowie stopniowo przechodzić będą do rezerwy? Czy ten podchorąży, który śladem naszym przyjdzie do szkoły, dajmy na to za lat dwadzieścia, będzie wychodził z przeświadczeniem, że rzemiosło wojenne posiadł choćby w 50%?

Znawstwo sztuki wojennej, które zdobędziemy w szkole, nie wyczerpuje w całości tego, co od nas społeczeństwo wymaga. To też jeśli kto ma trochę dobrej woli, będzie mógł w ciągu kursu posiąść sztuki tej niemało. A już każdy z nas posiądzie dużo hartu, pewnego obycia się z trudem fizycznym, który przecież zawsze, bez względu na jakikolwiek postęp techniki przyszłej walki, będzie wymogiem zasadniczym tej walki. W tej mierze najwięcej szkole zawdzięczamy.

Szkoła Podchorążych spełnia wobec nas swe zadanie w zupełności. Przeciętną t. zw. dobrą wolę w zastosowaniu społecznem znaliśmy mniej więcej. Ale zdobywać się na siłę lub więcej wysiłku woli nauczono nas przykładowo — tu. To duży nabytek dla namiętnej, gorącej, a słabej psychiki Polaka.

Czasami wyrzekało się, z ulgą obserwowało się zbliżenie się chwili opuszczenia koszar... jakby się już nigdy nie chciało spojrzeć wstecz, jakby się siłą wyrzucić chciało jakieś gorzkie wspomnienia...

Jakież to znowu złudzenia.

Toć nie dalej jak jutro odmienimy koledzy, swoje zdania, odwrócimy swoją pamięć.

Odkryje nam się jakieś uczucie nowe, nieznane. Ni to miłość, ni to przyjaźń, ni pokrewieństwo, ni sakrament żaden. A uczucie potężne. Na długo go starczy w życiu: serca spod żołnierskiego munduru szarego. Komu dane było zaznać w rodzinie naszej wojskowej przyjaźni rzetelnej, ten rzetelniejszej w życiu nie znajdzie.

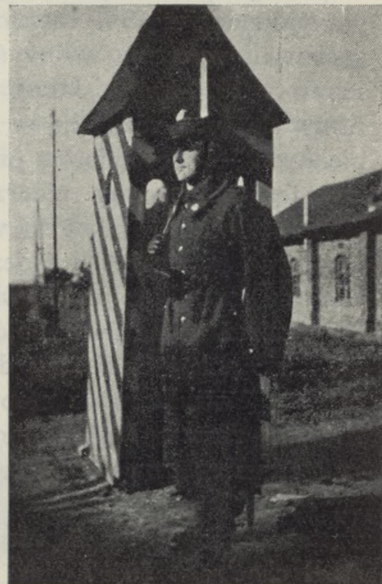
A więc i uczuć część w murach tych zostawimy.

— — — — — — — — —

Tak się złożyło, że wyjechałem do S.P.R.A. znacznie później niż moi koledzy. Kurs był już w Szkole rozpoczęty. Późnym wieczorem odjazd z Warszawy. W wygodnym przedziale pociągu pośpiesznego do Włodzimierza byłem jeszcze cywilem, — rano miałem być już żołnierzem. Podróż do pewnego stopnia... w nieznane. Od jutra miałem rozpocząć zupełnie nowy tryb życia w warunkach zupełnie innych, jakże różnych, niż dotąd.

Wrażenia? — Przyznam się, — żadne... Przeglądałem wieczorne wydanie dzienników, których tego dnia nie miałem czasu przejrzeć. Nie myślałem o tem, co będzie jutro.

Oprócz mnie był w przedziale jakiś bardzo elegancki młody człowiek. Nie miałem ochoty do rozmowy i nie zwracałem na niego uwagi. Dopiero, gdy kładąc się spać, prosiłem konduktora, aby mnie obudził w Kowlu, okazało się, że mój towarzysz podróży też tam wysiada. Nawiązała się rozmowa, w czasie której powiedziałem dokąd jadę. Pokiwał tylko głową. Na moje zaciekawienie odpowiedział pytaniem: „i pan myśli, że pan tam wytrzyma?... — Pan wie, co to jest artylerja i jakie tam trzeba mieć zdrowie?". To mnie zaskoczyło. Przecież specjalnie chciałem iść do artylerji i byłem bardzo zadowolony, że mi się udało tam dostać. Ze szczerem współczuciem patrzył na mnie,... jak na straceńca... Zrobiło mi się niemiło. Przerwał ciszę i grobowym głosem zaczął opowiadać, jak to jest w szkole, ilu tam rokrocznie „odpada". Ba... — okazało się nawet, że i on tam ongiś był... wprawdzie tylko miesiąc... — „Dlaczego tak krótko"? „Proszę pana, tylu nie wytrzymało, ja nie wytrzymałem i pan nie wytrzyma". Trochę mi się rozjaśniło. Przecież wielu jednak wytrzymało, bo większość zawsze kończy Szkołę. Przyszło mi na myśl, że może to z nim nie można było wytrzymać. Może wybitny brak zdolności do myślenia, — do artylerji, a może nawet wogóle do wojska i stąd ten pesymizm. Towarzysz mój miał jednak bardzo dobre serce i lotny umysł. Zorjentował się, że wiadomości te zbyt silnie mogą na mnie podziałać, że już teraz mogłoby nastąpić to, co niechybnie później nastąpi... załamanie się. Zaczął mnie... pocieszać. Powiedział nawet: „kto wie, — może okaże się, że ma pan bardzo silny organizm i nerwy, a wtedy nie jest wykluczone, że da pan sobie radę i wytrzyma... no... — oczywiście, jeżeli nie dostanie się pan pod rozkazy ogniomistrza Szypulińskiego"... — zniżył głos..., spoważniał... — „bo tam to... — ee...



fot. Nowak

szkoda mówić..." — machnął ręką. Zbyt wymownym był ten gest, abym go nie zrozumiał i jakkolwiek z wielkim krytycyzmem odnosiłem się do mego rozmówcy, to jednak w głębi ducha byłem zadowolony, że Szypuliński jest tylko jeden, więc skąd akurat do niego!...

— — — — — — — — —

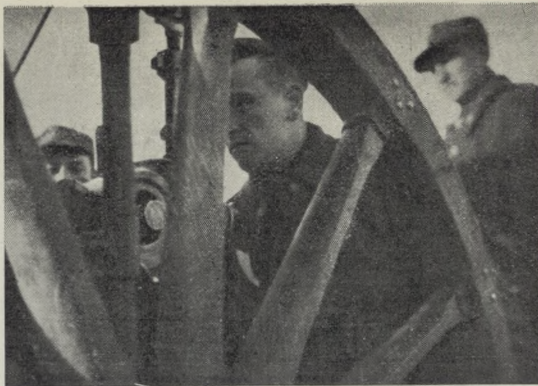
Chłodny jesienny ranek. Rozklekotaną dryndą jechałem do koszar. Na koźle skulony dorożkarz. Mnie też po nieprzespanej nocy ciepło nie było. Jechaliśmy pryncypalnemi ulicami powiatowego miasta Włodzimierza. Jak większość miast wołyńskich, rozrzucony na wielkiej przestrzeni, małe nędzne chałupki, niewiele domów murowanych... widać, że bieda... Nic dziwnego, przecież kryzys... tylko błota poddostatkiem... — ile dusza zapragnie. — Już widziałem siebie maszerującego „na baczność" po tem błocie.

Koszary. Było jeszcze wcześnie i musiałem czekać w „świetlicy Nr. 1". Przyglądałem się dokładnie 2 dużym obrazom. Jeden obraz przedstawiał ucznia — rekruta, a drugi już podchorążego. Za parę godzin miałem być... — tym pierwszym, — szkoda, że nie drugim. Nareszcie wezwano mnie do Komendy. Przydział, i za chwilę już wędrowałem z ciężką walizą w poszukiwaniu „miejsca stania". Zasięgnąwszy po drodze języka znalazłem nareszcie. Właśnie było na sali wykładowej „czyszczenie broni ręcznej".

Nowi koledzy powitali „cywila" mniej lub więcej uszczypliwemi uwagami. Wszyscy w drelichach, głowy ogolone, wyglądali zupełnie jednakowo, tak że przez dni parę sprawiało mi trudność odróżnienie sąsiadów z najbliższych łóżek.

Nagle natknąłem się na jakąś „władzę", (później okazało się, że był to szef we własnej osobie). „A wy, co tu robicie?" „Ja? — zostałem tutaj przydzielony". „No, a co te włosy jeszcze robią na głowie? — Marsz do fryzjera". Czemprędzej pobiegłem, aby wykonać pierwszy, otrzymany w czasie mej służby wojskowej rozkaz.

Za pół godziny byłem już nietylko ostrzyżony ale nawet umundurowany i wyglądałem, jak prawdziwy, stuprocentowy „połamany rekrut". Tymczasem skończyło się czyszczenie. Dostrzegła mnie „władza", która wysłała mnie do fryzjera: „ale.. wy... — nowy, chodźcie no tutaj". Podbiegłem i usiłowałem stanąć na baczność. Pogardliwie spojrzał na moją figurę. „To wyście dopiero przyjechali?" — „Tak jest". — „Aha". „To wy jeszcze nie wiecie, jak tu



fot. Nowak

się robi. — Zapytacie później kolegów. — Niech wam powiedzą". — Myślałem już, że tymczasem będę mógł układać swoje rzeczy i już chciałem powiedzieć, że nie będę próżnować, a czas wolny wykorzystam na to. Ale szef już zatroszczył się o to, co będę robić: „To wy sobie weźmiecie szmatę i pójdziecie do umywalni okna myć. Tylko mi się starajcie, bo ja tam przyjdę sprawdzić". Za chwilę zapytałem jednego z kolegów, jak się nasz szef nazywa?" Po jego odpowiedzi z wrażenia przysiadłem — jakby mnie kto pałką po głowie uderzył. — To się nazywa „mieć pecha". — Przygnębiony, z posępną miną myłem okna. Domyślacie się chyba, na kogo trafiłem?

— — — — — — — — —

Czas mijał szybko. O wiele szybciej niż „w cywilu". Na brak pracy nie można było narzekać. Wolnych chwil niewiele, bo zawsze coś było do roboty; — czyszczenie umundurowania, przyszywanie guzików, które jakoś stanowczo zaczęsto odrywały się, to znów sprzątanie i... znowu od początku. Ale oczkiem w głowie szefa, to było... — prasowanie łóżek. Już zaraz po pobudce słychać było jego su-

fot. G. Wisoky



rowy głos: „Zaścilać, prasować, ładnie zaścilać" — „Halo... wy... Tylko mi uważajcie, — bo ja was obserwuję. — Bo będę gnać"... Początkowo była to praca syzyfowa. Prasowaliśmy taboretami w pocie czoła, a łóżka jakoś nie chciały ułożyć się tak, jak szef chce. Ale wszystkiego można się nauczyć. Po paru tygodniach łóżka u nas wyglądały, jak pudełeczka zapałek i tak przyzwyczailiśmy się do tego widoku, że teraz widok „zasłanych" u innych łóżek śmieszy nas...

Musztra piesza była stanowczo zbyt często. Z karabinami lub bez — marsz, zwroty, salutowanie. Szczególnie trudny do przyswojenia był marsz ćwiczebny. Kosztowało to dużo zdrowia i nas i instruktorów. „Raz, dwa, trzy, cztery. Arrr-vaj, Arrr-vaj" — „Arr-vaj, schowajcie ten brzuch... wyglądacie jak... i t. d." — Miałem szczery zamiar przytoczenia niektórych cennych uwag i dygresyj, ale przyszło mi na myśl, że mogą to przypadkiem przeczytać piękne panie, a wtedy mogłyby o nas — niewinnych i jak ta łza czystych źle pomyśleć.

Ale „a propos" czystości. Proszę sobie wyobrazić myjemy się kilka razy dziennie „w prawo zwrot... Do umywalni biegiem marsz..." — tak rano i wieczorem. Oczywiście są i tacy, którzy okazji umycia się starają się unikać — widocznie nie chcą tracić na wadze. „Nauka w las nie idzie" — w artylerji ukrycie, to bardzo ważna rzecz...

W karnawale było dość dużo zabaw w mieście. Przecież „podchorążak", który pracuje, musi się też od czasu do czasu rozerwać (byle nie granatem). Dla nas była to jedna z niewielu okazyj nawiązania tu znajomości. Niektórzy jednak znaleźli i inne drogi. Oleś np. poznał raz „na przepustce" uroczą dziewczynkę. Obawialiśmy się już, że się zakocha. Nagle pękła bomba. Okazało się, że to urocze ,dziewczę z kresów to... służąca pana kapitana. Można sobie wyobrazić, jak było Olesiowi przykro, a nam wesoło.

— — — — — — — — —

Dziwnym zbiegiem okoliczności przypadło mi w udziale napisać kilka słów o naszych nienieznośnych, wesołych chłopakach. Oczywiście będę musiał ograniczyć się do opisu tylko najbardziej popularnych sylwetek, czego chyba wszyscy inni pominięci na tej karcie nie wezmą mi za złe. Zaczniemy od tych największych, długonogich drągach — a skończymy na konusach.

Baczność! — Starszy klasy — inżynier — powaga, iiii do pewnego stopnia władza. Miły chłop „iiiii" mądry chłop, „iiii" ma największą głowę pośród nas, co sprawiało naszym przełożonym i jemu wiele kłopotu z dopasowaniem czapki... Przytem ma taką niewinną słabość, że dużo lubi mówić, „iiii" o sprawach czysto wewnętrznych, „iiii" o rozmaitych składkach, „iiii" o kobietach, „iiii" najwięcej o miłości warszawskich pięknych wdówek.

Drugim skolei jest arcymistrz, wysoki, o długich, bardzo długich nogach, z myślącem wiecznie obliczem, ozdobionem nęcącym szlacheckim wąsikiem pod rasowym greckim nosem, Henio M. Jest przytem bardzo elokwentny, bo na wszystko odpowiada zawsze jednakowo: „Mój kochany — nie zawracaj głooooowy"! Czło-



rys. Chmiel „Będziecie ukarani"



rys. Chmiel „i jak go się nie bać"...

wiek naprawdę zimnokrwisty. W zimie śpi w specjalnem ubraniu barchanowem i dwóch swetrach. Na głowie „czapeczka", o której wtajemniczenni twierdzą, że to pięta z pończochy jego ciotki. I ciągle jeszcze narzekał, że mu zimno... Ale mimo to jest bardzo lubiany przez przełożonych i kolegów. Coprawda czasem zamykają biedaka..., bo Henio nie może czasem powstrzymać się od miłej drzemki — powiada, że ma pecha — drzemie na służbie.

Następny, to wielki balownik, czarnobrewy łodzianin, Janek S. Zawsze opowiada o Łodzi, twierdząc, że piękniejszego miasta niema w całej Polsce, że w Łodzi jest największa pływalnia, że w Łodzi jest najwięcej aut, że są najelegantsze kawiarnie, tramwaje i t. p. i t. p. Janek jest zawsze elegancki. Czasami przegląda się w lusterku, a w braku tegoż poprostu w szybie. Ma brzydkie przyzwyczajenie opowiadania historyjek i kawałów właśnie w szeregu, zresztą za niewinne to przewinienie musi potem udawać żabkę, co mu się wcale udaje.

Miłym typem jest Tadzio K., „Gomółką" żartobliwie zwany. Chłopczyna zakochany, mizernieje i chudnie z dnia na dzień. Chodzi biedak cały dzień wzdycha — przestał palić — bo mu zabroniła. Pisze tylko listy regularnie co drugi dzień. Czasem się kłóci z „Naleśnikiem" z Poznania, który zresztą ma gołębie serce. Jest przytem, „Naleśnik" oczywiście, pierwszorzędnym graczem w „piegi" (gra dla zaufanych). „Naleśnik" ma bogatą ciotkę w Berlinie, która przysyła mu co miesiąc „walutę", to też nic dziwnego, że chłopiec pisze całe ody o swej sympatji dla kochanej cioci.

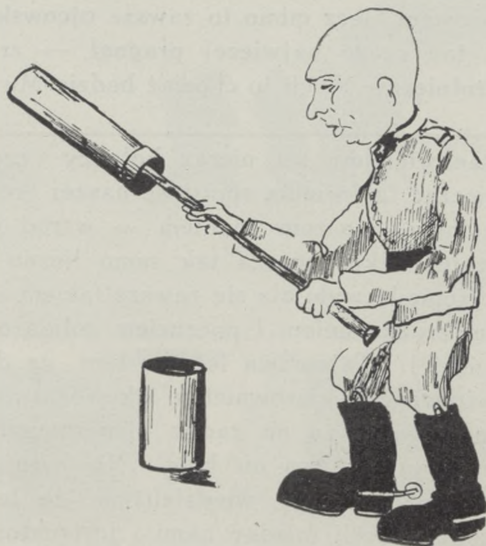
Grzechem byłoby nie napisać coś o „Adamie z „cenzusem". Zredukowany prezes dlatego tylko, że nigdy nie mógł żyć w zgodzie z karabinem, z ładnie sprasowanem łóżkiem i czystemi butami. Trudno — ma naturę tak bardzo indywidualną, że nawet pewnego razu zginęły mu... buty. Zato doskonale orjentuje się jak należy spakować plecak, jak należy zrolować koc, co włożyć do chlebaka i jak nastawić radjo.

Właściwie to galerję typów, zacząć by należało od pierwszego, t. j. prymusa. Postać zresztą Władka B. (znowu inżynier!) jest tak znana z piękności, wymowy (ach ta wymowa!) oraz tego, że zawsze wszystko umiał, że i do Was czytelnicy sława jego napewno doszła, więc próżnym trudem byłoby przedstawianie tak znanej, a wszystkim sympatycznej postaci.

Gdyby chciało się wyczerpująco pisać o wszystkich typach z naszego tak zgranego środowiska, trzebaby cały rocznik tej jednej rzeczy poświęcić. Jacy byliśmy o tem wiedzą nasi przełożeni, którzy — nie chwaląc się — byli nieraz z nas zadowoleni. Bo i staraliśmy się, aby dać z siebie jak najwięcej. Czy „piękny" Gucio, czy jeszcze piękniejszy „Major", czy Stasio S. ten, który jako eks-marynarz bujał stale w bezkresach, czy Janek P., zwany popularnie przez szarżę „ekonomistą" lub „literatem" (złośliwi twierdzą, że nie „ekonomistą" lecz „ekonomem", która to nazwa raczej Jurkowi K., jako agronomowi słuszniej się należała) — wszyscy ci, duzi i mali, draby i konusy — ci ostatni ze Zdrojkiem z Wilna na czele — wszyscy, ani jednego nie wyłączając, zachowują jak najlepsze wspomnienia wspólnie przeżytych chwil oraz wdzięczność dla tych, którzy nami z takiem poświęceniem kierowali.

— — — — — — — — —





rys. Chmiel

Z różnych stron Polski przyjechaliśmy, aby w tak licznej grupie przeżyć czas wspólnej pracy, wysiłków, smutków i radości Z własnych warsztatów pracy, z wyższych uczelni lub gimnazjów wszyscy młodzi, pełni entuzjazmu dla służby wojskowej, idący w życie z otwartemi oczyma, chcieliśmy animuszem naszym złamać wszelkie przeciwności. Nie możemy na służbę naszą narzekać, zapału nie zmniejszyła, przeciwnie, dała mu nową siłę, męskie, mocne cechy.

Pamiętacie koledzy pierwszy nasz dzień w wojsku? Pamiętacie, jak trochę kpiąco, ale już serdecznie przyglądaliśmy się sobie mniej lub więcej dyskretnie? Pamiętacie nasze pierwsze ostrożne jeszcze rozmowy, pamiętacie, jak cicho, omal nie szeptem straszyliśmy się oczekującemi nas trudami? Wszystko to już za nami. Z perspektywy tylu tygodni możemy spojrzeć na cały nasz pobyt w szkole.

Pierwsze wrażenie łączy się niezmiennie z osobą dowódcy. Od tego zetknięcia się młodego żołnierza ze starym zależała atmosfera dużej, bardzo dużej ilości dni, to pierwsze zetknięcie pokazywało nam nasz stosunek do wojska i odwrotnie. Wydaje mi się, że pierwsza nasza rozmowa z dowódcą zrobiła nas takimi, jakimi przez całe wojsko zostaliśmy. Nie było w niej nic specjalnego: była krótka, wojskowa, lecz pod pozorami zwięzłości i szorstkości kryło się tyle serdeczności, tyle zrozumienia dla nas młodych, że zobowiązało nas to na zawsze. Tych kilka słów jest pożegnaniem, pożegnaniem naprawdę smutnem, którego — o dziwo — chcielibyśmy uniknąć, tak jak chce się uniknąć rozstania z osobami drogiemi, jakiemi byli dla nas panowie instruktorzy z dowódcą na czele. Pan major Krzeptowski swojem postępowaniem, nierozpieszczającem nas, nieraz bardzo surowem, lecz mimo to zawsze ojcowskiem zyskał to, czego najwięcej pragnął — zrobił z nas żołnierzy. Niech to chociaż będzie Mu nagrodą.

Zastanawialiśmy się nieraz koledzy , czemu zawdzięczać tak wielką spoistość naszej gromady czemu — naszem zdaniem — wśród uczniów całej Szkoły nasza tak samo liczna jak i inne gromady wybijała się zawsze takiem wzajemnem zrozumieniem i poczuciem solidarności koleżeńskiej. Tajemnica leży w tem, że dzięki niewidocznemu kierownictwu tak zrośliśmy się i scementowali, że na żadne nieporozumienie ani czasu ani miejsca nie było. Nie było prawie żadnych skarg; wiedzieliśmy, że lepiej nam będzie, jeśli między nami i instruktorami będzie panowała jak największa harmonja. Nie nasza zasługa — lecz Ich; bądźmy wdzięczni i zawsze tak mile te chwile wspominajmy, jak to już nieraz teraz czyniliśmy.

— — — — — — — — —

Zdając sobie doskonale sprawę że Ojczyzna to największy czynnik moralny, jaki kiedykolwiek zaistniał naprawdę, że idea Ojczyzny, to najwznioślejsza idea, jakiej żołnierz może poświęcić swoje istnienie, uważamy za obowiązek i za honor służyć Jej zawsze, zapewnić Jej niezależność i strzec Jej granic. Wojsko, w którem służymy, jest to forma, w którą wrzucamy swoją odrębność, a która zmienia się, przetapia i wkońcu przybiera kształt ogólny, nacechowany na zawsze

Nasi przełożeni, swą niezwykłą i trudną pracą wpoili w nas podstawowe czynniki honoru żołnierza — wierność narodowi i chorągwi, odwagę, karność i poświęcenie osobiste. Będziemy pamiętać o tem zawsze. Będziemy oddawać się szczerze swemu zadaniu i wypełniać w razie potrzeby i względem wszystkich, a nieraz i przeciw wszystkim. Teraz już umiemy wykonywać obowiązek tylko dla obowiązku, nie pozwalając sobie na żadne zatrzymywanie się. Nadamy służbie charakter czynnego obowiązku, takiego, który bezwzględnie nakazuje nam nasze czyny. Pamiętamy, że nasza osoba jest niczem — nasze działanie jest wszystkiem. Na służbie będziemy zawsze bezimiennym dowódcą swej jednostki, możliwie najbardziej bezosobowym...

podch. Schmidt — Moroz — Kromer



fot. Seib

BACZNOŚĆ!

— Wisz, on jest w gruncie rzeczy całkiem morowy chłop! Tylko ma taką srogą minę...

— E... zdaje ci się, to tylko okulary tak srogo błyskają.

— No daj spokój, jak chce to potrafi wstawić!

— A coś ty chciał, może ma się z nami bawić w berka?

Nagle ściszone głosy umilkły — ponad nie wzbił się jeden, silniejszy od nich, jasny, wyrazisty głos p. kpt. Rojewskiego:

— Siadajcie! Psiakrew! Ja wam dam nie czytać regulaminów! Pamiętajcie! Tu nie jest uniwersytet — nie wystarczy raz jeden gdzieś przy końcu roku zdać egzamin — tu trzeba ciągle zdawać. Następny. Jakie mieliście pytanie?

— Panie kapitanie, melduję posłusznie koniec godziny! — służbowy ratuje sytuację.

— No tym razem udało mi się, nie odpowiadałem, ale swoją drogą trzeba się będzie wziąć w kupę. „Nasz kapitan" tak łatwo nie puści.

Ale o całej swej niedoskonałości dowiadujemy się dopiero na wykładzie p. kpt. Majewskiego.

— No, to zmieńcie ten azymut! Tak? tak... no widzicie, a to przecież taka prosta rzecz, tak? Wiadomo — jak ja mówię — wszystko jest jasne, tak? Ale to jeszcze nie dowód, że wy to wszystko umiecie, tak? Wiadomo — ale ja to mówię, a wy to wszystko jednem uchem tu, tak? a drugiem tu! Tak, tak!

Ufność we własne siły powraca nam trochę, gdy p. kpt. Widajewicz beszta nas po ojcowsku: Ofer...ma! Jak was szurnę... Nie wiecie nawet, co to jest ti-tata-ta-ta!

Lub na strzelnicy zmniejszonej:

— Komenda... No, prędzej! Dlaczego kośba?

— Ależ kapral strzelniczy nie śmie odezwać się do strzelającego. Co kapral strzelniczy może radzić d-cy oddziału? Żebrak z was jest!

— Uwaga... Wystrzał! Obserwacja!..

Po p. por. Zborowskim pozostało tylko mgliste wspomnienie.

— Chłopczyk, moi kochani, psiakrew, jak laleczka sprężynowa musi chodzić!

— No.. co uczeń sobie życzy? Nie! Odmaszerować!

Zato wyraźnie stoi nam przed oczyma postać p. por. Gila. Mimowoli z jego osobą łączy się











myśl o czołganych działoczynach, zeszytach z komendą...

— Starszy grupy komenderuje „baczność" i daje mi meldunek o zadaniu, wykonanem przez grupę!

— Na zapowiedź „do" — wszyscy podrywają się na baczność, na „dział" nie chcę tu już nikogo widzieć!



Śmiało możemy powiedzieć, że działoczyny mamy już w nogach i... w łokciach.

Nagle gruchnęła wieść, że trzeci działon się zakochał. Jakto, wszyscy? Tak! wszyscy! jak jeden mąż. W kim? W p. por. Bogdanowiczu, w naszym por. Bogdanowiczu.

Trzeba patrzeć na rumieńce i radość, tryskające z lic gdy „nasz porucznik", stojąc na jednym rogu ujeżdżalni, wysyła swój głos w ślad za umykającym jeźdźcem:

— Ryger! Jechał was sęk! Gdzie on jedzie! Gdzie on jedzie!!! O... o... o...

— Stoi! Już drugi stoi!.. Łydy mu, łydy!..

— Nostorowicz! gdzie on goni! Tatarzy! Tatarzy!

Słusznie też p. por. Bogdanowicz zyskał sobie miano „gentlemana na maneżu".

Najłatwiej jest podpatrzeć szefa. Dlaczego? Bo stale patrzymy na niego — gorzej, że i on na nas stale spogląda i wyrabia sobie o nas opinję dzielnych... cywilów.

— A kopnijcież taką łajzę w... nogę, aż wskoczy na swoje miejsce! Ależ to jest łajzowstwo sakramenckie... Służbowy! A dajcież mu spluwaczkę w zęby, niech ściśnie, może wtedy przestanie gadać w szeregu!

— No, ruszcie się! Tak, jak ta babuleńka, kiedy miała 105 lat, 5 miesięcy, 5 tygodni, 5 minut, tak te nóżki podsuwacie. Baczność!

P. plut. Całus zawsze nas przestrzega dobrotliwie:

— Wy lenie! Wy oporne! To jest bieg?! Zespół! Tam do „braci" biegiem marsz!

Albo kiedyindziej:

— O! Jak się te małe cieszą, że te duże muszą biegać! Szable! Z powrotem! W tył biegiem marsz!

Ale to wcale nie zmniejsza nam humoru, ani sympatji do p. plut. i zwykle pod koniec ćwiczeń rozlega się ochoczo pieśń:

„Bo całus to słodycz daktyla
On życie żołnierza umila..."

Z p. plut. Andrzejakiem wiążą nas ścisłe więzy pościelowe najczęściej też słyszy się rozmowę:

— Słuchajcie! Ja wam dałem 16 prześcieradeł, tak? i 14 zapinek, tak? i tyleż poszew...

— Tak jest!

— No, a wy mi oddajecie tylko 14, 12 i 13 tak?

— Tak jest!

— No, więc co się stało zresztą?

— Tak jest...

Uśmiech nie schodzi z twarzy p. kpr. Bombały, gdy oddział, posłuszny jego rozkazom, przemierza plac ćwiczeń we wszelkich możliwych i niemożliwych tempach. A niech się komuś na musztrze coś nie uda — napewno usłyszy zaraz, co się działo na rogu Jasnej i Świętokrzyskiej, gdzie „nasypali piasku", lub na jaki włos i skąd wyrwała się niefortunna „sirota".

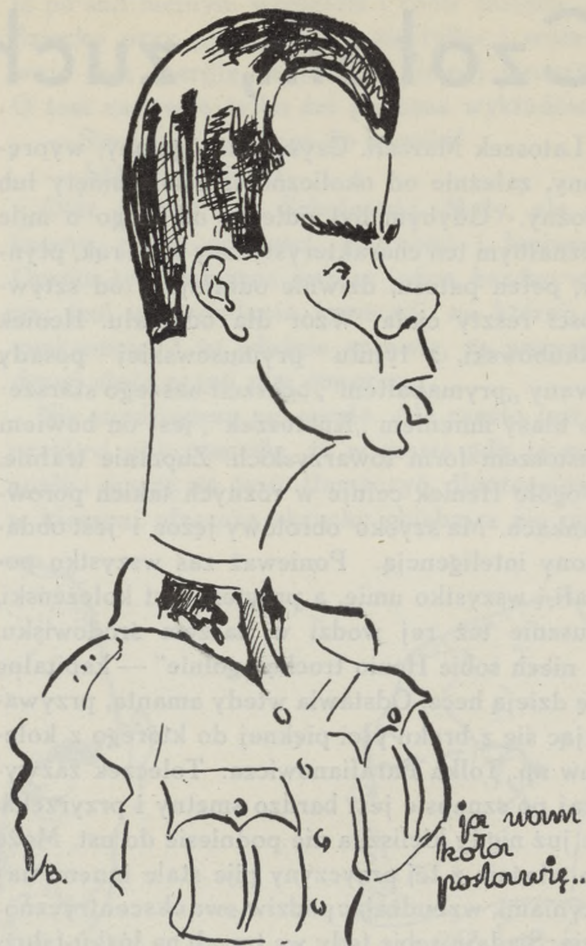
W kwietniu zapoznaliśmy się z systemem wychowawczym p. por. Kieresa. Wolno ale nieustępliwie, „tak czy inaczej", p. por. przekonywał nas, że sprzączka pasa powinna się znajdować na linji guzików, oraz zmusił nasze dystynkcje do zajęcia miejsca na naramiennikach w odległości 1 cm. od szwu rękawa. O karabinkach lepiej już nie mówić — „jak chuchnął na szybę" i... wogóle, „gdyby każdy żołnierz zaoszczędził grosz dziennie"... — ale to długi rachunek więc go odłóżmy na później.

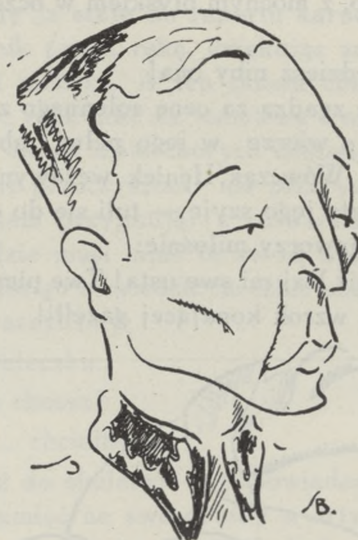
Wielce zagadkową przez długi czas była dla nas postać p. plut. Rotzala, która pojawiła się na placu ćwiczeń na początku marca. Jego: „jak wy sze nazywacze? — zgłoszicze sze do raportu!" stawiało nam przez cały marzec włosy na głowie — zdradzając ich niedozwoloną długość. Rychło jednak jego zamiłowanie do sportu, troskliwa opieka nad koszykówką, posuwająca się nawet do entuzjastycznego tłuczenia szkła... własnego zegarka zyskały mu sympatję ogółu.

podch. Stanisław Sobolewski

DISCE, MILES!

— „Zespół! na sali wykładowej zbiórka", temi słowy rozpoczynamy codzienną naukę własną. Ciężka to jest sprawa, z tem uczeniem się w S. P. R. A. Idzie się na salę wykładową z kupą regulaminów i z przeogromną chęcią dowiedzenia się nareszcie, jak to jest właściwie z tą obserwacją jednoboczną. A tam już starszy klasy wytrwałem nawoływaniem do ciszy i spokoju rozprasza nasze naukowe natchnienia. Gdy się wreszcie uspokoi, wchodzi p. o. mundurowy i gromy rzuca na tych, którzy nie wytrzęśli słomy z zagłówków. — To znów służbowy oświadcza kategorycznie, że nie będzie „wpadał" przez nas do raportu. Potem ten ci każe nanieść jakieś punkty, ów rozstawia ci rodzinę po kątach, bo właśnie masz strzelać na strzelnicy zmniejszonej, p. o. szef zaś z katedry trąbi wszem „wobec, że „nepel" zajął k. 232, że może będzie chciał się bronić, że wczoraj o 8-mej był tam, że go widział lotnik i daje do rozwiązania zagadkę: „co zrobi d-ca 44-ej baterji i gdzie postawi konie podoficer zaprzęgowy". Tak też, przypomniawszy sobie z rozpaczą, że masz jeszcze napisać list, kładziesz bracie Vade Mecum pod głowę i... odjazd w krainę sennych marzeń. Że zaś bądź co bądź trzeba jednak wszystko umieć, są dwa z tej sytaucji wyjścia: jedno — być gorliwym i kuć się pod kocem, drugie — izba chorych. Pierwsze jest dosyć trudne ze względu na to, że trzeba spełniać jednocześnie rolę rejestratorów sennych marzeń otoczenia i sejsmografów, notujących wstrząsy na działonach. (Ach, te kolacje). Co do izby chorych to dwie są metody dostania się do tej pożytecznej instytucji: a) przyrządu zorjentowanego i b) t. zw. benzogorączkolu. Pierwsza polega na zamianie własnego termometru z odpowiednią nastawą z danym do mierzenia, druga stosuje się następująco: 20 minut przed badaniem zjeść kostkę cukru z kilku kroplami benzyny. Stary praktyk mówił mi, że podnosi to temperaturę o kilka kresek. Co prawda po zastosowaniu jej ostatnim razem uzyskałem jedynie leczenie po zajęciach, a ganiałem na zbiórki pierwszy dzięki benzynie, którą woniałem przez tydzień. Ale może ja mam taką samochodową naturę, dlatego też teraz jestem zwolennikiem raczej przyrządu zorjentowanego. Gdy zaś lekarz przeprowadzi rozpoznanie (ale nie skrócone — „odjazd do zespołu" i nie odwrócone „bujać babunię, jesteście zdrów"), po uprzedniem wyspaniu się można znakomicie „przeczytać w kilka dni conajmniej stronę „Vade Mecum".





Jest jeszcze jedna metoda uczenia się: mieć otwartą głowę. I myślę, że tę właśnie najlepiej byłoby polecić następcom naszym.

podchor. Mieczysław Kobryk

Czołem, zuchowate twarze

Latoszek Marceli. Czyściutki, ogolony, wyprężony, zależnie od okoliczności uśmiechnięty lub groźny. Gdybym był odległy od niego o mile poznałbym ten charakterystyczny ruch rąk, płynny, pełen patosu, dziwnie odbijający od sztywności reszty ciała. Wzór dla oddziału. Heniek Jakubowski, z tytułu prymusowskiej posady zwany „prymabaltem", ochrzcił naszego starszego klasy imieniem „Kustoszek", jest on bowiem kustoszem form towarzyskich. Zupełnie trafnie. Wogóle Heniek celuje w różnych takich porównankach. Ma szybko obrotowy jęzor i jest obdarzony inteligencją. Ponieważ zaś wszystko potrafi i wszystko umie, a przytem jest koleżeński, słusznie też rej wodzi w naszem środowisku. A niech sobie Henio trochę „golnie" — kapitalne się dzieją hece. Odstawia wtedy amanta, przywalając się z braku płci pięknej do którego z kolegów np. Tolka Parafianowicza. Toleczek zazwyczaj po sznapsie jest bardzo smętny i przyrzeka, że już nigdy kieliszka nie podniesie do ust. Może to właśnie z tej przyczyny pije stale innemi naczyniami, wzbudzając podziw swą ekscentrycznością. Siadają sobie tedy we trzech na łóżku (służbowego gdzieś djabli ponieśli), bo jeszcze przyłącza się do zacnej kompanji Bartosiewicz, który widzów rozpędza swym fałszywym śpiewem i Heniek twardo, z mocnym błyskiem w oczach mówi do Tolka:

— Ty będziesz niby ona!

Tolek się zgadza za cenę solennego zapewnienia Heńka o wierze w jego pełną abstynencji przyszłość. Wówczas Heniek wężowym ruchem ramion oplata jego szyję — tuli się do obojętnej dziewicy i gaworzy miłośnie:

—O pani! Daj mi swe usta! Twe piersi są jak pąki róż, a wzrok konającej gazelli!

— Ja panią....... — drze się raptem, waląc biedaka w łeb. Na to znów natychmiast reagują kapralskie ambicje Tolka. Bójkę likwiduje swą powagą przywołany rozpaczliwym wrzaskiem Heńka: „Kustoszek! Ratuj!" — starszy klasy.

— Kto do lekarza?

— Zapisz mnie! Werner.

— Jacek! — zdumiewa się ktoś — bój się Boga! co ty dziś zabujasz?

— No, a na co wyglądam?

— Czy ja wiem? Może... nerwowa choroba. Masz taką głupią minę..

— No dobrze, pójdę na warjata.

I poszedł. Potem przy rozkazie: „odejdą do szpitala w Chełmie celem leczenia: „Werner". Opowiadali mi naoczni świadkowie, że Jacek długo, bardzo długo gadał z kapitanem, że kapitan do łez się wzruszył wyliczonemi mu po łacinie symptomami choroby, że wreszcie podał Jackowi rękę i mówił mu: „kolego". Po dwu tygodniach wrócił i dostał się zaraz na izbę chorych. Gdy na drugi dzień odsyłali go do oddziału, łagodnie się wzbraniał odejść:

— Niech Mandelman starozakonny się odsunie, bo stołkiem w łeb przywalę! Po jakie cholere mam iść do oddziału? Wywalili go wreszcie, acz z trudnością. Na WB wywiązał się między p. kpt. a nim djalog następujący:

— Werner!

— Stem!

— Wystąpić!

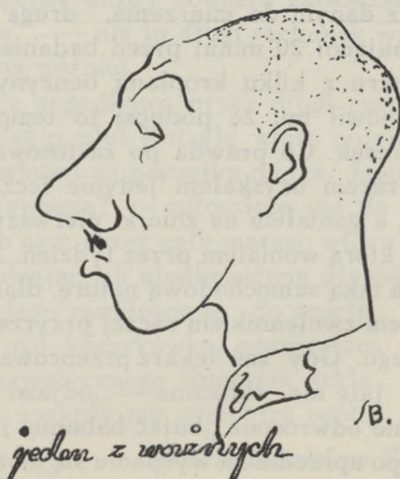
— Panie kapitanie, melduję posłusznie byłem dwa tygodnie w szpitalu.

— To mnie guzik obchodzi.

— No tak, ale ja nic nie umiem.

Pan kapitan, uderzony jasnością tego bystrego umysłu, dał mu tydzień czasu na dopełnienie



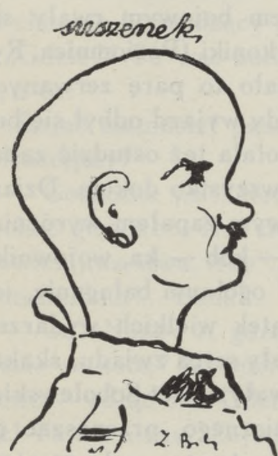


braków. Ha, mimowoli nasuwa mi się na myśl sentencja o tych, co mają szczęście. Ale on z tego WB chyba już nie będzie odpowiadał, bo znów dostał pięć dni paki.

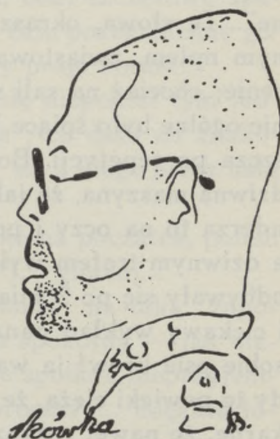
Jazda konna. Na pięknym, rasowym biegunie coś bardzo małego, z nożętami ściśle przylegającemi do konia dzięki ich kawaleryjskiemu ukształtowaniu, z rączętami uniesionemi w górę i kurczowo zaciśniętemi na wodzach. A w rogu ujeżdżalni, niedbale oparty o słupek, trzepiąc się trzcinką po cholewkach, grzmi por. Zborowski:

— Chłopczyk Jelonek, psiakrew! Pan Jezus na ośle prędzej uciekał! Jelonek! Psiakrew! Z konia! Na koń! Jelonek! Jelonek!

A biedny Jelonek tłucze siedzeniem grzbiet







konia, a potem się chwali, że mógłby mieć codzień na obiad befsztyk po tatarsku.

— No dobrze! — oświadcza na działoczynach p. kapral Bombała.

— A teraz Rybiański! Ustal podniesienie kwadrantem!

Po długich manipulacjach, pogardliwych skrzywieniach, prawdopodobnie w stronę tego, który wynalazł tą ramkę z ostrołukiem i tłoczkiem, oświadcza delikwent z miną pełną spokojnej pewności siebie:

— Kwadrant 80°!

— Coo!? — p. kapral wkłada w jedno to słowo cały bezmiar oburzenia i zdumienia.

— Ta panie kapralu, ta ja przepraszam, to 8°, ta człowiek czasem tak... — tu następuje wiatrakowaty ruch rękoma, mogący równie dobrze symbolizować to, że i pan kapral czasem może się pomylić, jak również jakieś zaburzenia w stratosferze.

Gdy na wykładzie dobiegnie cię bracie ciche chrapanie, gdzieś z prawej strony sali — to wiesz z niezbitą pewnością, że to śpiący królewicz Rygier. Budzony przez Juchniewicza cichym szeptem: Jezus! Człowieku! — toczy przez chwilę po sali mętnym wzrokiem i znów zasypia, jak dziecko przy piersi. Budzi się tylko i wyładowuje swą energję na jeździe konnej i nartach. O tem zapewne tylko śni podczas wykładów.

— Stasiek, napisz coś do kroniki!

— Idź do cholery!

Otóż to jest pan Sobolewski. Mały, ale pakowny, pełen godności, zdolności i leniwości. Oprócz tych zalet ma jeszcze jedną, bardzo ważną: jest w posiadaniu harmonji, na której gra znakomicie. I to właśnie sprawia, że wszystkie drzwi stoją przed nim otworem.

Nie zazdroszczę mu wcale. Ale często jest mi przykro, gdy pomyślę, że w czasie gdy ja mam apele i muszę się gęsto tłumaczyć, dlaczego mam w kieszeni płaszcza okruchy chleba, a nie mam wszystkich troków, on sobie gra ze swą orkiestrą. Gdy ja staję do raportu karnego, jemu p. pułkownik ściska rękę, dziękując za wykonanie jakiegoś numeru. A ten potem chodzi pyszny, jak paw, rękę nosi na temblaku i nie chodzi do kąpieli. Ja na izbie chorych dostanę soli, która „łagodnie przeczyszcza nie przerywając snu", a jego tam przyjmują z otwartemi rękoma. I wszędzie musi mieć tę swoją harmonję. Gdy poszedłem go odwiedzić na izbie chorych, tak ze sobą gwarzyliśmy:

— Mieteczku...

— Co chcesz?

— Ja... chciałbym...

— Idź do cholery! — odpowiadam wersalsko przez pamięć na swe prośby o artykuł do kroniki. Po chwili triumfu mówię łaskawie:

— No, ostatecznie mógłbym ci coś zrobić.

— Coś, coś, — jęczy to bydlę, prześladując moje warszawskie akcenty.

— No, powiedzmy coś — zgadzam się myśląc, że może nareszcie umiera, więc nie warto mu zatruwać ostatnich chwil.

— Przynieś... harmonję... — jęczy, kopiąc

w agonji pościel brudnemi nogami i gryząc poduszkę.

Przyniosłem. Zrobił bałagan, jak cholera. Wszyscy ozdrowieli, nawet p. plut. tańczył taniec swego obfitego brzucha. Zgroza i dżuma! Bodaj mu się nogi sprostowały temu harmoniście!

Ciekawe typy. Ale morowe, bycze chłopy. Czyżewski o zagadkowej mowie („do raportu do panu majoru!" „jestem zapaśniony") fotograf uporczywy a niefortunny. Chybowski — Petroniusz (ale nie w czasie służby) reprezentacyjny balownik (jedyne szaszery!) zakuwający się Obertyński „Święty Ober" usłużny a niedoświadczony, jak dziewica, Klimek ze swem: „aść! cznij! na dziaony rozść sia!"

Wszyscy będziemy się napewno zawsze pamiętali. A gdy się kiedy spotkamy, to pójdziemy do knajpy na bigos „a la S. P. R. A.", by upić się wódką i wspomnieniami. Czołem, zuchowate twarze!

podch. Mieczysław Kobryk

NA STOPIE WOJENNEJ

„Założenie ćwiczeń W. B.". „Położenie ogólne". Te słowa, okraszone zawsze sakramentalnym nplem, zwiastowały nowe ćwiczenia w terenie; chociaż na sali w czasie wykładu położenie ogólne było śpiące lub nieszczęśliwe — zwłaszcza po repetycji. Bo organizm ludzki to taka dziwna maszyna, że jak się człowiek naje, to mu uderza to na oczy i powieki ciężą ku dołowi; a dziwnym trafem wykłady z W. B. przeważnie odbywały się po 2 śniadaniu. Nie pomagał żywy i ciekawy wykład pana kapitana, „ani postójcie sobie psia krew! ja wam dam nie uważać", kiedy te powieki ciężą, że ani rusz, a bestje tak niekarne, że nawet rozkaz dowódcy sobie lekceważą. Ale co innego, gdy przyjdą ćwiczenia w terenie, gdy cały zwiad wykopawszy tomahawk —



busolę, za swym wodzem stąpa krok w krok, lub czołga się na brzuchu na punkt obserwacyjny, aby podejść zaczajone blade twarze, odżywają wtedy zapomniane tradycje, marzeń „indjańskich". Pierwsze ćwiczenia w terenie były tylko przygotowaniem, czy zapowiedzią czekających rozkoszy; złamany dyszel, czy zagubiony sprzęt łączności, to skromny dorobek. Wreszcie nadszedł pierwszy bój spotkaniowy, to już nie tylko jeżdżenie oddziałem zaprzężonym — nietylko wybór punktów — ale walka, bój z mitycznym npl'em. Zagrzane zapałem bojowym rwały się serca, rwały się też rącze koniki (Poziomnica, Rysa, Wilk) w sumie dawało to parę zerwanych postronków i szczęście, gdy wyjazd odbył się bez złamania dyszla. Nie zdołała też ostudzić zapału gęsta mgła, otulająca wszystko dokoła. Dziarską postawą i iście bojowym zapałem wyróżniał się zwiad pod wodzą Ja — kób — ka, wojownika znanego i odważnego. W ogólnym bałaganie, jaki zawsze cechuje początek wielkich wydarzeń — z niecierpliwości skakały serca zwiadu; skakały tak wysoko, że poderwały nawet Sobolewskiego, dow. patrolu telefonicznego, przenosząc go ponad siodłem rączego mustanga na drugą stronę — gdzie zacna jego skroń zawarła bliższą znajomość z „puszystym", a mocno udeptanym śniegiem. Lecz nawet ten mokry dotyk nie zdołał ostudzić jego bojowego zapału.

W ciszy skupienia posuwał się zwiad wśród rzednącej mgły, drzewa obwieszone okiścią szronu, wydawały się jak kolumny zaklętych pałaców. Zmrużone oczy napróżno wśród szarych konturów starały się wykryć npl'a.

Małą grupką sunie zwiad na punkt obserwacyjny. Zupełnie jak na wojnie, posuwają się skulone postacie — czasem przypadające do ziemi. Wtyle na stanowisku baterji zajazd wedle wytkniętego frontu. Działa po koła grzęzną w śniegu, obsługa bezradna po pas brodzi w białym puchu, pod którym przeklęte błoto, jakby sznurami pęta nogi. A gdy łączność z punktem obserwacyjnym nawiązana, padają pierwsze rozkazy; rozpoczyna się bój z niewidocznym nplem. Biegną po drucie meldunki — aż wreszcie pada wieść „Pierwszy oficer Latoszek padł rozerwany granatem „dzielny oficer nowoawansowany" długo walczył w obronie swej noty—aż musiał uledz, parę trupów raportowych, „zgłosicie się do raportu", dopełniło jeszcze liczby, aż wreszcie ze-

rwana życzliwem końskiem kopytem linja, kładzie kres ćwiczeniom. Zmęczone wojsko ciągnie na stanowisko ogniowe, gdzie już czeka kuchnia i pan szef jak bona, pardon niańka, ojcowską ręką rozdziela tradycyjnie niezmienny gularz. Ale dziś jakże inaczej on smakuje. Pokrzepione wojsko wraca triumfalnie do koszar, zastanawiając się w głębi duszy — czy właściwie my zwyciężyliśmy — czy nienawistny npl.

podch. Edward Obertyński

„DELBECIK RAZ"

— Następni do badania!

Czterech śmiertelnie chorych zerwało się szybko i wymazując z twarzy resztki niedawnego uśmiechu złamanym krokiem podąża do ambulatorjum.

Od drzwi uderza we mnie silny, napewno nie od chorego pochodzący głos:

„Gdzie?! Tu was boli? Nieprawda, wcale nic tu, a tu!"

„Bujać mamusię! pendzlować po zajęciach! Następny!

— Gorączka jest! Rozebrać się! Prędko! Oddychać głęboko!.. Nos do ściany!... Nooo... sss!!! Mówić: „raz, dwa, trzy"... Tak! Na izbę chorych... I cm delbeta!... Bańki... Następny!

— Co? Noga? A gdzie ona jest, nie przynieśliście ze sobą? W bucie? No, to ja nie jestem szewc — zdjąć but! Gdzie boli?! Tu? Nie? Pokazać! Tu nic niema. Zajodynować, chodzić w pantoflu! Następny!

Następny — to ja. Z bijącem sercem zbliżam się i siadam na brzeżku ławki.

— Gdzie boli? Tu? Położyć się! Tu?... noga do góry! Oddychać równo! To guzik. Ubierać się! Stolec był?

— Był.

— Gdzie?

— W oddziale.

— Wiem, że nie w fortetpianie — kiedy? pytam się.

— Jaki?

— Nnnie namiętam. (?!)

— To trzeba sobie było zapisać! Następny!

I znów czterech dżentelmenów znalazło się na korytarzu. Ale cóż za cudowny wpływ doktora! Któżby przypuszczał, że sama djagnoza może mieć tak olbrzymie walory kuracyjne! Z czterech żywych trupów, przestępujących progi gabinetu doktora, narodziło się czterech dzielnych wojaków, z męstwem dźwigających swój los w postaci dwu dni zwolnienia oraz przyjęcia na izbę chorych.

Po powrocie do zespołu, obaj szczęśliwi, spakowaliśmy się szybko i bez żalu pożegnaliśmy gościnne od czterech miesięcy progi koszar.

Mój „towarzysz wielce się niepokoił tym jednym centymetrem „delbeta", co dało mi znakomitą okazję do „nabijania" się z niego przez całą drogę.

— Ten centymetr, to tylko na początek, potem będziesz dostawał więcej i... głębiej...

Nieborak bladł i czerwieniał na taką zapowiedź rozkoszy, ja szedłem spokojny — jak niemowlę — bo cóż mnie może spotkać nieprzyjemnego? Jakieś krople czy proszki i... miękkie łóżeczko.

Na izbie chorych plutonowy przyjął nas jak właściciel eleganckiego pensjonatu — miłych gości, co do których wypłacalności ma wielkie wątpliwości.

— Panie szefie! Melduję się posłusznie z zapytaniem o rodzaj kuracji jaką tu mamy odbyć — zapytałem uprzejmie.

— On ma anginę, dostanie delbecik (spojrzałem z triumfem na towarzysza) — a wy?... wy na ślepą kiszkę... ścisła djeta, okłady z lodu na brzuch i dwa razy dziennie...

...Lewatywa!...

Kolana załamały się pode mną, poczułem się nagle bardzo, bardzo chorym...

Czemuż ten warjat zaanginowany tak się szaleńczo śmieje?...

podch. Sobolewski Stanisław

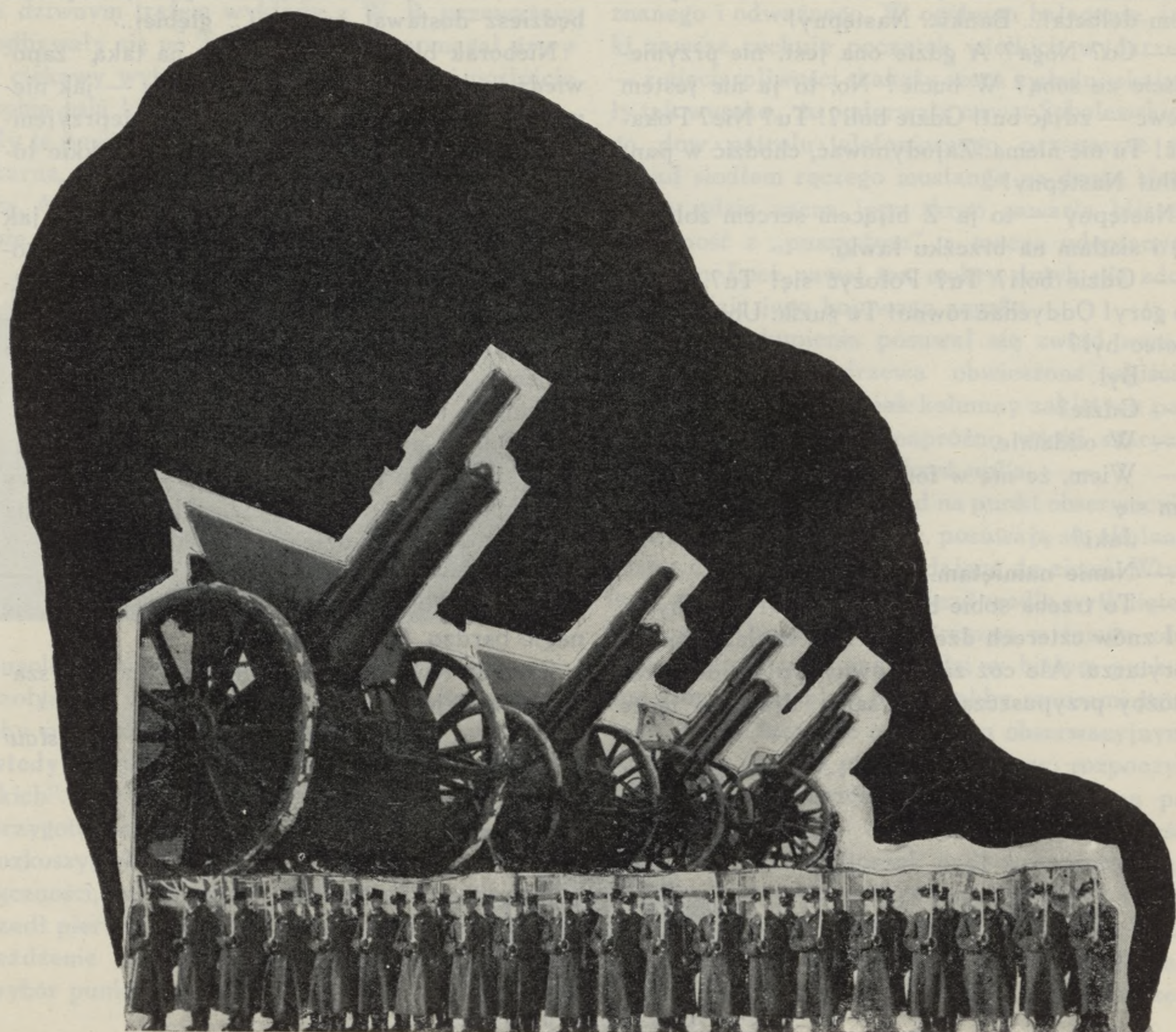


POWSTAŃ!

Szary, ostrzyżony tłum. Przyciszone rozmowy w ławkach. Widać brać rekrucka czuje się nieswojo. Pierwsze kroki, stawiane w wojsku nieśmiało przy pomocy dobrych doradców — podoficerów. U drzwi postać plutonowego. Chwila oczekiwania... W drzwiach ukazuje się korpulentna postać dowódcy — p. mjr. Porębnego, który z iście żołnierskim temperamentem przedstawia nam w barwnych słowach czem być powinniśmy. Ostro gromi nas na zapas Dowódca: — „Ja hochstaplerki nie zniosę i uprzedzam was, że ordynarnym też być potrafię. Jestem lwowianinem, a lwowianina nikt jeszcze nie nabujał. Życie nad stan — to jest hochstaplerka. Jeśli ktoś ma 1 zł. — to wolno mu wydać tylko 98 gr.". — Poważnie kiwały się głowy kanonierów, wymownemi ruchami potakując panu majorowi — tak samo jak to czyniło szereg innych pokoleń, siedzących na tych samych ławkach z magicznemi napisami: „Jeszcze 12 dni do urlopu". „Jutro wyjazd na poligon". „Dwa dni do świąt B. N." Dowódca rzucił ostatnie gromkie słowa i znikł za drzwiami sali, a za nim pomknęła ostra komenda:

— Powstań! — Baczność!

Skolei poznaliśmy najbardziej przez nas lubianego p. kpt. Olszewskiego — wykładowcę dwóch podstawowych przedmiotów — instrukcji strzelania i topografji, których obecność w tygodniowym rozkładzie zajęć obwieszczały tajemnicze i fascynujące nas znaki: „Tp" i Ist". — Pan ogn. Dziadowicz — nasz szef — określił p. kpt. Olszewskiego: — „to jest ten delikatny pan kapitan". Nieoceniony pan szef ze swym nieodłącznym zwyczajem odczytywania codziennie „nomerów" rozkazów. Czy w dzień błotny — czy pogodny panowie oficerowie wraz z podoficerami towarzyszyli nam przy wszystkich zajęciach, luzując się wzajemnie. Świetnym „dawcą zastrzyków życia wojskowego" okazał się p. plut. Pło-



skotniak ze swem: „to musi być jak jeden cug"... Zaś kpr. Styma, często robiąc surową minę, starał się nas nastraszyć — zawsze jednak bezskutecznie. Głosem donośnym dążył do pokonania śpiewu oddziału: „Kanarki — ja was o ziemię rzucę. Wy wiecie, że możecie lepiej, ale wam się nie chce". A gdy w dobrym humorze wysilaliśmy swe głosy by „A czyjeż to imię" — „wychodziło" jaknajlepiej — wtedy kapral z iskrą zadowolenia w głosie przemawiał: „to było lepiej, to było prawie dobrze, ale to jest dopiero jedna gwiazdka na ciemnem niebie — to jest jeszcze nic". Na urlop wyjechał zaraz w pierwszych dniach okresu rekruckiego p. plut. Wawrzyniak, a w rubryce „rządców dusz" zespołu widniały jeszcze nazwiska dwóch panów oficerów, których długi czas nie mogliśmy poznać. Byli to: p. kpt. Sacha Stanisław i por. Borczyński Wiktor. Pan porucznik ukazał nam się kiedyś na horyzoncie działoczynów — mając za tło wiecznie czerwoną działownię, a jako dopełnienie obrazu hb. 100 mm.

Rozpoczęły się działoczyny. Nazwy pokręteł i mechanizmów mieszały się w kanonierskich głowach z nazwami zapadek i śrub. Pan porucznik zaś, niezmordowanie wypytywał nas, cierpliwie słuchając niejasnych i niezdecydowanych odpowiedzi: — „powiedzcież mi człowieku — do czego służy ten mechanizm?"

— „Zastanówcież się!"

— „Ależ — człowieku!"

Delikwent długo szukał żądanej rzeczy, oglądał działo ze wszech stron, dotykając przeróżnych mniej lub więcej ruchomych części, by wreszcie skonstatować przestraszonym i cichym głosem: — „Nie wiem panie paruczniku"... Wykład kończyła moralna prelekcja: — „Wy nic nie umiecie dobry człowieku".

— Jakoś po miesiącu — na pierwszej godzinie, na komendę: — „Powstań! — Baczność"! — wszedł na salę nowy pan kapitan.

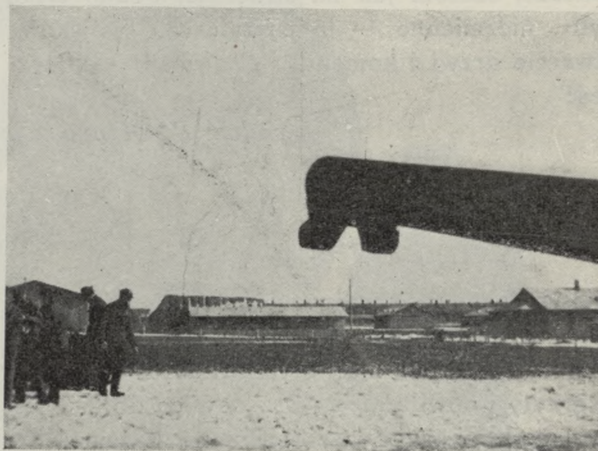
— Jestem kapitan S. — prowadzę wykłady z nauki o broni i musztrę pieszą". Odtąd wiedzieliśmy co to znaczy „Br" i Mp". Wiedzieliśmy też, że pan kapitan żartować lubił tylko poza zajęciami — natomiast na mustrze zespół musiał chodzić jak zegarek. Energiczny głos pana kapitana wprawiał nas w szał biegu. Poprostu nie można sobie było miejsca znaleźć na placu, by chwilę stać spokojnie.

— „W prawo marsz, — biegiem... marsz, — w tył biegiem marsz".

Czasami pan kapitan ukrywał nas w rowie przydrożnym, dbając o to, by każdy leżał na ziemi dobrze wyciągnięty w prawidłowej pozycji.



fot. Olańczuk



fot. Olańczuk



fot. Olańczuk

Potem zrywaliśmy się jak oparzeni i biegliśmy na inne stanowisko, w cieniu drugiego rowu kryjąc szklące się w słońcu bagnety. Alarm był dla nas miłą niespodzianką, urządzoną znienacka w ce-

lu uprzyjemnienia żywota. Przecież żołnierz nie może się nudzić, no i winien być zawsze w pogotowiu bojowem. Charakterystyczny głos, dodawał nam iskier energji, — mięśnie twardniały z wrażenia, a ręce z szybkością maszyny pakowały plecaki. Kilkanaście mgnień oka i oddział gotów. Taki to był wpływ na nas p. kpt. S. — mistrza musztry pieszej w S. P. R. A. Mijały dni za dniami, dni słoty i dni pogody, dni zwykłe i służby stajennej. — Niby podobne, a inne, niby bliźniaki, urodzone przez program, kreślony śmiałą ręką, a jednak wybuchające niepohamowanym śmiechem, tryskające humorem, pełne zdarzeń wesołych i smutnych, owiane troskami lub radością. Czasem na okrzyk służbowego wstawało się ochoczo, czasem jak na stracenie. Jedno tylko było niezmienne — to energiczne, wojskowe otwarcie drzwi i komenda: „Powstań! — Baczność".

podch. R. Orzanowski

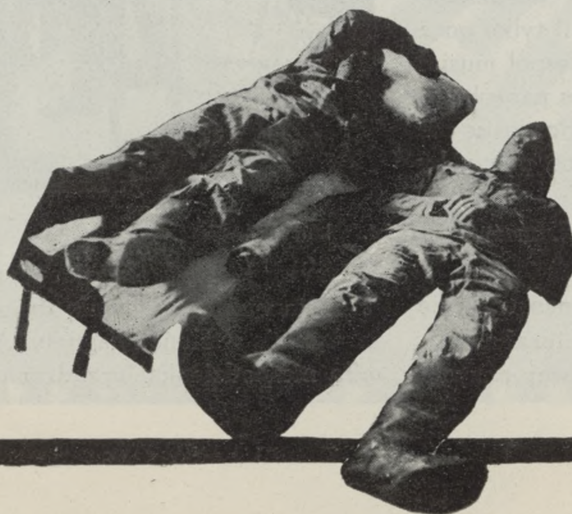


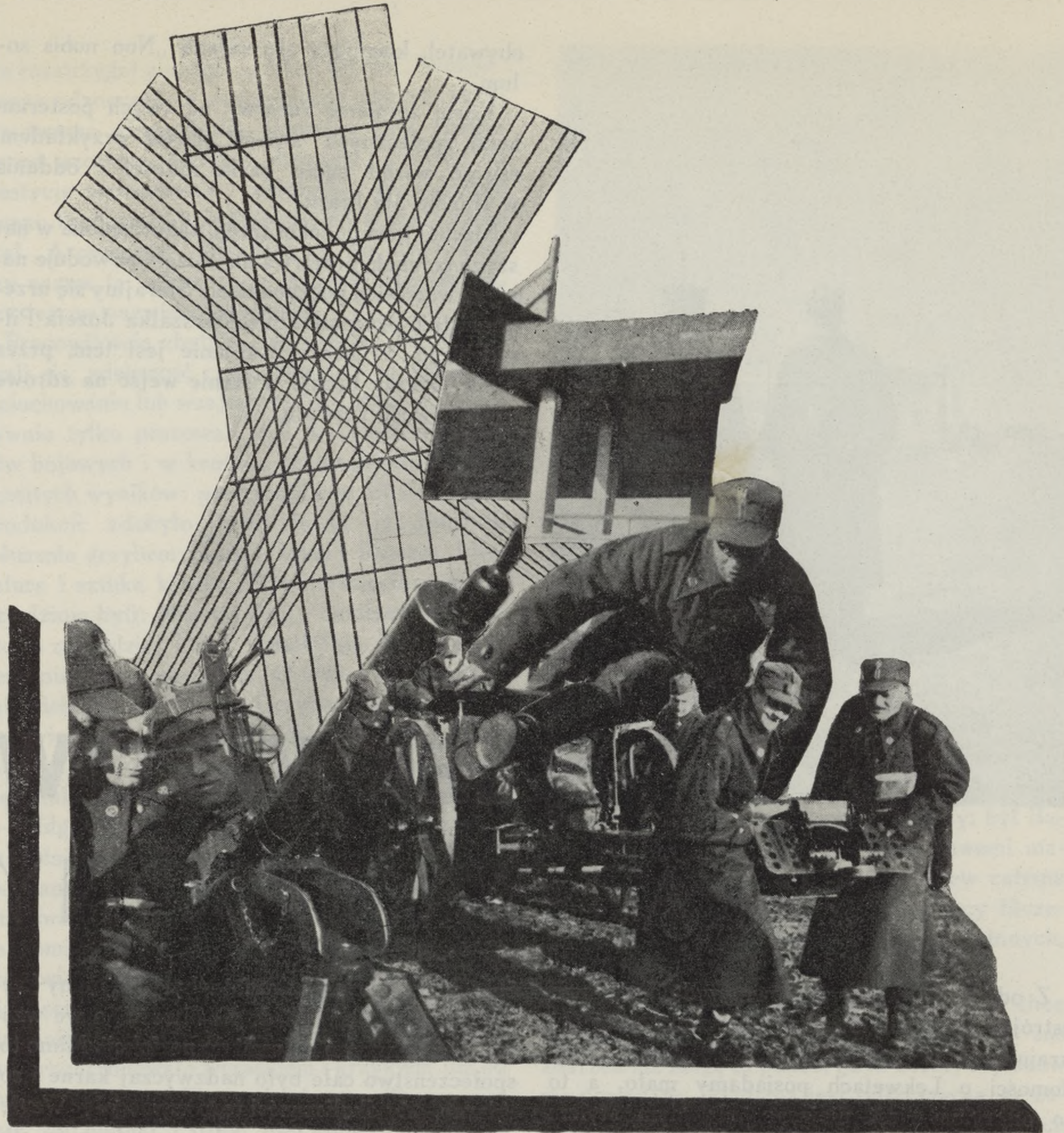
NIE BAJKA

Mieszkaliśmy w pensjonacie...
Jako, że wygodnie w nim było i nie smutno.
Były typy i typki, były błyski radości
i zgrzyty i chwile kiedy wszyscy, co do
jednego klęli świat cały i siebie nawzajem —
i mijały. Byli wykładowcy i instruktorzy, którzy w przerwach między wykładami „ganiali" nas po polu. Był dowódca, który twierdził, że potrafi być ordynarnym i kapitan, o którym mówiono „to ten delikatny kapitan". Był szef, przed którym rekruty drżały i kapral chcący być groźnym — bez skutku.

Pławiliśmy się w słońcu, mokliśmy na deszczu, pływali w błocie, wreszcie marzliśmy, pragnąc zimna, gdy było gorąco, a upałów w czasie mrozu, klnąc deszcz spływający za kołnierz i prosząc oń, kiedy kurz oddychać nie pozwalał. Były konie, konie złe i dobre, złośliwe i kochane, dobrze skaczące i niechcące przejść w galop. Były działa i „kabeki" i broń biała i czyszczenie z przeglądami i krzyżyki za czyszczenie i alarmy—co od czasu do czasu przerywały spokój i monotonję życia „pensjonatu". Była palarnia, w której gwar panował niemożliwy i gdzie pośród twardo, jak opoka siedzących, szachistów, w obłokach dymu papierosów, snuły się charakterystyczne sylwetki szeregowych z cenz. „grających na radjo" i patefonie jednocześnie i dyskutujących we wszystkich możliwych odcieniach polskiej mowy. Nie było źle, zgodzą się wszyscy. Było dobrze. Było gorzej i lepiej, ale nie było źle. Było to w pensjonacie...

podch. L. Stecki





IDEOLOGJA

Ideologja naszego zespołu stworzona została z hasła „Non nobis solum", najlepiej charakteryzującego działalność lekarza-żołnierza.

Treścią życia żołnierza jest miłość i praca dla Ojczyzny. Przez wyzbycie się osobistych wygód jest on w każdej chwili gotowym do wykonywania swych surowych obowiązków. Wierność dla Ojczyzny, odwaga, waleczność i wysoko niesiony sztandar honoru żołnierskiego są impulsem dla bohaterskich poczynań, które stawiają go w rzędzie wybranych synów Ojczyzny.

Nie dla własnej sławy, lecz dla sławy i wielkości ojczystego kraju żołnierz dokonuje — tych czynów. Nie wszystkie wśród nich są wielkie i dające rozgłos; są powinności z pozoru błahe, małoznaczące, a jednakże niekiedy ofiarne, pełne samozaparcia, odpowiedzialności i znaczenia. Do tych ostatnich należy dobrze zrozumiana praca lekarza weterynarji w wojsku w czasie pokoju i wojny. Na swem odpowiedzialnem stanowisku lekarz wojskowy zostaje częściowo zwolniony od obowiązków ściśle żołnierskich, nie przestaje jednak być żołnierzem w istotnem tego słowa znaczeniu.

I my, podchorążowie, lekarze i absolwenci medycyny weterynaryjnej w czasie naszej służby w Szkole Podchorążych Rezerwy Artylerji — a potem w pułku nabywamy cech żołnierza-lekarza weterynarji. Powinniśmy je zachować, aby nawet po zdjęciu munduru został w nas żołnierz

obywatel, kierujący się zasadą „Non nobis solum".

Karni żołnierze rezerwy na swych posterunkach społecznych świecić muszą przykładem, rzucać wśród ogółu hasła miłości i oddania w służbie dla kraju.

Niechaj idea podchorążego, zakorzeniona w naszych sercach, przetrwa najdłużej i powoduje nami we wszelkich poczynaniach. Starajmy się urzeczywistnić przepowiednię Marszałka Józefa Piłsudskiego, że nasze pokolenie jest tem, przez które „Polska będzie w stanie wejść na zdrowe drogi" swego rozwoju.



LEKWETÓW KRAJ ZAGINIONY

Z odległości wielu wieków wydaje się nam ustrój i sposób bytowania społeczności czy też kraju, zw. Lekwetów, bardzo dziwny. Wiadomości o Lekwetach posiadamy mało, a to co odkryłem jest niejasne, dziwnym stylem pisane. Właściwie to — co napiszę, jest tylko zlepkiem nielicznych zapisków kronikarza Lekwetów, zwanego Balbusiem. Wiele pracy kosztowało mnie zebranie tych niejasnych zapisków, więc proszę nie ciskać na mnie gromów, jeżeli historja nie będzie zbyt obszerna, lub wersety teq historji dla niewtajemniczonego ogółu niejasne. Nie dla ogółu piszę!

Rozpatrując ustrój Lekwetów, w oczy rzuca się ciekawe ustosunkowanie ich do władzy. Dwie zasadnicze władze były uznawane. Pierwsza to władza mocna i sprężysta, źródło jej umiejscowione było poza społecznością, coś jakby siła wyższa i tej Lekweci podporządkowali się w zupełności. Druga wewnętrzna, samozwańcza cesarza Menelika II, aż nadto świadomego powagi swej, władzy i splendoru. „Cysorz" ten dużo mówił, dużo rozkazywał, obywatele jednak nie słuchali go, śmiejąc się mu w oczy, rzucali obelgi, a nawet szpetnie go wyzywali. Wogóle cechą charakterystyczną Lekwetów był wzajemny krytycyzm, posunięty aż do złośliwości, a we wzajemnem dokuczaniu doszli do perfekcji. Mimo to, społeczeństwo całe było nadzwyczaj karne i solidarne, gdy okoliczności tego wymagały. Względem wykraczających przeciw zarządzeniom stosowano surowe sankcje.

Obok wykroczeń pospolitych, pełnych złośliwości, były też przestępstwa dokonywane z premedytacją (jeden to nawet lubił bić krzesłem po głowie kolegów).

W takich wypadkach zabierała głos instytucja, zwana sądem koleżeńskim. Instytucja ta działała cicho, coś jakby sąd kapturowy, skazywała obywateli na ciężkie roboty. Trudno powiedzieć, by skazani z ochotą wykonywali wyroki sądu, powiem nawet — głośno sarkali, lecz to nic im nie pomagało, musieli robić. Sądowi przewodniczył mąż szlachetny, okazałej budowy i bardzo sprawiedliwy; trzej inni sędziowie, to ludzie poważni, mało karani; jeden „Mamką" zwany o głosie donośnym i światowych manierach (podobno w cywilu był dyrektorem cyrku); drugi to ogólnie znany „Kubuś Rozpruwacz", ten choć małej postaci był postrachem ogółu, gdyż spory wszel-

kie rozstrzygał z nożem w ręku; ostatni „Sumem" zwany odznaczał się obwisającemi wąsami i okrągłą twarzą. Gospodarka pieniężna była prowadzona wzorowo, dochody obracane na liczne inwestycje wewnętrzne. Instytucję gospodarczą zwano funduszem koleżeńskim, na którego czele stał „Arcymurga". Nieudało mi się stwierdzić, czy nazwa ta wskazuje na godność piastowaną, czy też na nazwisko obywatela.

Pracowitością zbytnią obywatele nie odznaczali się, większość czasu spędzali na słodkiem leniuchowaniu lub wzajemnem dokuczaniu. Intensywnie tylko pracowali nad wytwórczością gazów bojowych i w krótkim czasie doszli do znakomitych wyników; paru mężów w tej dziedzinie produkcji zdobyło sobie sławę, jak Borowik (słusznie grzybem zwany), Ułan i Ramzes. Literatura i sztuka kwitły. Przedstawicielami w tej dziedzinie byli: Mikołaj Ryj z Sambora (szlachcic na zagrodzie), który wsławił się słowy, pisanemi nietylko u nas, oraz już wyżej wspomniany człowiek, słusznie zwany Grzybem, którego sprośne wiersze bawiły nieraz obywateli do późnej nocy. Ze sztuk pięknych najbardziej rozwijała się sztuka gry w karty, zwłaszcza najtrudniejsza — bridge. W tej szlachetnej sztuce odznaczał się szczytnie niejaki Fanatyk, od niego została nazwana choroba, czy też nałóg brydżowy „fanatitio bridgeomanica", która toczyła mózgi wielu znakomitych mężów. Kultura sportu była wysoko postawiona. Gra zwana „piłką nożną" roznamiętniała serca Lekwetów — ani deszcz, ani śnieg, ani mróz nie odstraszały ich od grania. Boisko sportowe rozbrzmiewało wrzaskiem i krzykiem już od wczesnego ranka. Sławą dzielnego piłkarza cieszył się niejaki Pstrąg, dla którego miłośnicy piłki nożnej sprowadzili specjalnego trenera. Jazda konna była uprawiana z równą namiętnością. Byli tacy, którzy w jeździe konnej doszli wprost do niesamowitej wprawy: np. taki Kobyła umiał anglezować nawet na samem siodle w powietrzu. Sztuki tej dokazywał dość często, kiedy to rozbrykany konik wyrzucał go razem z siodłem w powietrze.



Wielu było jeszcze ludzi, których imię, sławą okryte, potomności dla przykładu zostawiono; był Szpiegłówka, doskonale udający kwik zarzynanej świni; był Pieka aktor znamienity; był Babuła, który, jak dawna czarownica, swemi manierami i niezadowoleniem, psuł krew całemu zespołowi; był filozof Opylacz, głoszący filozofję opylania (od nazwiska); i wielu, wielu innych, o których niesposób napisać.

Drobnemi szczegółami i epizodami nie chcę więcej męczyć czytelników. Ważniejszych zaś zdarzeń nie mogę tu podać, gdyż więcej zapisków nie posiadam. Wiadomą jest tylko rzeczą, że zespół istniał krótko i nic z niego, prócz licznych wspomnień, nie zostało na terenie S. P. R. A.

Wład. H.

SZEF

Kiedy ujrzałem go poraz pierwszy, opanował mnie lęk. Jego marsowe oblicze i groźny wygląd mówiły, że będzie surowy. Ubrany w drelich, — stawiałem pierwsze rekruckie kroki w siedmiomilowych ciężkich butach po dziedzińcu. W podobnym stroju, bez celu kręcili się po dziedzińcu moi koledzy. Gwarno było w tej małej rodzinie. Jeden śpiewał jakąś żałosną piosenkę o lubej, inny siedział na murawie z opuszczoną głową, a reszta opawiadała coś żywo. Nagle nadszedł szef. Gromkim okrzykiem: „Oddział"! zatrzymał nas w bezruchu. Nie wiedziałem, co znaczy to magiczne słowo, które brzmiało w ustach szefa jak „patria". Myślałem, że chodzi tu o ojczyznę — dopiero później sprawa się wyjaśniła. Po krótkiem przemówieniu, które miało na celu stwierdzenie, iż jesteśmy cywilami, zapędził nas na salę i kazał wypychać kijami sienniki — robić kanty tak długo, by siennik formą przypominał pudełko zapałek. Mozoliłem się, kroplisty pot spływał mi z czoła, a siennik wcale nie chciał upodobnić się do pudełka zapałek. Gdy wreszcie po godzinnej pracy zasłałem swoje łoże, podszedł do mnie szef i rzekł: „Wasze łóżko przypomina Karpaty — grób św. Jacka". Co do Kar-

Migawki z życia

widziane oczyma Małego Jasia

wyk. bol. CENA



Poczontkowo było nam ciężko bo goronco było straszne a buty mieliśmy niewygodne Puźniej Pan Porocznik podarował nam karabiny szable i powiedział rze karabin będzie odtond naszą kochanką na całe rzycie zaś Pan Szew pilnował rzeby nie była brudna wienc musieliśmy ją częnsto czyścić wyciorem



W nocy częnsto budziłem się bo mi się zdawało rze niepszyjaciel chce nas otróć gazem



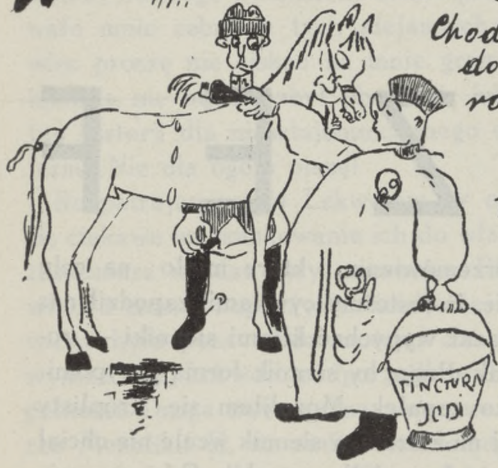
Strasznie częnsto czyściliśmy remonty a zwłaszcza głowy i ogony



Strasznie pszyjemna była jazda konna Ja jeździłem na Agacie i Pan Kapral mnie zafsze chwalił i powiedział rze mógłbym pojechać do Abisyni

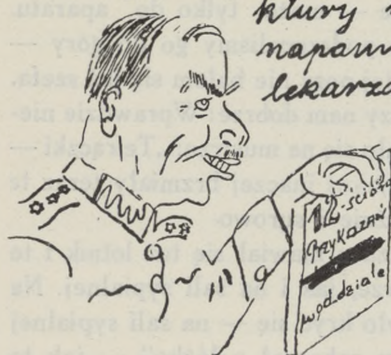


Chodziliśmy także do do ambólansu gdzie robiliśmy rużne opatrónki Puźniej Pan Doktór pszychodził i dalej walkował mankamenta i zafsze nam muwił rze o fszystkim decyduje Gura





Puźniej pszychodził także drugi Doktor
kturry uczył nas wyliczać
napamięć dwanaście obowionzków
lekarza wojskowego





Dosyć czensto okrywaliśmy się przed lotnikiem
kturym nas Pan Plótonowy straszył.

Po dwuch miesioncach
pszyjechał nasz dowudca kturry
zafsze spoglondał
na zegarek chyba
z pszyzwyczajenia
bo słurzył w
pociongu
pancernym





Potem był alarm i wszyscy
potracili głowy i był straszny
krzyk i chałas

Potem nie było nic ciekawego
i rozjechaliśmy się

pat, to zgodziłbym się chętnie, nie wiedziałem tylko, co ma wspólnego moje łoże z grobem św. Jacka. Nie oponowałem jednak. Jeszcze raz wydobyłem kije, pchałem i stukałem po sienniku, by zrobić zeń postać „kanciastą".

Najgorzej jednak było z musztrą, której nas szef uczył. Biegaliśmy po placu ćwiczeń, salutowali na tempa, a szef ciągle powtarzał: „Te rączki, te nóżki — psiakrew — niech chodzą". Jak nóżka szła, to znów rączka nie chciała chodzić i tak „w koło Macieju".

„A te walizki, psiakrew, to wam powyrzucam hen tam na pole i te paczuszki, a potem będziem to nosić i będziem biegać, o będziem biegać".

Rozpaczliwie popatrzyłem na swoją walizkę i w duchu z nią się żegnałem. Zamyśliłem się. Z zadumy wyrwał mnie okrzyk: „Sprzątać rejon — czego stoicie jak Poniatowski". Wziąłem miotłę i zamiatałem niezdarnie, czarną jak noc podłogę izby, nie wiedząc wogóle, czy zamiatam „rejon". Bystre oko szefa dostrzegło gdzieś w kącie leżące małe źdźiebełko słomy. „Hej, a weźcie tę „belkę" paluszkami i biegiem na dwór".

Wogóle wszystko kazał nam robić biegiem, czasem przeszkadzały ciężkie buty.

Gdy odchodził — nabierałem odwagi, czułem się raźniej. Gdy zjawiał się — opanowywał mnie paniczny strach. Zjawiał się bowiem wtedy, kiedy najmniej był pożądany.

Leżałem już w łożu, kiedy zjawił się. Obrzucił groźnem spojrzeniem moją „kostkę" — potem mnie i zadecydował: „Wstawać i ułożyć jeszcze raz, bo będziem tak do rana biegać". Rzeczywiście — moja kostka przypominała wieżę w Pizie. Wstałem cicho, bez szemrania i wziąłem się do syzyfowej pracy.

Tak płynęły te rekruckie dnie — stawaliśmy się starymi rekrutami i poczęliśmy nabierać przekonania do naszego szefa. Coraz częściej pojawiał się uśmiech na jego marsowej twarzy — coraz rzadziej padała komenda: „Biegiem"!

Nadszedł dzień przysięgi. Z racji tego święta zrobiliśmy wspólną fotografję z szefem. Oblicze miał uśmiechnięte — może tylko do aparatu. W każdym razie podrzucaliśmy go do góry — wiwatowali. Od tej pory nie bałem się już szefa. Poznałem, że życzy nam dobrze: Wprawdzie nieraz jeszcze słyszało się na mustrze: „Te rączki — te nóżki" — ale jakoś inaczej brzmiały teraz te słowa, mniej groźnie i surowo.

Od czasu do czasu zjawiał się też lotnik i to zarówno na dworze, jak i na sali sypialnej. Na dworze trzeba było kryć się — na sali sypialnej „lotnik skrzydłem zahaczał o łóżko" — jak to mówił, w rezultacie czego musieliśmy łóżka słać.

Odbywały się też rozmowy w cztery oczy, w których jedna z dwu stron stała na baczność i nic nie mówiła, druga natomiast stała w postawie swobodnej i mówiła bardzo dużo.

Nie przeszkadzało to oczywiście, że wszyscy lubili „groźnego szefa".

Nauczyliśmy się podporządkować jego rozkazom, ochoczo i skwapliwie je wykonując.

Mam też wrażenie, że przy naszym odlocie — groźny szef rozczuli się i kto wie, czy łza nie zakręci się w oku — zarówno jemu, jak i nam.

Podch. Tadeusz Ważny.

OGŁOSZENIA

1. Zespół poszukuje piastunki do małego i grzecznego dziecka. Umiejętność karmienia wymagana. Zgłoszenia nadsyłać dla „Dzidka".

2. Który z monarchów sprzeda tanio, solidną, starszą koronę. Poważne zgłoszenia nadsyłać do Redakcji pod „Cysorz".

3. Poszukuję mocnych, zdrowych zębów. Gatunek tylko pierwszorzędny.

„Babula".

44. Poszukuję trenera piłki nożnej, któryby mnie wyuczył niezawodnego sposobu strzelania bramek..

Zgłoszenia pod „Pstrąg"

5. Kupię tanio używany, ale w dobrym stanie będący podręcznik dobrego tonu.

„Mykita"

6. Prowadzę wieczorny kurs „opylania" i „dekowania" się. Ceny niskie.

„Ludwik"

7. Tanio, szybko, sprawnie i dokładnie wyuczam gry w „brydża" systemem dziesięciopalcowym. Liczne listy pochwalne na żądanie gratis i franko.

„Fanatyk"

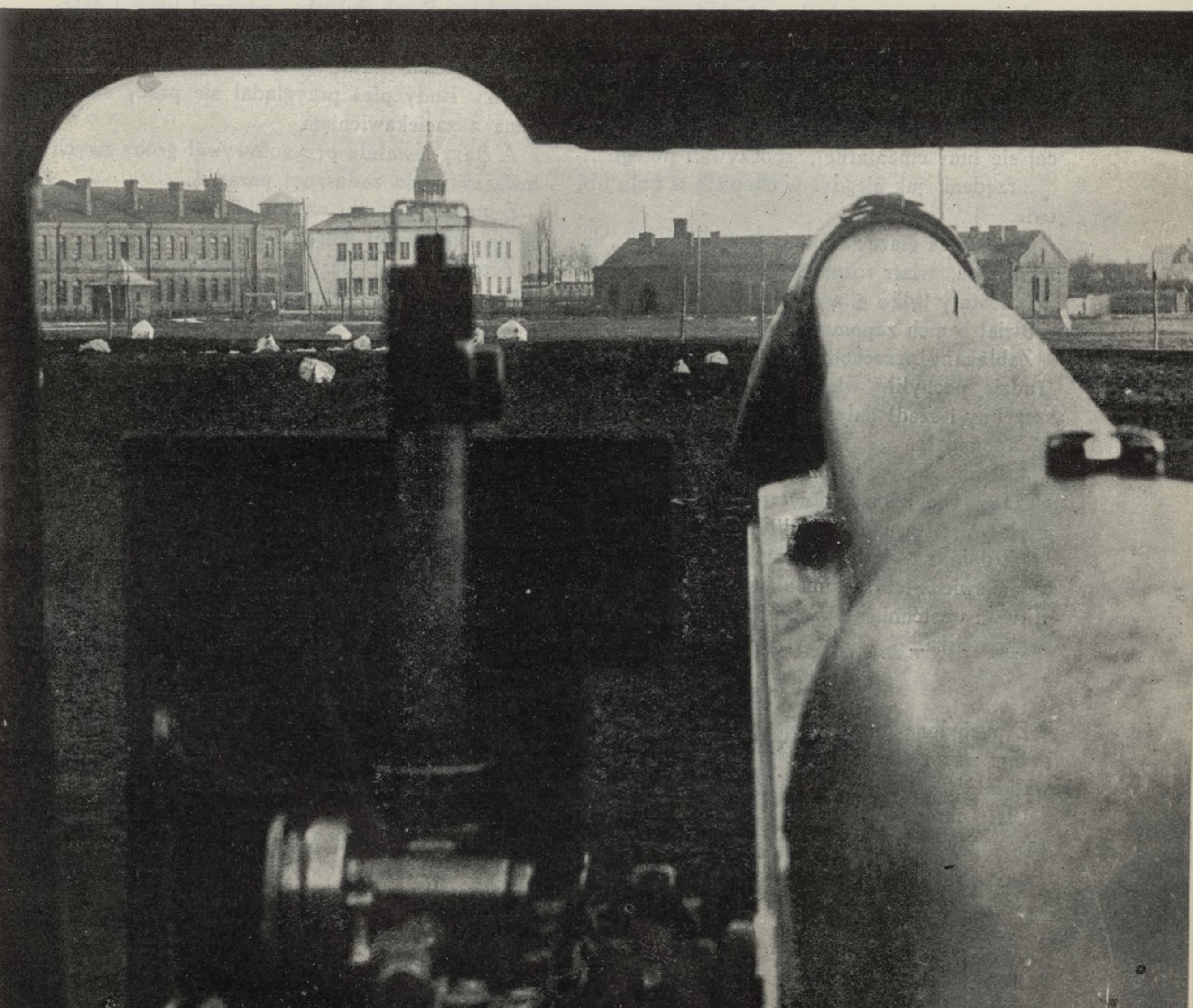
8. Która z pań, posiadająca własny sklep z wyrobami monopolu tytoniowego, nawiąże korespondencję z młodym, przystojnym bombardjerem, który wzamian za długie listy otrzymywałby papierosy.

„Boguś"

9. Polecam P. T. szeregowym z cenzusem i bez cenzusu mój najnowszy preparat z marką ochronną „Ciasna stopa". Wystarczy jednorazowe użycie, aby nawet najbrudniejsze nogi przybrały śnieżną biel. Wystrzegać się falsyfikatów. Cena pojedyńczego flakonu 2 złote.

„Mniszka"

Podchor. Tadeusz Ważny.





Jesienny wicher załomotał blachami na drewnianych krzyżach, poruszył zeschłem listowiem, zawył wśród mogił i ucichł...

...Groby zajarzyły się tysiącem świec. Na martwym zagonie pożółkłych garbów zajaśniały kwiaty...

...Wśród szeregu mogił snuły się skupione postacie.

...Ludzie raz jeden do roku szukali tu bliskich, znajomych.

— Zgrabiałemi rękami poprawiali osuwającą się ziemię i pochylone kwiaty...

— Pieścili każdą stwardniałą grudę ziemi...

W rogu cmentarza wśród gęstej krzewiny chował się rząd zmurszałych nagrobków...

Tu świec nikt nie palił... Proste z szarego kamienia ciosane krzyże obejmowały całą tę przestrzeń bolesnym uściskiem.

W śmiertelnem tem kolisku, w blaskach jarzącej się łuny cmentarnej, spoczywali polegli...

...rzędem, jak niegdyś w okopach w polu i bitwie.

Wyryte na głazach imiona wygryzł mróz, wymyła rosa, wiatr rozniósł po świecie.

...Zostały tylko głazy...

Świat o nich zapomniał.

Zabłąkany przechodzeń, czasem się tylko w trudzie pochylił, wlepiał wzrok w kamienne szczeliny i szedł dalej...

Zapominał...

Jesienny wicher najczęstszym był tu gościem. Naznosił liści z kasztanów o krwawem odcieniu, wysłał niemi bruzdy i otulił groby.

...Z dala, z głębi cmentarza dochodziło skwierczenie świec, trzask łamanych gałęzi, szept modlitwy i westchnienia. A tu... przerażająca martwota i cisza...



Z pochyloną głową wlókł się na cmentarz ze swoim napół ślepym przyjacielem psem — inwalida.

Ciało chroniły od mrozu łachmany. Pusty rękaw *marynarki* chybotał się za każdym powiewem wiatru. Zawieszone na piersiach medale dzwoniły żałosne Requiem...

Drewniane szczudła ryły się głęboko w rozdeptaną ziemię...

...Ludzie w pośpiechu go potrącali, muskali świerczynowem igliwiem wieńców i białemi kiściami chryzantem.

...Zagłębił się w długie, ciemne aleje cmentarne. Szedł wolno w kierunku opuszczonych mogił...

Zatrzymał się pośrodku martwej drożyny. Wsparł na najbliższym krzyżu i odetchnął.

Był sam... O nie! On był wśród swoich!

...W gorączkowym zapale począł porządkować mogiły... Rwał chwasty, odsuwał liście i gałęzie, podnosił pochylone krzyże.

Pot ściekał mu strugami po zsiwiałych skroniach. Rudy pies przyglądał się pracy swego pana z zaciekawieniem.

A stary inwalida przygotowywał groby swych towarzyszy do zadusznej parady...

Z podartej kurtki wyciągnął świecę, zatknął ją na najwyższej mogile i zapalił.

Zczerniałemi wargami począł odmawiać „Wieczne odpoczywanie"...

— Zaniósł się szlochem. On bohater z pod Szubina zląkł się swej samotności.

...I tu wśród towarzyszy broni, wypłakiwał swą żałość...

...Zginęli jego wierni druhowie. On jeden z pustym rękawem, bez stopy włóczył się po świecie. W dniu zmarłych — przywlókł się do swoich...

Między słowa modlitwy starego inwalidy poczęły się wplatać wspomnienia.

...Zdawało mu się, że ziemia zatrzęsła się od huku armat... W przestworzu zagrała pobudka — ...

— ...Jezus Marja! Wstają zmarli!

— Cicho spokojnie z mogił wstawali żołnierze...

Stawał jeden obok drugiego równo, prosto, długim szeregiem. Wprawnemi palcami sprawdzali broń...

Inwalidzie serce zabiło bojowem tętnem.

Poczuł jak pusty rękaw wypełnia się żywem ciałem, a serce uczuciem bohaterskiego porywu.

Gdy ponownie w powietrzu zadrgała pobudka, podniósł w górę lśniącą klingę szabli, opuścił, i przez mogiły i krzyże ruszył do szeregu.



Późno w noc, gdy na cmentarzu ostatnie dopaliły się świece, słychać było przeraźliwy skowyt psa...

A gdy świt obielił cmentarzysko wśród wojskowych mogił znaleziono inwalidę... Pusty rękaw zwisał ku ziemi. Jedyna ręka ściskała kurczowo drewniane szczudło. Na ustach zastygł uśmiech szczęścia...

Po kilku dniach w zacisznem ustroniu ludzie wznieśli nową mogiłę...

— Stary inwalida w Dzień Zaduszny stanął do apelu!!!

PIEŚŃ ZACHODZĄCEGO SŁOŃCA

Już pieśniarz nieba złożył swe dłonie promienne
Na harfie chmur rozpiętej w kopule błękitu
I bijąc struny bliżej leżące zenitu
Rozpoczął pieśń wieczoru. Jak marzenie senne.

Pieśń słodka, cicha płynie — złotą barwą lśniąca,
Dźwięczna blaskiem radości... Mistrz wnet tony zmienia
I melodję natęża kolorem płomienia.
Muzyk pełen natchnienia swoją ręką drżącą.

Trąca fiolety basów... Wtem ogniem purpury
Zatargał wszystkie struny. Pieśń potęgą dźwięczy
Aż nakoniec uderzył akordem barw tęczy
I znikł. Hymn trwa... Brzmią w nim kolorowe chóry.

Kona... Jeszcze z jeziora wrócił krasnem echem.
Przepadł. Słuchałem tej gry z zapartym oddechem.

podch. Ludwik Palicki.

Włodzimierz piękne miasto

Obrady komisji budżetowej skończone. Preliminarz fatalny — w kieszeni mam 2 zł. 50 gr., a drodzy wojskowi dłużnicy — już jutro, zapewniali, zwrócą.

Poprzedni tydzień przeszedł pod znakiem żałoby. Zmarła Margita. Margita, to nie dziewica żadna — to jedna z najstarszych, lecz pięknych klaczy. Zmarła na posterunku — ćwiczeniach garnizonowych. „Sprawca" — aczkolwiek mało był winien, opłakiwał gorąco tę stratę. Pienia żałobne w wykonaniu lekarzy weterynarji nie przebrzmiały jeszcze nad mogiłą „Margity", kiedy ponuro i słotnie zaczął się nowy tydzień. Okazało się z miejsca, że karabin, nie moja wina, zardzewiał, bo z wrodzonego wstrętu do waseliny i roztargnienia nie swój nawaselinowałem, tak szpetnie *podpadłszy*, siłą rzeczy brnąć musiałem w feralny nowy tydzień.

Za koszarami — bujne, zbałwanione morze błota, a na niem korsarze buńczuczni, to znaczy — my uczniowie. Jakoże podmuch niezgorszy no i wzmożone oczywiście działanie lotnika, więc raz po razu zapoznają się nosy nasze z płynną masą, która stanowiła ongiś w letnich miesiącach nawierzchnię naszej ujeżdżalni. Za chwilę odchodzi tamże b. z. (baterja zaprzężona), bez koni narazie, uprząż — to pasy,



chasamy tak po parku artyleryjskim, zaiste piękny park — błoto i sadzawki brudnej zamulonej wody.

Wracamy troszkę pomieszkać do koszar. Wzywają mnie, — mam paczkę (świat jest piękny) i pieniądze (i mówią, że źle jest w wojsku) ach prawda wszak (co za miłe słowo) to moje urodziny, skończyłem wiosen dziewiętnaście. Już lecę do kancelarji, aż tu pieszczotliwe nawoływanie, „a wy lumpy szkaradne, aniołki kosmate, jeszczeście nie są na zbiórce do kina". No i masz babo placek, własnych rodzonych urodzin obchodzić nie możesz, bo na ochotnika do kina iść musisz, na „Paradę rezerwistów". Niebosiężne drapacze chmur włodzimierskie, ryk syren i gładki asfalt, to wrażenia z drogi do kina — świątyni 10-tej muzy, — a tam jupitery, muzyka. Jak się bawić to się bawić. Co 10 minut przerwa, aby zgłębić można było fabułę filmu.

Wróciłem, no i cóż temu winien jestem, że godzinę po wszystkich. Tłumaczę się, zgubiłem oddział, „no to siadajcie sobie" prosi pan szef, „czekałem tak długo — zmarzłem i nikt mnie sieroty nie zawołał". „No to zagrzejcie się, 10 razy dookoła budynku biarsz". „Panie szefie melduję, że to moje urodziny dzisiaj". „Wszystkiego najlepszego — 20 razy dookoła biarsz". Byłbym tak do capstrzyka chyba bez zatrzymania biegał, gdyby nie to, że właśnie spotkałem kolegę, do którego właśnie ważny interes miałem. Szef wyszedł z za węgła i zlitował się, głos mu zadrgał dziwnie, ze wzruszenia pewnie i przyrzekł solennie, że pójdę sobie na tydzień *posiedzieć* — no odpocznę przynajmniej. I wszystko byłoby piękne, gdyby nie wtorek — djabli go nadali, trzeba mieć przecie nielada zasługę, by na tydzień cały nominację na sprzątającego otrzymać, i to za to tylko, że kiedy prawą stronę chciałem sprzątać, wymiotłem śmiecie na lewą, nie zauważyłem, że mój niewdzięczny towarzysz taką samą urządził sobie przyjemność. Nie moja też jest wina, że jako zamiłowany turysta, stale mam *Karpaty* na łóżku.

Obciąłem się w środę z działoczynów, bo doprawdy nie wiedziałem gdzie na celowniku znajduje się okienko z okiennicą na klucz do korka śrubowego otworu spustowego zawory sprzęgła tłoczyska oporopowrotnika. Pomyliłem zapewne z kątomierzem, bo pan porucznik powiedział, że zmniejszy mi na 3, a to wszystko dlatego, że wczoraj zamiast siedzieć w koszarach i uczyć się poszedłem do teatru wołyńskiego na „Powrót mamy", bo i cóż temu winien jestem znowu, że ja tak bardzo chcę do mamy. Topografja poszła mi prawie wyśmienicie, pomyliłem tylko tryg. wschodni z zachodnim, odrobinę 500 m., przecież gorzej byłoby, gdybym zamienił Marcelówkę z Kalinówką (co za zbrodnia).

Szczerze uradowała mnie wieść, że zjechała do szkoły rewja — rzekomo artyści scen lwowskich. Zapowiedziałem kolegom, że to moi znajomi zapewne. Sala była nabita, dowcipy subtelne i *echt?**) aryjskie, zespół liczny i reprezentatywny. Szczególną uwagę zwróciłem na uzębienie. On — dyrektor, inspicjent, sufler, artysta, dekorator, conferencier, kochanek i ciemny typ w jednej postaci, miał wyraźnie oksydowane siekacze, a jego koleżanka o nieprzyzwoicie do mnie podobnem nazwisku pościerane miała wszystkie rejestry. Mój sąsiad rzewnie gwizdał, program był urozmaicony zaiste, a zgranie z publicznością niesłychane, co dowcip — to grupa ludzi opuszczała widownię. Wieczorem koledzy szczerze gratulowali mi tak wyśmienitych znajomych.

Grunt jednak, że karnawał w pełni. Piękne panie i wytworni panowie szaleją w takt jazzu, szampan tryska kaskadami, poszedłem i ja na zabawę towarzystwa św. Zyty w Włodzimierzu. Jazz był urozmaicony; bas, trąba strażacka, drumla, flet i fisharmonja oto wyborowy kwintet. O tyle do wielkomiejskiego podobny, że też nie aryjski. Moja danserka przepiękną miała, lila w czerwone groszki, suknię. Właśnie



mal. pchor. M. Welzandt



kiedy trząsłem nią w takt jakiegoś włodzimierskiego slow-foxa — weszła „władza", musiałem się zameldować i ją niebogą t. zn. lelilę włodzimierską na środku sali zostawiłem. Kiedy wróciłem tańczyła w objęciach rozanielonego, rosłego bombardjera i rzuciła mi pełną wzgardy obelgę: „ubolewam, ale pan jest już niekompetentny". Na takie dictum pozostało mi jeno odprzodkować wtył i zacząć odwrót. Siadam tedy w dorożkę i powiadam do zaspanego w liberji woźnicy, jedź pan jak szatan"; „nu ja już wim jak panowie podchorążacy jeżdżą". Zaciął biczyskiem — rumaki ruszyły, a wóz stoi. Nie zaprzągł łajza koni. Krzyknął, wróciły potulnie niczem baranki. Ruszyliśmy. Pytam, panie mistrzu, a ile lat mają te chabety, „nu panie podchorąży dopiro co 5 skończyli". Łgał bestja, przysiągłbym, że powstanie styczniowe pamiętają.

W bramie koszar pan ogniomistrz powiedział „żebym poszedł gdzie pieprz rośnie, dopiero wtedy połapałem się, że żegnając się z rozmownym woźnicą czapkę w dorożce zostawiłem.

Wczoraj znowu bez grosza zostałem. Kolega ze łzami w oczach pożyczył i zapewniając, że grozi mu wyrzucenie ze szkoły, o ile stałej linji przezierania nie odkupi. Oczywiście pożyczyłem mu, zwłaszcza że przyrzekł zołza jedna, że jak ja np. dziurę w azymucie zrobię, to on napewno mi wówczas zwróci. No—ale nie jestem już sprzątający w działonie tylko znów za karę przez tydzień na sali wykładowej, bo czy moja w tem wina, że właśnie kiedy po capstrzyku (spocę się nim to słowo prawidłowo wymówię) robiliśmy zajazd na działonowego, by dać chłopcu koca — zjawiła się inspekcja. Tydzień jednak zakończył się pomyślnie, pan szef zapytał mnie, czy ja „aby jeno" za czystych butów nie mam. Taki zaszczyt spotkał mnie w wojsku poraz pierwszy; nie, no chyba za czyste one nie są.

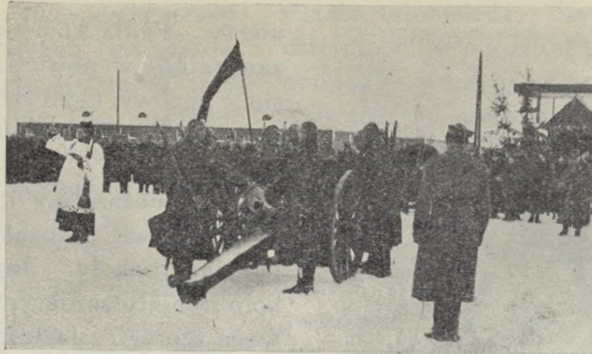
Horoskopy na przyszłość wyborne, nad czarnem błotem „kochanego" placu ćwiczeń zwisają zwiastuny nowej ery w S.P.R.A. — wspaniałe megafony. Oj, zagrają nam teraz maluczkim zagrają.

Z miasta rodzinnego piszą „Nasz złoty bohaterze" — (cóż to za szarża znowu — złoty bohater).

I kto tu ośmieli się twierdzić, że życie nasze w Włodzimierzu mało jest urozmaicone.

pchor. *Lerski Jerzy.*





JESTEŚMY ŻOŁNIERZAMI

Cudna jesień przywarła w wołyńskich wąwozach. Ciepły wiatr ścierał kurze ze wzgórz, co jak garby, pokrzywione i pogięte zasłaniały horyzont. Kończył się wrzesień, upływały ostatnie jego godziny. Włodzimierz, typowa, wołyńska mieścina, był poruszony. Panował w nim gwar i ruch. Pędziły galopem po wyboistym bruku dorożki, wiozące rozweselonych młodzieńców i stosy sterczących ku górze walizek. Śpiew mieszał się z trzaskiem bicza. Przyjechali z najdalszych zakątków kraju uczniowie do Szkoły Podchorążych Rezerwy Artylerji, która jak kresowa stanica, tu, na wołyńskich rubieżach, młode pokolenie do wojennego rzemiosła zaprawiała.

Zamknęły się bramy. Pod ostrzem nożyc padły długie włosy. Zaczęła się żołnierska służba. Okres rekrucki... Szary mundur przykrył różnice wieku i wykształcenia. Wszyscy zostali zrównani w obliczu obowiązku, który spełnić mieli. Cywilne temperamenty i przywary powoli zostały ujęte w żelazne karby dyscypliny. Z „cywila" powstawał nowy człowiek — żołnierz. Zwiotczałe mięśnie poczęły prężnąć, na bladych twarzach zjawił się rumieniec zdrowia. Inni ludzie...

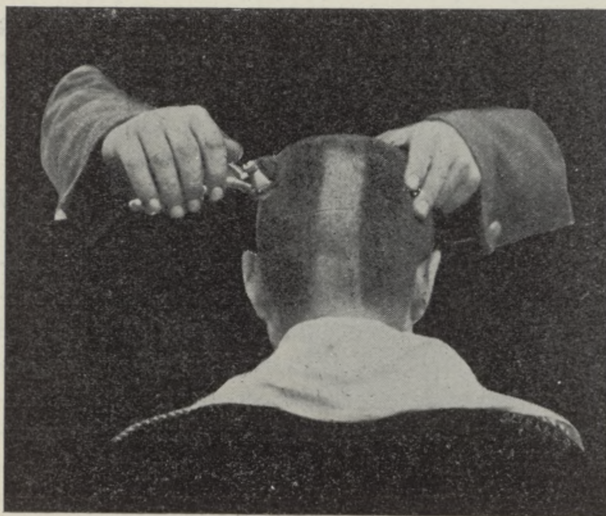
Niktby ich nie poznał kilka tygodni później, w pędzących rojem przez zorane pole jeźdźcach. Codzienny świt był towarzyszem ich zapraw bojowych. Oglądał jak toczyli działa, poznawali jego części, czyścili konie, mierzyli rozległe perspektywy terenu, jak zwartym szykiem przemierzali wielki szkolny podwórzec. Wieczorem, gdy na niebo z za skłębionych chmur stoczył się jasny księżyc, przez koszarowe okna dobywał się śpiew. Humor beztroski wibrował w powietrzu, biegł od budynku do budynku, błąkał się po maneżu i ginął w dali... urywał się...

Dzień dobiegał końca. W czystem wieczornem powietrzu płynęły cicho słowa żołnierskiej modlitwy za poległych towarzyszy. Z wyciągniętych żołnierskich szeregów dobywał się potężny śpiew pobożnej pieśni. Potem tupot nóg i gwar. Zgasły światła, zapanowała cisza. I tak upływał dzień po dniu, szybko, niedostrzegalnie, przy zajęciach kształtujących sprawność fizyczną i charakter uczniów. Z olbrzymiego skupiska najrozmaitszych typów i charakterów tworzyły się powoli karne kadry przyszłych oficerów. Obok systematycznej żołnierskiej pracy płynęła żwawym nurtem praca społeczna w silnie rozbudowanej organizacji K.K. O. Tu każdy z uczniów pielęgnował swoje cywilne zdolności, obracając je na korzyść Szkoły i jej otoczenia. Liczne sekcje otwierały szerokie perspektywy pracy dla artystów, muzyków, działaczy oświatowych, techników i t. p. W ten sposób Szkoła dokumentowała i dokumentuje, że chce Polsce wychować nietylko dobrych żołnierzy, ale i dobrych obywateli. Skończył się okres rekrucki, a z nim i piękna jesień. Listopadowy wiatr ściął lekko rozmokłą ziemię, zamieniając ją w stwardniałą grudę. Spadł pierwszy śnieg. Nadszedł 23 listopad. Z za budynku wypełzł cicho mrok. Gdzieś w dali rozległ się odgłos pogrzebowego marsza. W kierunku placu ćwiczeń otulone mgłą sunęły postacie w długich rozpiętych płaszczach. Pogrzeb rekruta. Uczniowie Szkoły dzień obchodzili z uroczystością uświęconą tradycją. Z rozrzuconego po placu tłumu rekrutów uformował się pochód. Na czele jego niesiono olbrzymią kukłę, wyobrażającą kończącego swój żywot rekruta. Nad rozbawionym tłumem powiewały przymocowane do mioteł plakaty oraz wielkie pogrzebowe płachty. Co chwilę zrywały się okrzy-



ki: „Niech żyje groch, precz z kaszą, żądamy więcej repety, a mniej repetycji". Koło konduktu błąkał się niezaradny oferma z szablą na plecach i jednym butem pod pachą. Za nim w bieliźnie, tabetycznym krokiem posuwał się pacjent izby chorych. Kukłę z paradą obnoszono po placu, wreszcie wśród śmiechu spalono ją na stosie. Orszak przed odnowionym aresztem szkolnym złożył słomiany wieniec. Tak zakończył się pogrzeb rekruta.

Drugiego dnia na placu pokrytym śniegiem wzniesiono polowy ołtarz. Wytoczono działa i ustawiono je przed karnie uformowanemi szeregami. Na twarzach malowało się skupienie i blask majestatu, który zsyłała Rzeczpospolita, na ślubujących Jej wierność żołnierzy. Padła komenda: Stalowe pióra szabel zamigotały w powietrzu i z chrzęstem zapadły się w pochwy. Odkryte głowy podniosły się dumnie w górę. Przysięgamy... — dobyło się z tysiąca piersi.



— „Jesteśmy już prawdziwymi żołnierzami" — przemówił ukochany przez wszystkich Komendant Szkoły. Jego bystre oczy zatoczyły koło i objęły serdecznym spojrzeniem wyprostowane szeregi. Jesteśmy już żołnierzami, mówiły twarze skupione, z których bił blask jakiejś podniosłej misji.

Po przysiędze żołnierskiej odbyły się w poszczególnych dywizjonach obiady żołnierskie, które przemieniły się w rewje żołnierskiego humoru i dowcipu. Upłynęło znowu parę dni... Nadszedł dzień 29 listopada — Święto Podchorążych. O zmroku w świetle pochodni wyruszyła szkoła do miasta. Dzwoniły ostrogi po bruku, koła armat wybijały zrywane takty po wybojach. Za dobytemi szablami stanęły równe szeregi przed kościołem farnym, w bramie którego mieści się pamiątkowa tablica. Przeglądu oddziałów, a zarazem i garnizonu włodzimierskiego dokonał Komendant Szkoły. Zwarte kolumny udały się przed grób Nieznanego Żołnierza. Z szarego kamienia ciosaną płytę objął konarami silnie wrosły w ziemię dąb. Trzyma nad nią wiecznie straż... a w ten listopadowy wieczór strącał lekko na nią mieniące się barwą bursztynu liście. Dąb samotnik stroił w laury mogiłę żołnierza... Zawieszone flagi, wiatr jak żagle napinał. Zapłonęły znicze, rzucając blaski na twarze wart dwóch epok. Przy dźwiękach marsza Szopena odbył się apel poległych, po nim symboliczne przekazanie służb. Zagrały fanfary. Powietrze zadrgało od huku armatnich salw honorowych. Defiladą zakończono listopadową rocznicę. Drugiego dnia w świetlicy Szkoły odbyła się akademja, na którą złożyły się poprzedzone słowem wstępnym fragmenty z „Kordjana", „Nieboskiej Komedji" i „Wyzwolenia". Na specjalne życzenie włodzimierskiej publiczności, szkoła akademję tę musiała powtórzyć dla ludności cywilnej.

Upłynął już pierwszy okres służby. Zaczyna się okres drugi. W życiu młodego artyleryjskiego pokolenia zamknęła się już jedna księga i można już dziś powiedzieć, że szkoła przygotowała jedno więcej pokolenie do szczytnej służby żołnierskiej. Lecz trzeba też powiedzieć, że to pokolenie wychowanych przez nią żołnierzy, jest zarazem pokoleniem obywateli przejętych miłością do kraju i zdolne do wszystkich poświęceń na rzecz umiłowanego Narodu. Tego przecież, obok wiedzy artyleryjskiej uczy szkoła.

Na białym śniegu biegną wdal ślady armat. Słychać regularny chód zwartych oddziałów. Błyszczą się w słońcu przypięte do czapek orły. Chylą się przy armatach grzbiety, ręce sprawnie chwytają pociski. Rozlega się donośny głos instruktorów. Między pracującymi żołnierzami widać sylwetki przełożonych. Śledzą uważnie tok pracy.

Szkoła dzień w dzień od świtu do szarego mroku pracuje na chwałę Polski.

podch. Wacław Keller

JA CHCĘ DO MAMY

Czy humor nasz, to tylko perypetje pobudkowo-apelowo-raportowe, czy wyłącznie wałkowanie szarzyzny dnia codziennego! Są przecież rzeczy o wiele bardziej interesujące, np. liczenie dni — godzin, minut do urlopu. „Zakochani" i inne oddziałowe „mołdachy" recytują napamięć kalendarz.

Przeciętny, koniecznie wedle wymogów dwudziestowiekowej publicystyki „szary" człeczyna liczy... za 58 dni, za 57, 56, 50, 20, 10, 5, 2 dni urlop. Wczoraj dnia 20 lutego zbiegały się aż 3 jubileusze, a więc parę miesięcy służby wojskowej, połowa do wielkanocnego urlopu. 2/3 do poligonu. Zbyszek spędził to święto w pace, ja pod karabinem na stójce. Z rozrzewnieniem wspominam te chwile, kiedy w przeddzień urlopu po nominacji na bombardjerów zapłonęła na placu ćwiczeń choinka żołnierska, słowa uznania dla pracy naszej, wypowiedziane przez p. Pułkownika nagrodą nam będą za znoje rekruckich dni. A potem ostatni dzień, i choć bardzo do pana kapitana „Wojtusia" jesteśmy przywiązani, topografję niezmiernie szanujemy, to myśli nasze są już dużo dalej. Nadeszło wreszcie gwałtowne pakowanie, ukrywane w walizach resztki cywilnego bałaganu pogniecione zostały bezładnym stosem przeróżnych rzeczy. Lakowanie szafek. Wilno już odjeżdża — za chwilę my, Lwów. Dobrze jest, z tej całej bombardjerskiej chmary wyłaniają się poczciwe, a jakże stare lwowskie gęby. Mietek z Gródka wita mnie stentorowym głosem, „to ja ci bracie do mamy dzisiaj hulam, w cynadry gibam cały wojskowy bałak. Kryj pazury Warszawiak zatracony — daj ci Boży szczęścia".

„Jeno nie myślcie sobie, żeście już na urlopie" — słychać z za węgła, jak zwykle, tenor szefa. „Dookoła bloku z walizami marsz". „Czołem chłopcy"—„czołem panie szefie",— brzmi zawadjacka odpowiedź. Szef, „mama bateryjna", ostatnie daje przestrogi, by mu „który aby nie podpadł", pozdrowić każe dawnych swych wychowanków, dobrych świąt życząc, wyprawia nas za bramę koszar. Po dziesięciu, dwudziestu w jednej dorożce jedziemy radośnie, cała wiara uśmiecha się do żydków i rosjan spotykanych, do dziewic przydrożnych i jedynego chyba w świecie włodzimierskiego błota. Jedziemy świadomi, że mundur nasz to symbol prawdziwej młodości, do której kiedyś wspomnieniami tylko wracać będziemy. Urlop po paromiesięcznej rzetelnej pracy to wielka — olbrzymia przyjemność.

W pociągu pełno, gwar niespotykany. Niczem śledzie w beczce siedzimy.

Już wiem co robić w domu, w kostkę wszystko poskładam, nie porozrzucam po całym pokoju, kośbę zrobię jakiej świat nie widział, a potem rano „raport", najdroższej swojej opowiem o powabie haubicy setki, czy namiętnem pięknie prowosławnej armaty, a potem o szarżach jaszczy na zamki śrubowe i mimośrodowe nieprzyjacielskie i o tej ciekawej niezmiernie grze trybów, kiedy rolka kurka na oporę pochwy iglicy nabierając, przesuwa nakrętkę przy równoczesnem podciągnięciu, a potem opuszczeniu iglicy. Ona to chyba (nie o iglicę idzie) najlepiej zrozumie, dlaczego na stole strzelniczym miast pociskami, widłami się strzela i ponadto zrozumie także, że wcinając sposobem Bessela, otrzymuje się węzeł płaski przez ujeżdżalnię poprowadzony. Powiem jej też o bohaterskich moich wyczynach.

Urlop minął jak z bicza trzasł. Mimo, że nikogo widokiem swym nie podbiłem, było mi nadzwyczaj dobrze, mój braciszek, który spał zresztą z szablą moją (militarysta zapalony), uważał mnie za narodowego herosa, nawet żandarmerja skromną moją osobą się zajęła, w noc sylwestrową bez legitymacji mnie znalazłszy, na Komendę miasta odprowadziła, gdzie noc przełomową w ciszy ducha spędziłem.

I znów poniósł mnie „lux — torpeda" do Włodzimierza.

Żegnany przez rodziców i grono cywilnych kolegów, wróciłem do życia wojskowego. Koszary powitały mnie widokiem psów „Spraskich", błąkających się po pustym placu ćwiczeń. I znowu mijały dni przykre i wesołe, i znowu list za listem do domu idzie. Dni znowu liczę i godziny i znowu bardzo, jak nigdy przed służbą wojskową, bardzo chcę do domu, nie wstydzę się tego, bo mój trzydziestoletni kamrat zdradził się, że i jemu tęskno i on też do swoich się garnie. Jeszcze 48 dni.

Pchor. Lerski Jerzy

LISTY...

Stoisz i słuchasz suchych wersetów „rozkazu"; ten wyznaczony do takiej funkcji, — ów uda się tam a tam. Nudzi cię to trochę, patrzysz w zieleń ulicy za oknami...

Ale już koniec. Podrywasz się żywiej — bo wiesz, że to teraz...

...Zaczyna się długa litanja nazwisk; to głupie uczucie tęsknoty cię ogarnia. Patrzysz — przyznaj się — trochę z zazdrością na szczęśliwców z dwoma, trzema listami. — „On już taki — "pisak"; nic dziwnego, że i jemu...

— Ale cię tęsknota dusi, i zwiększa się im bardziej maleje paczka listów o nieodczytanych adresach w ręku szefa. —

I wreszcie — jest. Pada twoje nazwisko — stajesz w szeregu — a w przypływie radości zdaje ci się świat strasznie miły i ciekawy; nawet szef, rozdający w tej chwili listy twoim poprzednikom w szeregu szczęśliwców — wydaje ci się jakimś dobrym duchem z bajek Andersena, a nie surową i nastraszoną możliwością *każdochwilowego* „raportu" osobą.



„duchem z bajek Andersena"

Ale masz go już w ręce. Pierwsza rzecz — nadawca; wiesz dobrze od kogo — znasz przecież doskonale to drobne, biegnące do ciebie utęsknionym szlakiem pismo, ale chcesz odczytać już teraz, w szeregu, choćby, nazwisko — do twych wiecznie żywych wspomnień przywiązane...

...Czyta go się prędko, jednym tchem. Uśmiecha się, czasem smuci, zawsze drży wewnętrznie tem głupiem, sztubackiem wzruszeniem, jakże jednakowem, choćbyś wiele, czy mało „przeżył"... Potem się myśli, myśli tak oderwanie od rzeczywistości. Idąc w długim, rozdzwonionym aluminjowemi kubkami szeregu, — ciągle masz jeszcze przed oczami to drobne pismo.

...Jest w białej, kwadratowej szacie; rządek energicznych liter, zapracowaną ręką rzuconych... To list „z domu". — Przynosi ci wiecznie żywe i wiecznie jednakowe uczucia twych najbliższych, najlepszych w życiu... Przynosi ci te same — jak za lat twych dziecinnych — te same uwagi — „nie przezięb się", „bądź uważny", „pilnuj się"... dla nich dla twych najbliższych, jesteś przecież zawsze tym małym, czasem tylko „grzecznym", często nieuważnym drogim urwisem. Ale i w twojem oku, dojrzałego mężczyzny, łza wzruszenia stanie, gdy czytasz list z kwadratowej białej koperty...

...Jest czasem od przyjaciół twej młodości; od tych, z którymi niejedną złotą myśl z młodzieńczym zapałem płonących serc wysnułeś, — często naiwną, zawsze w swojem nieskalaniu brudem życia czystością lśniącą... Wspominają ci oni na wspólne marzenia i zamiary, proszą byś w chwilach nawet smutnych i twardych — nie ugiął się, przeciwnie, wrócił tem hartowniejszy, — byś znalazł siły do żywszej pracy...

— A potem... Potem składasz je wszystkie w jednym specjalnym kąciku walizy — i czasem, w niedzielę, bawisz się ich słów szelestem, lub wpatrujesz się długo w jakieś zdania jedynemi dłońmi pisane...

X. X.



Requiescat „IN PACE"

Jak co roku, tak i w 1935/36 czekaliśmy, niebożęta, na tę chwilę bardzo długo. Aż nareszcie. Nareszcie będzie się już nie zamazanym rekrutem, łajzą i ofermą, ale żołnierzem zaprzysiężonym. Cieszono się, zapominając, że od jutra, zamiast nosić wodę, będzie się siadywało za kratkami i że raporty wiele stracą z dotychczasowych łagodnych wymiarów kary. Ale wesołość jest cechą młodości. Taki np. młodzian w S.P.R.A. potrafi zjeść z uśmiechem na ustach t. zw. nie wiem dlaczego, bigos, na którego senną woń spłoszyłby się przeciętnie głodny wilk. W obiad zaś pogwarza z uciechą:

— Ty Stasiek... poznajesz?

— Tak, łykawe coś, ale znajome... sarnina psiakrew.

— Tak, bo „Sarna" źle się biedactwo czuła ostatnio.

I wszystko to mówi się z tak promiennym uśmiechem, jakby człek spotkał dłużnika, który chce mu oddać zapomniane 2 zł. 50 gr. Po takim też obiedzie w dniu 23 listopada odbył się pogrzeb rekruta. Znienawidzonego, przeklinanego i wogóle... szkoda słów. Łapano, co kto mógł. Jakieś dekoracyjki, transparenty, kombinowane ad hoc. I kto żyw — na plac ćwiczeń. A tam już sterczy rekrut — chochoł słomiany, olbrzymi, śmieszny, napiętnowany młodzieńczo pomysłowem szyderstwem. Ha, wybiła radosna godzina. Złażą się pobratymcy, przedstawiciele i reprezentanci. Jedni wystawiają poczet „deków", inni (szef Szypuliński — wspaniały instruktor obrony p-lot) niesie samolot. Asysta: jakaś konna zgraja (biedne konie, widać było, jak im się uginają nogi w butach z cholewami).

Wszędzie transparenty, czarne chorągwie i pienista, sztuczna wesołość. Tu jakaś grupa, zapomniawszy snać o obiadowych perypetjach domaga się wrzaskliwie repet, a żąda nieustępliwie „mniej repetycyj".

Wyłażą oczywiście, jak szydło z worka różne szkolne dolegliwości. A więc markieranci, w zupełnie słusznem mniemaniu, że nie masz miejsca dla dekowania się na izbę chorych, zawodzą prośby o większą ilość łóżek w tej pożytecznej instytucji, a vox populi manifestuje przy wspaniale wykonanym transparencie w kształcie pewnej części garderoby swą niechęć do układania na noc kostek. Rzeczywiście okrucieństwo. Przecie to może spowodować u artylerzystów zanik... szlachetniejszych uczuć wskutek miejscowych zaziębień. Tak też przy tej grupie, która wielkim głosem woła: „Żądamy spania w..." zbiera się lwia część uczestników uroczystości. Formuje się pochód i rusza wokół szkoły. Przez chwilę zatrzymuje się przy „44". A więc tu od jutra będą sobie wyznaczać rendez-vous wszystkie „asy" i inne „łajzostwo".

Wzruszenie, ktoś tam usiłuje przemówić, ale na szczęście mu przeszkodzono. Zapalają się sztuczne ognie. Jeden z pp. oficerów, uważając snać, że za wesoło tu jest, jak na obrzęd pogrzebowy, aplikuje „żałobnikom" sporą dawkę gazu łzawiącego. Bractwo wieje, aż się kurzy. Wreszcie punkt kulminacyjny — spalenie rekruta. Jest kaznodzieja w pierwszorzędnej nocnej koszuli, ale mowy nie będzie — jakiś krzyk radości wydziera się ze wszystkich piersi.

Czego się drzesz? — pytam jednego takiego. „Wesoło" — odpowiada, i drze się dalej. Uderzony słusznością tego spostrzeżenia, poczynam i ja się radować. Zginął Rekrut. Patrzę z uciechą, jak się spala, jak śmiesznie wykrzywiają się w ogniu jego słomiane człony. A wieczorem lał się trunek strumieniami. Od soku wiśniowego do rumu włącznie. Piliśmy jak... z cebra. Ha, raz w życiu ginie Rekrut, a wspaniały rodzi się żołnierz.

Pdchor. W. Kobryk





WSPOMNIENIE Z URLOPU

...Na ziemię, którą luta zima skuła kajdanami mrozu, spływają cicho i jednostajnie srebrzyste gwiazdki śniegu i tkają puszysty dywan. Ulice małego miasteczka zwolna pustoszeją; każdy śpieszy, by w gronie rodziny zapomnieć o wszelkich troskach i kłopotach i być — choć chwilę — szczęśliwym.

Wśród czarnego bloku domów wyróżnia się jasna plama okna; światełko, przebijające z trudem mrok wieczoru, igra z lecącemi płatkami śniegu, miga i skrzy się, tworząc wyraźny kontrast z ponurem otoczeniem, lecz dalej trwożliwie tylko muska nierówności terenu, gubiąc się wkońcu w aksamicie nocy. Zajrzyjmy jednak na chwilę dyskretnie do środka.



Złote koła płomieni różnokolorowych świeczek wypełniają powodzią światła mały, zaciszny pokoik. Zielona jodełka, wtulona wstydliwie w kąt, roztacza wokół wdzięki anielskich włosów, błyskotliwych baniek, tęczowych łańcuchów, oraz licznych zgrabniutkich dzieł małych rączek. Pod choinką niezbędne uzupełnienie: On i Ona. On w eleganckim mundurze, ze zbyt szeroką może, błyszczącą belką „bombardjera" na ramieniu, ona w skromnym stroju, uwydatniającym jej smukłe kształty.

Prędko jednak przyzwyczailiśmy się do tego trybu życia. Zmieniła się nietylko nasza powierzchowność, ale i duch nasz zmienił się gruntownie, nabierając coraz więcej cech żołnierskich. Jakże i przyjemnie było nieraz, gdy wiara, maszerując do miasta, huknęła zgodnym chórem:

Bo artylerja — bo artylerja
To młodych dziewcząt błogie sny
Gdy przez ulicę idzie baterja
Każde dziewczęce serce drży...

Miarowy werbel ciężkich, podkutych buciarów wybijał takt znanej piosenki. Długie, zakrzywione szabliska i nowiutkie ostrogi siały oślepiające błyski. Miny dumne, jak cesarza Abisynji, wyjeżdżającego na front. A wśród mieszkańców Włodzimierza, zamarłych w podziwie bez ruchu, szedł cichy szmer: „To ciężka... to ciężka..."

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Świeczki się palą cicho na choince...

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Nieraz jednak było mi, Maleńka, tak tęskno — tak tęskno. — Często, gdy w przecudny poranek wyjeżdżaliśmy konno w teren, myślałem o Tobie. A gdy z rzewnością przypomniałem sobie, jak opisywałaś mi w liście Twe konne wakacyjne wycieczki, gdy to, pędząc na spienionym rumaku po cudnej leśnej drodze... — „Cóż to paskudztwo — zasnęło na koniu? O — dała się we znaki niedzielna przepustka. Zapomniało się już, jak się siedzi na koniu? Łydeczka do tyłu, nereczka do przodu"...

Słowa te, działające jak zimny tusz, przywra-

cały mnie z krainy marzeń do twardej rzeczywistości. A takich momentów było bardzo dużo. Nieraz — pamiętam — w dniach służby stajennej maszerowaliśmy nad ranem do naszych „ognistych“ rumaków. Po ciemno granatowem przestworzu, nabijanem srebrnemi ćwiekami, przesuwał się zwolna i nieustannie niebieski myśliwy — Orjon — a znużonego długą wędrówką witała radośnie zaróżowiona od snu Jutrzenka, wznosząca się powoli z pod śnieżno-białej kołderki barankowych chmur i przecierająca urodne oczy złocistemi rękawami, utkanemi z promieni słonecznych. Każdy z nas, rozmarzony tak pamiętną chwilą, niechętnie wchodził do stajni; napoiwszy wiernego konika i nasypawszy mu owsa do żłobu, oparł głowę na jego szyi, wtulając twarz w ciemną, gęstą grzywę i marzył.... że gdzieś — hen — daleko... w małem łóżeczku ktoś śpi — i marzy — i uśmiecha się przez sen... „Baczność... Przed stajnią — biegiem — zbiórrka...“

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Świeczki się palą cicho na choince...

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Lecz spełniły się marzenia i po długich chwilach tęsknoty znów jesteśmy razem — razem.

Ktoś szarpie mię niecierpliwie za rękę: „Wstawaj — pobudka.“ Budzę się. Ani śladu pokoju, choinki... „Przygotowanie do umywalni!...“

Więc to sen? Tylko — sen?

Podch. Kisielewski Zygmunt



A R M A T A

Barwił się wschód czerwienią ogni i pożogi,
długo stygła na szalach jutra krew zwycięstwa.
Pluły granaty w niebo.
Było zimno i mglisto.
Wiatr
łkał, jeszcze sino w gałęziach jedliny
i dął jak w żagiel w pierzastą chmur chustę.
. . . .
Konie szły długo wyciągniętym kłusem...
...biły kopytami w pobladłe kamienie...
...pęd proporczykom podał swe namiętne usta
Szybko zwijała się droga w zlęknionej
przestrzeni.
. . . .
W tyraljery poszli...
tępy bagnet wyślizgnął się z pochwy i utkwił
na lufie...
Przestrzeń była zagadką w swej śmiertelnej
jaźni
i ściekała purpurą pomiędzy skibami...
Huk...
i dym...
...piersi złomem rozdarte.
Głodne ciał paszcze czernią w kierunku...
wyraźnie
Rzygną za chwilę z nieba prosto granatami,
a jutro...
nową śmiercią napełnią się jaszcze.
. . . .
Jak dawniej..
głucho...
dudniały po bruku
trumną.
Tym razem laweta ciężko przejechała
serca.
...skowyt bólu zagłuszył kościsty huk werbla.
...Wiatr opadł z jedliny i zwiędłe usta
podał chorągwiom.
Ryczały z bólu działa.
Wiły się proporce.
Kopyta pocałunki kładły w zrytą ziemię.
. . . .
Śmierć ostatnią
i straszną — trupią
salwę
grała...

podch. Pyzik

REPORTAŻ Z IZBY CHORYCH

Zdala od budynków koszarowych, prawdopodobnie w tym celu, by żadne odgłosy komend nie denerwowały chwilowych mieszkańców, stoi budynek Nr. 55. Zewnętrznie niczem nie różni się od czerwonych budynków szkoły, ale wewnętrzne jego życie, jakże odmiennie się przedstawia. Izba chorych. Wchodzimy po wąskich schodach na pierwsze piętro. Zapach niezmiennych lekarstw uderza w nos — mimowoli ściszamy kroki. Przed nami drzwi z napisem: „Odwiedzanie chorych kolegów, surowo wzbronione". Dzięki Bogu, że nie przychodzę do nikogo w odwiedziny... Uchylam cicho drzwi i pytam:

— Panowie pozwolą, maleńki wywiadzik do Rocznika?

— Aa prosimy! Właśnie! Zamykać drzwi! Nie miało kogo licho przynieść?... Cały szereg uprzejmych zaproszeń wita moją osobę.

Duży jasny pokój, pod ścianami dziesięć białych łóżek z czarnemi szpitalnemi tabliczkami.

Jedno łóżko wolne. Dziesięć par oczu ogląda mnie od stóp do głów...

— Który z kolegów czuje się na tyle silny, aby udzielić mi kilku słów wywiadu?

— Hm... jeżeli chodzi o tył, to ja mogę koledze kilka słów powiedzieć. Wczoraj właśnie dostałem delbeta — odzywa się jakaś ponura twarz o tendencji do zapuszczenia fryzury, a la „kopa siana".

Przysiadam się do jej właściciela.

— Przedewszystkiem chodzi mi o warunki przyjęcia.

— Te mogą być rozmaite: koklusz, jakiś większy czyraczek w dokuczliwem miejscu, angina, padaczka, tyfus, szkarlatyna, zołzy, nosacizna.

— Ale, przerywam zdziwiony, o ile się nie mylę, żaden z kolegów nie jest chory na żadne z tych okropnych chorób.

— Nie! Ale to jeszcze nie dowód, by symptomaty jej nie mogły się pokazać.

— Tak więc ściśle mówiąc, wystarczą tylko symptomaty jakiejś groźnej choroby.

— No! niezupełnie... trzeba jeszcze zdać ustny egzamin wstępny. Najpierw kollokwium z mierzenia temperatury u szefa, co wcale nie jest rzeczą łatwą, a potem właściwy egzamin u p. kapitana.

— A jedzenie?

— Jedzenie to samo, z wyjątkiem tych, którzy mają ścisłą dietę — takim nie wolno chodzić do jadalni, więc zwykle obiad przynosi mu sąsiad z lewej strony.

— A jaki jest porządek dnia?

— Normalny — nic się nie robi, brak zupełny apelów i czyszczenia sprzętu, niema sprzątania rejonu.

— Acha, a co do stosunków?...

— Bardzo miłe. Naprawdę czuje się, że wszelkiemi siłami starają się z nas wypędzić chorobę — ręka mówiącego mimowoli spoczywa na wypukłości kołdry.

— A po wyzdrowieniu?

— Nie mówmy o rzeczach przykrych... — słowa te padły z ust młodziana, przechadzającego się po sali w wykwintnym rannym szlafroku.

— A koledze co jest?...

Młodzian spojrzał na mnie okiem szefa zaglądającego do szafki i wyrzucił przez ściśnięte wargi:

— Wścieklizna!...

Musiałem zrobić jakiś odruch bojaźni, bo nagle perlisty śmiech dobiegł mnie z łóżka, na którem leżał człowiek z grubo obandażowanem gardłem.

— .... ha, ha... on się wścieka, bo go już odsyłają spowrotem...

Z łóżka pod piecem wyskoczył nagle jakiś typ z jedną nogą ukrytą po kolano w bandażach i w rączych susach sunął ku drzwiom:

— Psiakrew! zupełnie zapomniałem...

Nagle urwał, chora noga załamała się pod nim, twarz skrzywiła okropnym bólem... Włosy stanęły mi na głowie!... Ale cóż to? Wytworny młodzian przechadzający się przed chwilą zniknął, a na jego miejscu stoi p. plutonowy Ryjoch i badawczem spojrzeniem błyszczących okularów wodzi po łóżkach... Podchodzi do jednego i bez ceremonji ściąga kołdrę ze śpiącego na niem chorego.

— O! widzicie! On już od rana wypisany, a jeszcze tu śpi i to w dodatku w szlafroku! Wstawać! Jazda! Markieranty!

Ostrożnie wycofałem się na korytarz... Za mną mocno kulejąc wyszedł ten z obandażowaną nogą i.... równym krokiem podążył do jadalni.

Podch. Sobolewski

LIST DO CIOCI

Kochana Ciociu!

Jestem już 5 tygodni we Włodzimierzu i medytuję, jak się stąd wydostać. Ciocia myśli, że tu, to tak łatwo. Chciałbym widzieć, jak Ciocia siadłaby na konia bez strzemion i czy instruktor nie powiedziałby Cioci, że Ciocia siedzi jak worek... pierza...

Ostrogi, to napewnoby Cioci, tak jak i mnie, ciągle z pantofli spadały. Prosiła mnie Ciocia, abym na siebie uważał. Włożyłem też dwie pary kalesonów, swetr, szalik od Cioci Dusi i kamizelkę od wuja Teofila. Jak mnie wieczorem szef w tem wszystkiem w łóżku zobaczył, tak się przeraził, jak Ciocia, gdy w kuchni u Kasi zobaczyła wiszące na drzwiach spodnie z czerwonym lampasem.

Szef mnie jednak nie wyrzucił z wojska, jak Ciocia Kasię z kuchni, lecz przeciwnie, nagrodził mnie, dał mi konia z rzędem, abym miał się z czem przez tydzień meldować. Ciepłemi zaś kalesonami kazał mi armatę czyścić.

Podoficer służbowy nocą mnie ciągle budził, i mówił, że można sobie nogi połamać, bo tyle pod mojem łóżkiem słomy. Nie mogłem jednak nic zobaczyć. Poszedłem więc drugiego dnia do lekarza z oczami. Lekarz w izbie chorych zapytał mnie, na które oko nie widzę. Jak mu odpowiedziałem, że na oba, to mi kazał patrzeć drugą stroną ciała i wyzwał mnie tak, jak nasz ksiądz proboszcz organistę. Pozatem dał mi zastrzyk „Delbeta", po którym trząsłem się galopem w łóżku ze trzy godziny.

Jedzenie tu jest strasznie twarde, jak nasze życie i nasze „zagłówki". Suchary naprzykład są tak twarde, że Dziadzio napewnoby ich nie ugryzł.

Parasol, który mi Ciocia dała, przy pierwszym deszczu i przy pierwszej zbiórce odebrali mi, tak, że nie zdążyłem go nawet dobrze nad sobą rozłożyć. Kaloszy to już nawet nie próbowałem zakładać.

Naczynie, które mi ofiarowała Ciocia Mania, trzymam w szafce. Ponieważ nie mam kubka, więc piję z niego kawę. Takiego dużego kubka nikt w całej baterji nie ma.

Mąki i suszonych grzybów, kawy i makaronu w paczkach niech już Ciocia nie przysyła.

„Primus" odwiozę Cioci na święta. Zupełnie mi tu niepotrzebny.

Prosiła mnie Ciocia, abym się nie mył w zimnej wodzie, bo się mogę zaziębić. Nie myłem się szczęśliwie przez dwa tygodnie, ale wczoraj powiedzieli mi w stajni, że z mojej szyi możnaby ze 42 kreski brudu usypać.

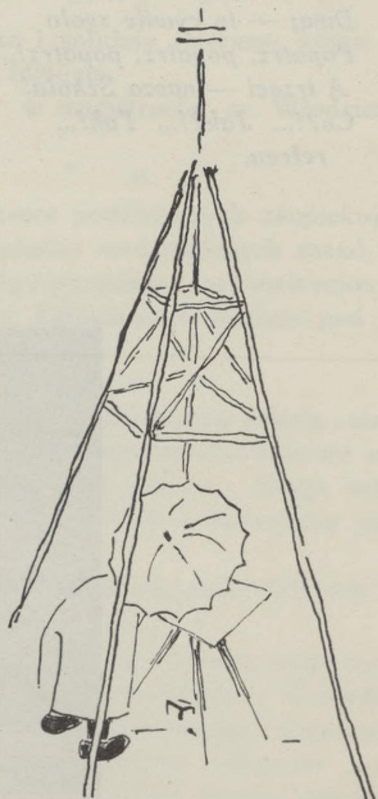
Jeśli Ciocia przyśle mi paczkę, to proszę na niej napisać: „szkło", bo w przeciwnym razie koledzy wszystko mi zjedzą.

Całuję Ciocię mocno, i proszę, aby Ciocia potrzęsła tam u góry i wytrzęsła dla mnie zwolnienie.

Kochający siostrzeniec

Kajetan Mamusiński

Podch. *Keller W.*



Popatrz! Popatrz!

1) Włodzimierz — piękne miasto
Popatrz, popatrz, popatrz!...
Gdy przez nie mkniesz z niewiastą,
Popatrz, popatrz, popatrz!...
Lecz gorsze od ukropu,
Popatrz, popatrz, popatrz!...
Gdy wracasz doń z urlopu
Co?!... Jak?!... Tak!...
refren O!O!O! Niedobrze! Panie Bobrze!
O!O!O! Niedobrze!...

2) Trzech chłopców panna miała
Popatrz, popatrz, popatrz!...
We wszystkich się kochała!
Popatrz, popatrz, popatrz!...
Dwaj — to cywile zgoła
Popatrz, popatrz, popatrz!...
A trzeci — nasza Szkoła!
Co?!... Jak?!... Tak!...
refren.

3) Kanonier granat znalazł
Popatrz, popatrz, popatrz!...
Ze sobą wziął go zaraz!
Popatrz, popatrz, popatrz!...
Szefowi dał na przerwie
Popatrz, popatrz, popatrz!...
Niech szef się też rozerwie
Co?!... Jak?!... Tak!...
Co?!... Jak?!... Tak!...

4) Wieczorem śpiewał ptaszek,
Popatrz, popatrz, popatrz!...
Za chmurki księżyc zaszedł,
Popatrz, popatrz, popatrz!...
Widziała to dziewica
Popatrz, popatrz, popatrz!...
I wzięła wzór z księżyca
Co?!... Jak?!... Tak!...
refren.



fot. Olończuk.

OGŁOSZENIA

Sprzedam.

Do pilnowania domu sprzedam konia, co kopie, gryzie i szczeka. Wabi się „Rzepicha".

Zgłoszenia z łańcuchem i kagańcem pod „Nieszczęśliwy".

Zguba.

Wdrodze powrotnej z izby chorych zgubiłem kalesony i buty. Łaskawego znalazcę uprasza się o odniesienie za zwrotem kosztów prania pod „Już tam nie pójdę".

Reklama.

Używajcie tylko „Delbet", radykalny środek na wszystko. Leczy humor, łupież, wypadanie włosów i zębów. Można stosować przy zapaleniu ślepej kiszki, handrze, konioskręcie, katarze, żółtaczce, febrze, epilepsji. Hurtowa dostawa: izba chorych S. P. R. A.

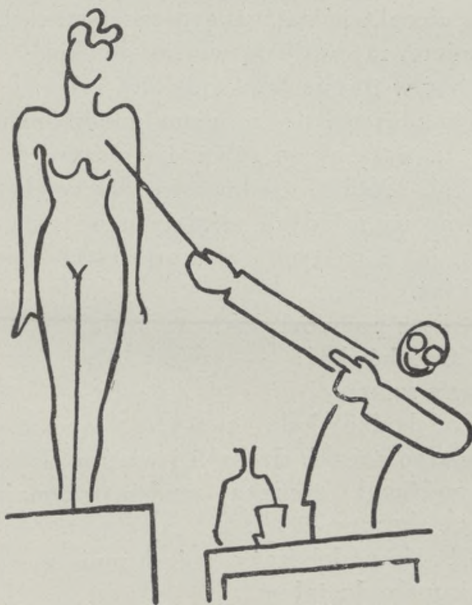
Używajcie tylko „Delbet" przy uporczywem zaparciu stolca, działa lepiej niż woda „Fr. Józefa". Na hemoroidy środek niezrównany. Żądajcie we wszystkich izbach chorych.

* * *

Jazdy galopem w zaprzęgu uczę szybko i solidnie.

Szymon Pachuła. Właściciel jedynego we Włodzimierzu karawanu.

* * *



Towarzystwo popierania rozrodczości w kraju urządza w świetlicy Nr. 1 dla uczniów S. P. R.A. pogadankę, ilustrowaną modelami na temat „jak wygląda kobieta". Wstęp na pogadankę bezpłatny dla tych, którzy nie otrzymali jeszcze przepustek do miasta.

* * *

Kurs woltyżerki dla panów podchorążych urządza cyrk Klingo-Klango we Włodzimierzu, tamże tresura koni.

* * *

Okazyjnie kupię lupę do szukania kurzu na szafie. Ignacy Pałuba.

* * *

Do czyszczenia koni sprzedam elektryczny odkurzacz „Elektrolux". Długa rękojeść zapewnia stuprocentowe bezpieczeństwo przy czyszczeniu najbardziej złośliwych koni.

Firma „Elektro-pol" Włodzimierz.

* * *

Sprzedam opis wszystkich chorób z ich objawami. Markietant.

* * *

Poszukuję towarzysza do dalszej wycieczki. Podchorążowie, orjentujący się w topografji, a zwłaszcza w okolicach Babiej Góry mile widziani.

Zgłoszenia w miejscu pod „Zdecydowana".

* * *

Szyję na miarę i na wyrost mundury dla panów podchorążych i mundurki dla panów konusów. Na życzenie z klapami u spodni na guzikach.

* * *

Uczę szybko i solidnie ścierania kurzu i zamiatania pod łóżkiem.

Zgłoszenia w magistracie m. Włodzimierza u stróża.

* * *

Który z panów podchorążych zaopiekuje się sierotką, idealistką niedzisiejszych zasad, bez gotówki, młodą i przystojną, cel matrymonjalny niewykluczony. Zgłoszenia w miejscu pod „Stuletnia lipa".

* * *

Były ziemianin z ukończoną szkołą rolniczą, dyplomant, doktór, magister, znajduje się w rozpaczliwem położeniu rekruta. Błaga zatwardziałe serca swych ciotek o nadesłanie paczek i pieniędzy.

Zgłoszenia pod „Miałem panie złoty róg".

* * *

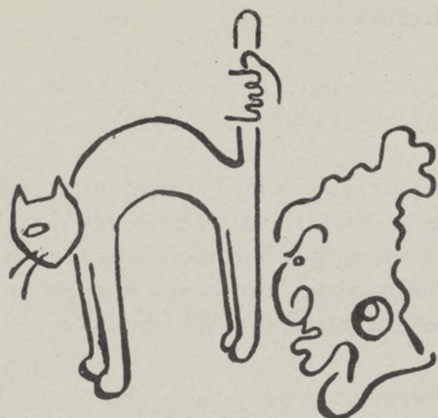
Oddam pod opiekę młodą żonę, tylko osobom starszym. Paralitycy mile widziani. *Michajło.*

Zaginął kanonier z cenzusem, z pieprzykiem koło lędźwi. Wabi się Wacuś Dolewajło.

Zaginiony opuścił przed dwoma dniami koszary na przepustkę i do tej pory nie wrócił.

Znaki szczególne. Wadliwa postawa zasadni-

cza. Pod nosem nieostrzyżony. Nos w kolorach wielkiego Postu. Wszystkie damy, któreby były w posiadaniu jakichkolwiek śladów po zaginionym, uprasza się o zgłoszenie w komendzie szkoły P. R. A.



Wróżka. Światowej słaby wróżka Anusino, wyświetla wszystkie tajemnice. Gdy cię coś trapi, przyjdź. Za jeden złoty dowiesz się do czego służy niezbędnik, kątomierz, trzpień, broda i woda, oraz kiedy będzie przegląd nóg.

Dla pp. podchorążych zniżka.

* * *



Jąkałów uczę głośnego meldowania się przy raporcie. Polecam swój zakład pp. Podchorążym. Emerytowany kapral Jakób Trąba.

proszę mnie DOLAĆ

— Ta napewno zupa. O, już niesą! Pewno dużo tego, bo im ciężko...

— A pewnie, że dużo. I dolewki będą...

Ucichły rozmowy, tylko skostniałe od mrozu ręce chwyciły kurczowo zimne deski bramy, a głodne spojrzenia wpiły się pożądliwie w duże metalowe kotły, które żołnierze ustawiali na śniegu.

Przed bramą koszar Szkoły, dzień w dzień zbiera się ten okryty w łachmany tłum, lecz nigdy może z taką radością nie witał tych ustawionych kotłów, jak teraz. Zimny wiatr bowiem wciskał się we wszystkie dziury często łatanej odzieży. Na pobladłe, nędzą zniszczone twarze, wywabił jakąś dziwną siność.

Czekali tu już chwilę, śledząc niespokojnie ciemne wnętrze kuchni, z której kłębami unosiła się para...

Wreszcie na drodze ukazało się dwóch żołnierzy, okrytych w długie płaszcze, uginających się pod ciężarem olbrzymiego kotła. Tłum zbił się u wejścia. Jakaś mała skulona dziewczynka podwijała zbyt długą chustę i ciągnęła za sobą młodszego braciszka. Duża barania czapka opadła mu na oczy, półbose nogi grzęzły w śniegu. W drobnej zaciśniętej piąstce trzymał koszyk, z którego wystawały ucha osmolonych garnków. Za niemi torował sobie łokciami drogę bezzębny starzec, wysuwając przed siebie pogiętę blaszaną puszkę.

Z jakiegoś kłębka poskręcanych szmat, które zdawałoby się ktoś porzucił przy drodze, wystawała ku górze drobna ręka z „przepustką".

Wartownik otworzył bramę...

Przed nią na śniegu stał tłum nędzarzy, czekając cierpliwie na łyżkę gorącej strawy, którą od śmierci ratowało ją wojsko polskie.

I choć w tłumie tym widziałeś i dzieci, i starców, to zdawało się, że niema między niemi różnicy, że wszyscy są równi i strasznie do siebie podobni. Nędza jednakowe wycisnęła piętno zarówno na młodych zsiniałych od zimna twarzach, jak i na tych zmarszczonych ciężarem wielu lat.

Żołnierz podniósł pokrywę kotła...

— Grochówka!! — przez tłum przebiegł radosny szmer.

...Podchodzili kolejno, wyciągając przepustki, podnosząc garnki, dzbanki i wiadra. Jakiś chłopak podsunął glinianą, cudem trzymającą się jeszcze skorupę.

— Panie podchorąży, niech mnie pan doleje, ja tak mało dostałem...

Gliniana skorupa wypełniła się po brzegi. Na twarzy chłopca zajaśniała radość..

I tak przed tym, buchającym gorącą parą kotłem przedefilowała nędza...

— A drugie danie? — spytała mała dziewczyna, stawiając garnek pełen grochówki na ziemi.

— Niema!

— Niema— to niema! — odparła bez cienia żalu, patrząc na swój wypełniony garnek.

Podoficer wyczytywał przepustki żywnościowe: jedna porcja, dwie porcje, trzy, cztery...

Żołnierze schylali się coraz niżej...

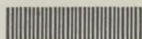
Tłum wolno rozchodził się, rozpływał się w szarym mroku, który obejmował sobą wszystko...

Poszli...

Jutro wrócą tu znowu. Zmarznięci, z nadzieją w sercu, że wojsko umrzeć im nie da, że ratuje ich od najstraszniejszego wroga, któremu na imię: Głód.

Podch. W. Keller







— Niema!

— Niema — to niema! — odparła bez cienia żalu, patrząc na swój wypełniony garnek.

Podoficer wyszczywał [illegible] przegniłej żywności: jedna porcja, dwie porcje, trzy, cztery...

Żołnierze schylali się coraz niżej.

Tłum wolno rozchodził się, rozpływał się w szarym mroku, który ośmielał sobą wszystko.

Poszli.

Jutro wrócą tu znowu. Zmarznięci, z nadzieją w sercu, że wojsku umrzeć im nie da, że zacznie się od najstraszniejszego wroga, któremu na imię: Głód.

Pocisk W. Keller

[illegible]

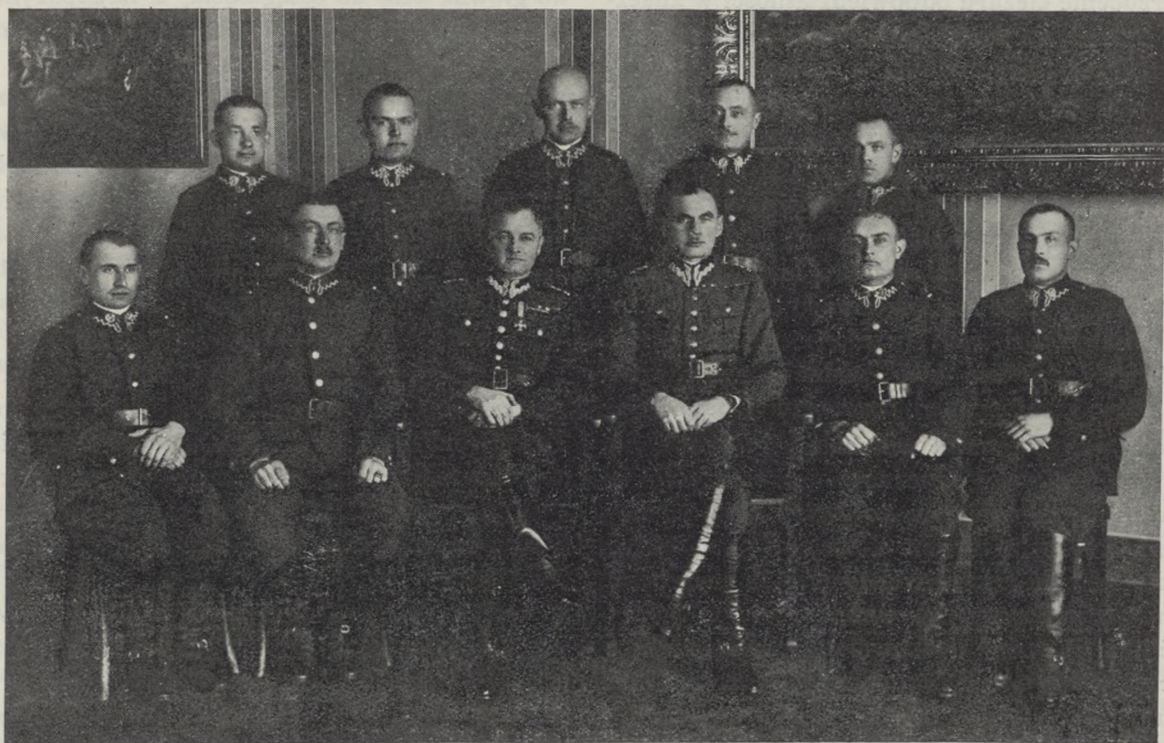
proszę mnie DOLAĆ

[illegible]

Wierzchołki zielenią[illegible].

[illegible]

MYŚL
PRACA
WYNIK



Myślą przewodnią pracy nad przygotowaniem nowych kadr we współczesnej armji jest równorzędność dwóch zasadniczych momentów kształcenia, z których każdy stanowi integralną i nieodzowną część zamierzonego końcowego efektu — wytworzenia organizmu zbiorowego o zwartości monolitu, armji, zdolnej sprostać wszelkim wymaganiom, jakim odpowiadać musi zwycięzca w przyszłej wojnie. Są niemi z jednej strony wysoki poziom wyszkolenia i wyposażenia technicznego, z drugiej silna postawa moralna, głęboka świadomość i zrozumienie służby żołnierskiej, słowem to, co przywykliśmy określać mianem „ducha armji".

Konieczność prowadzenia równoległych wysiłków, podążających w obu tych kierunkach, jest dziś rzeczą tak bezsporną, tak powszechnie uznaną za aksjomat, że przy wszelkich roztrząsaniach tego tematu, przy każdej próbie jego analizy trudno uniknąć sformułowań, graniczących niemal z komunałem.

Znamieniem, charakterystycznem warunków współczesnej walki, w której w tak dużym stopniu znikły dawna jej poezja i rycerskość, jest przerzucenie ciężaru odpowiedzialności w znacznej mierze na barki pojedyńczego żołnierza. Czynnikiem decydującym o powodzeniu orężnem, nie może być już wyłącznie wielkość dowódcy, jego talent i zręczność manewrowania, gdyż warunkuje je przedewszystkiem hart i wola zwycięstwa, jakie przejawić musi każdy żołnierz, od którego w wykonywaniu i wydawaniu rozkazów wymaga się nietylko inicjatywy i samodzielności, ale też i szczerego poddania własnej osobowości woli przełożonego, będącego dlań wykładnikiem idei, godnej największych wysiłków i najbardziej heroicznych poświęceń.

Tak, jak z punktu widzenia siły armji, jej wartości bojowej i odporności wobec czynników rozkładowych, ideałem żołnierza jest żołnierz karny, zdyscyplinowany moralnie, o wysokiem uświadomieniu patrjotycznem, tak naodwrót, pełnowartościowego obywatela państwa cechować musi szereg podstawowych cnót żołnierskich. Wzajemne przenikanie i uzupełnianie tych właściwości jest ogromnie ułatwione w państwach demokratycznych przez powszechny obowiązek służby wojskowej, realizujący w najcelniejszym przybliżeniu hasło „narodu pod bronią".

Armji więc, narówni z innemi instytucjami społecznemi, przypaść winno w udziale poważne zadanie urabiania psychicznego w pożądanym kierunku tej części społeczeństwa, która przewija się przez jej szeregi, spełnienie doniosłej roli wychowawczej. Kwestja ta nabiera specjalnego znaczenia przy szkoleniu przyszłych oficerów rezerwy, a więc tego elementu, który z natury rzeczy, czy to w czasie wojny, czy w normalnych warunkach pokojowych, jest predystynowany do odegrania ważnej roli zarówno w armji, jak i w społeczeństwie.

Oni bowiem muszą proces przemiany, jaki zaszedł w duszy jednostki przez opanowanie popędów indywidualistycznych i podporządkowanie jej idei ładu, przenieść swem oddziaływaniem na jak najszersze masy społeczne. A uczynią to wtedy, gdy w czasie pobytu w służbie wojskowej, tak stosunkowo niedługiej w porównaniu z innemi okresami w życiu, rozwiną własne instynkty społeczne, wejdą w orbitę przeobrażeń, jakie przebywa cały rozległy organizm społeczno-państwowy, zrozumieją i docenią konieczność zajęcia wobec nich czynnej postawy. Propaganda idei uspołecznienia, krzewienia i kultywowania zainteresowań zagadnieniami, dotyczącemi wszystkich dziedzin życia narodowego, przełamywanie objawów bezwładu, pasywności, rezygnacji, lub nawet negatywnego ustosunkowania zarysowują się tu jako główne cele do osiągnięcia, a najlepszym do tego środkiem jest dostarczenie odpowiedniej, rzetelnej zaprawy społecznej.

Rozwiązanie problemu wychowawczego w szkole wojskowej jest trudne do ujęcia jakimkolwiek szablonem. Na terenie SPRA punkt ciężkości tej pracy spoczywa na Kole Kulturalno-Oświatowem, które co do sposobów realizacji powyższych zamierzeń posiada już własne metody pracy, poparte obserwacją jej dotychczasowych wyników i kilkoletniem doświadczeniem.

W jakich kierunkach praca ta podąża, jest dla nas rzeczą ogólnie znaną, gdyż przez cały ubiegły rok byliśmy mniej lub więcej żywymi jej współuczestnikami. Mówi zresztą o tem wyczerpująco statut „KKO", a dość niezłe pojęcie urobić sobie można na podstawie części sprawozdawczej Rocznika. Wydaje mi się, że nie będzie przesadą wypowiedzenie o niej w pewnej syntezie twierdzenia, że obejmuje niemal wszystkie, i to bardzo różnorodne dziedziny zainteresowań uczniów SPRA, dając każdemu możność działania zgodnie z posiadanem przygotowaniem i zamiłowaniami. Jeden moment jest jednak wspólny i najbardziej znamienny dla wszystkich ośrodków pracy KKO; dotyczy on samych podstaw ich działalności. Celowość i oparcie o rzeczywistość, męskie potraktowanie sprawy na zasadach honoru i odpowiedzialności, z wyeliminowaniem wszelkiej czczej frazeologji, tak rozpowszechnionej w naszem życiu publicznem, że urastającej do rozmiarów plagi społecznej —

oto zasady, na jakich staramy się opierać, pracując wspólnie nad kształtowaniem charakterów własnych i naszych kolegów. Służba wojskowa sprzyja szczególnie rozwojowi tej cennej właściwości, jaką jest zmysł praktycznego poczucia rzeczywistości, realnej oceny wszelkich przejawów życia. Dzięki niej potrafimy odróżnić pozytywne wartości od pustoty frazesów, nie dajemy się zahypnotyzować samemi tylko pozorami czynu, obowiązki nasze pojmujemy prosto, po żołniersku. W nastawieniu tem mogą być pewne, nierówności ,odchylenia na korzyść i niekorzyść, nieodłączne i związane z warunkami każdej pracy zbiorowej, w której biorą udział ludzie o różnej organizacji psychicznej, różnym stopniu samokrytycyzmu, różnej mocy charakteru, niemniej stanowi ono zasadniczą tendencję wychowawczą.

Czy i w jakim stopniu tendencja ta pozostawi trwały oddźwięk i nieprzemijające rezultaty, dziś wyrokować trudno. W wyniku całorocznego bilansu objektywizm każe jednak przyznać, że posiadała ona jednak przez cały czas swój mocny zarys, tężyznę i rozmach, swą intensywność.

Podchorąży Barański Władysław

KOŁO KULTURALNO OŚWIATOWE

SPRA

Statut Koła Kulturalno - Oświatowego uczniów SPRA mówi: „Organizacja ma na celu współdziałanie z Władzami Szkoły w dążeniach do dostarczenia Ojczyźnie dobrych obywateli — oficerów rezerwy".

Jesteśmy przekonani, że twórcami Koła Kulturalno - Oświatowego kierowała głęboka wiara w wysokie wartości moralne młodzieży polskiej, które należy jedynie wydobyć na światło dzienne i skierować na właściwe im pole — pole pracy dla Ojczyzny. Powołując do życia naszą organizację mieli oni na celu wciągnięcie jaknajwiększej ilości uczniów Szkoły w jej orbitę, wyrobić w nas poczucie potrzeby bezinteresownej pracy na rzecz dobra ogólnego i przygotować nas do tej pracy na szerszym terenie; jednem słowem — *uspołecznić*.

Uczniowie Szkoły to element niesłychanie różnorodny, nietylko pod względem pochodzenia ,lecz i wieku, wykształcenia i nastawienia ideowego i społecznego. Obok ludzi z ukończonemi wyższemi studjami, o ściśle określonych zainteresowaniach zawodowych, mamy siedemnasto- osiemnastoletnich maturzystów, którzy nie posiadają jeszcze żadnych ustalonych planów życiowych, ani zainteresowań zawodowyych. Obok ludzi, o pełnem uświadomieniu obywatelskiem i wyrobionych życiowo, spotykamy tutaj element jeszcze zupełnie surowy, nieświadomy swych obowiązków względem państwa i społeczeństwa.

Współpraca koleżeńska wszystkich uczniów celem otrzymania pewnej przeciętnej, dającej każdemu z wychowanków Szkoły głęboką świadomość i zrozumienie służby żołnierskiej, silną postawę moralną, wrażliwość na wszystkie przejawy życia kulturalnego i społecznego Polski, jest celem istnienia Koła Kulturalno-Oświatowego.

W tem znajduje swoje uzasadnienie silnie rozbudowany aparat organizacyjny Koła, które zapomocą Sekcyj i Podsekcyj dąży do podjęcia na terenie Szkoły roli ogniska zainteresowań, zaspakajającego potrzeby intelektualne i duchowe ogółu uczniów, a przez to do współdziałania z Władzami Szkoły w usiłowaniach wpojenia i ugruntowania w przyszłych oficerach rezerwy szeroko pojętej świadomości obowiązków obywatelskich. Stąd też punktem ciężkości w pracy Koła jest Sekcja Wychowawczo-Oświatowa i jej organa: Rada Wychowawczo-Oświatowa oraz Koła Ideologiczne. To też inicjowanie i centralizowanie akcji imprezowej nie wyczerpuje, jakby się to mogło na pierwszy rzut oka wydawać, całokształtu działalności Koła, podążającej jednocześnie w wielu kierunkach, zawsze pod kątem widzenia dostarczenia członkom nietylko rozrywki, ale przedewszystkiem rzetelnej zaprawy społecznej, starając się pozatem zasięg swych wpływów rozszerzyć poza mury Szkoły i wyzyskać wszystkie momenty sprzyjające pogłębieniu kultury polskiej na terenie miasta.

To pozorne rozstrzelenie i rozdrobnienie starań, wysiłków i zainteresowań Koła nie dzieje się ze szkodą dla pozytywnych rezultatów zakreślonej pracy, która rozwija się prawidłowo i harmonijnie, obejmując dziedziny wychowania ideowego, dokształcenia zawodowo - żołnierskiego, współpracy z organizacjami społecznemi oraz opiekę nad „Domem Dziecka im. Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego". Harmonijność pracy, a przez to jej celowość zapewnia mocno rozbudowany, jednak sprężysty aparat organizacyjny.

Struktura organizacyjna Koła, na pierwszy rzut oka, nie różni się niczem od ogólnie przyjętych form organizacyjnych, ma jednak w sobie

coś, co czyni ją całkiem specjalną, czyni ją poprostu szkołą życia społecznego. Można nawet powiedzieć, że tak, jak Szkoła nasza uczy nas być dowódcami na wypadek wojny, tak Koło Kulturalno-Oświatowe uczy być dowódcami w normalnych warunkach pokojowych. Porównanie to daje się przeprowadzić w całej rozciągłości, również w odniesieniu do aparatu organizacyjnego. Tak więc instytucją nadrzędną nad Zarządem Koła, a tem samem nad całem Kołem, jest Komisja Kulturalno-Oświatowa, powołana przez Komendanta Szkoły z pośród Oficerów. Dalej następują trzej kuratorowie odzielnych grup Sekcyj: wychowania ideowego, dokształcenia żołniersko-zawodowego, i imprezowo-rozrywkowej. Te grupy dzielą się na poszczególne Sekcje i Podsekcje nad któremi czuwają Opiekunowie.

To pozwala na zdanie sobie sprawy z korzyści jakie Koło, w ten sposób zorganizowane, przynosi w naszem szkoleniu.

Muszę tu zwrócić uwagę jeszcze i na ten moment, że w działalności Koła pozostawiono nam pełnię inicjatywy, co stwarza pozory pełnej samodzielności, dopinguje w pracy i wyrabia wartości duchowe, potrzebne przyszłym dowódcom.

Zarząd KKO złożony z uczniów, jak również Zarządy podległych mu Sekcyj nie są jednak Zarządami w pełnem znaczeniu tego słowa, co w warunkach szkolnych jest oczywiście rzeczą niemożliwą. Każda decyzja, powzięta przez te Zarządy, jeśli nie harmonizuje z duchem wojskowym Szkoły, może być z natury rzeczy uchylona lub zmieniona przez Komisję Kulturalno-Oświatową. Zależność Zarządów Sekcyj z jednej strony od Opiekunów, z drugiej zaś strony od Zarządu KKO nadaje całej Organizacji specjalny charakter pewnego dualizmu, który wprawdzie wprowadza pewną trudność techniczną w pracy, wyrabia jednak ogromne poczucie odpowiedzialności, dyscypliny i to tem wartościowszej, że dyscypliny wojskowej w pracy społecznej, na którą bodaj że najtrudniej się zdobyć.

Podchorąży Witold Sznuk

SEKCJE:



WYCHOWAWCZO-OŚWIATOWA

Sekcja wychowawczo-oświatowa, jako zespół wszystkich Kół ideologicznych ma za zadanie ustalenie i wprowadzenie w życie u swych członków ideologji podchorążego i urobienie oficera rezerwy, którzyby poza zdobytą w Szkole wiedzą był przykładem obywatela świadomego roli, jaka go czeka w życiu cywilnem — po opuszczeniu szeregów służby czynnej. Kierunki pracy sekcji, to praca na terenie szkolnych kół ideologicznych, na rzecz Szkoły jako całości z racji świąt i uroczystości państwowych i praca wśród obsługi ćwiczebnej — przez pogadanki na tematy gospodarcze. Narzucając w programie prac wytyczne tematy dla kół ideologicznych, Zarząd chciał wyczerpać kompleks zagadnień, których poruszenie uważał za najbardziej celowe i konieczne.



Zarząd Sekcji Wychowawczo - Oświatowej.

Aby dać możność jaknajwiększej wymiany myśli między poszczególnemi kołami ideologicznemi, Koła wysyłają sobie wzajemnie delegatów na swe zebrania, dla przedłożenia następnie sprawozdań. Kontrolę prac wykonuje Zarząd przez zatwierdzanie programów prac i referatów, przeznaczonych do wygłoszenia, jak też przez osobisty udział członków zarządu w zebraniach. Celem wzmożenia wymiany poglądów z przewodniczącymi kół ideologicznych, Zarząd zwołał w ciągu swej kadencji siedem zebrań rady wychowawczo-oświatowej. W skład rady wchodzą poza zarządem i delegatami KKO. przewodniczący wszystkich kół ideologicznych. Zebrań zarządu sekcji odbyło się 35, zebrań kół ideologicznych 120. Tematem zebrań kół ideologicznych były referaty o charakterze ideowo-żołnierskim,

społeczno-oświatowym i gospodarczym, jak naprzykład: „Znaczenie armji dla państwa", „Rola oficera rezerwy w czasie wojny i pokoju", „Dlaczego powinniśmy być narodem żołnierskim", „Potrzeba karności i obowiązku w życiu społecznem", „Militaryzm, a pacyfizm", „Rola i zadanie inteligencji w życiu społecznem", „Nowa konstytucja", „Wychowanie państwowe", „Zadania młodego pokolenia", „Kryzys gospodarczy", „Przyszłe drogi rozwoju gospodarczego Polski", „Znaczenie Gdyni pod względem gospodarczym i politycznym", „Sytuacja gospodarcza rolna" i t. p. Ogółem na powyższych zebraniach wygłoszono 87 referatów.

W dążności do oddziaływania na największą masę zarząd natknął się początkowo na pewien brak zainteresowania, jednak z rozwojem prac kół ideologicznych liczba członków bardzo pokaźnie wzrosła, tak że obecnie tylko nieliczne jednostki znajdują się poza obrębem kół. Aby umożliwić jednostkom wybitniejszym dalsze kształcenie swych myśli zarząd postanowił urządzić cykl zebrań ogólnokształcących.

W tym celu został rozpisany konkurs z nagrodami na najlepszy referat na jeden z następujących tematów:

a) Militaryzm a pacyfizm.

b) Rola jednostki na tle ruchów społeczno-politycznych doby współczesnej.

c) Zadanie inteligencji w życiu społecznem naszego państwa.

W konkursie pierwsze miejsce uzyskał referat „Militaryzm a pacyfizm", który został wygłoszony na szerszem zebraniu uczniów.

W okresie przedświątecznym zarząd sekcji zorganizował cykl pogadanek o wyborze zawodu dla kolegów wybierających się na studja wyższe po ukończeniu służby wojskowej.

Prace sekcji na terenie ogólnokształcącym, to przygotowanie referatów i przemówień na uroczystości państwowe, drogą konkursu celem uzyskania jaknajwyższego poziomu godnego obchodu, urządzanego przez Szkołę. Na specjalną uwagę zasługuje praca wśród obsługi ćwiczebnej w formie pogadanek gospodarczych z zakresu rolnictwa i gospodarstwa wiejskiego, jak też dziedziny samorządu, spółdzielczości i t. p.

Pogadanek tego rodzaju odbyło się 32, a wygłosili je uczniowie mający fachowe i społeczne przygotowanie. Pogadanki obudziły pożądane zainteresowanie czego dowodem dyskusje prelegentów, otoczonych gromadą słuchaczy, długo po ukończeniu pogadanki. Ze względu na duże zainteresowanie pogadankami zarząd sekcji opracował ich streszczenie na piśmie i rozdał je między wykazujących największe zainteresowanie kanonierów.

W końcu naszego sprawozdania nasuwa się kilka uwag na temat pracy takiej organizacji jak nasza, tu w wojsku.

Wszyscy doskonale rozumiemy, że przyszliśmy tutaj przygotować się na dobrze wyszkolonych żołnierzy.

Czy nie zwracamy zbyt wiele uwagi w innym kierunku?

Napewno nie!

Stosowanie zasad, podanych przez deklaracje ideowe kół i myśli, omawianych na zebraniach, które choćby bezwiednie każdy sobie przyswajał nagradza w zupełności, już tu w Szkole, stracony zdawałoby się czas. Wartość uświadomionego, o wyrobionym charakterze, o niezachwianych zasadach, a nadewszystko rozumiejącego głęboko swe obowiązki żołnierza pozostaje jako czysty zysk.

Na wyrobienie tej brakującej naszemu społeczeństwu cechy jaką jest karność i sumienność w obowiązkach, zarząd sekcji kładzie specjalny nacisk. Jest to korzyść niezmierna, że jednostki statystyczne czy bierne, które może nigdy nie ożywiłyby w sobie zrozumienia dla zagadnień społecznych, tu wciągają się do pracy i w przyszłości będą pełnowartościowymi obywatelami. Ogół uczniów SPRA jest bezwzględnie oddany pracy ideowej. Ten zespół potęguje w sobie wartość wychowania wojskowego, wyniesie do niego zamiłowanie i przyczyni się w dużej mierze do przemiany naszego społeczeństwa w „naród żołnierski".



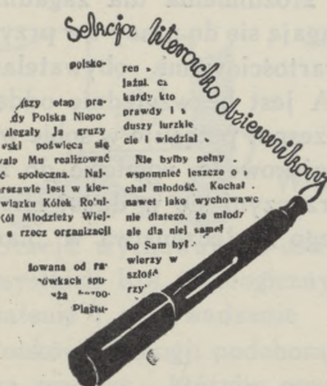
DEKORACYJNA

Na początku roku szkolnego grupa kanonierów z cenzusem, która służyła Marsowi, a kochała jednocześnie Muzę, nie mając jeszcze pojęcia o pracy w Sekcji Dekoracyjnej przybyła na pierwsze zebranie informacyjne, by wyłonić z pośród siebie Zarząd. Szybko się z tem uporano, bo wszyscy głosowali chętnie, gdyż jeszcze nikt nikogo nie znał. Praca zawrzała odrazu. Papier, klej i gwoździe wychodziły masowo, powodując też częste wychodzenie członków na miasto. Ponieważ sztuka rodzi się w wolnych

jedynie całkowicie chwilach, więc też najczęściej byliśmy zwalniani od apeli przeróżnych. Jednak opłaciły się sowicie wolne od apeli chwile, bo dały Szkole pięknie wykonane dekoracje do wszystkich uroczystości i imprez szkolnych. A więc, 11 listopada, Rewja, „spalenie rekruta", „święto podchorążego", przedstawienia dawane przez Sekcję teatralną, akademje, choinka i inne, pełne były wytworów bujnej fantazji naszych mistrzów pendzla, ołówka i nożyczek.

Wszyscy pracowali chętnie i prześcigali się w pomysłach. A przodował im pełen inicjatywy i pracowitości nadworny SPRA. architekt „Sucha tyka". Każdą myśl przerabiał, każdemu doradzał i pomagał. I dzięki tej drobiazgowości, ochoty do pracy i do wydawania pieniędzy — można było stworzyć wiele pięknych dekoracyj, które spotykały się zawsze z wysokiem uznaniem naszych Władz i kolegów.

Zresztą przeglądając nasz Rocznik, w każdym dziale czy ogólnym, czy specjalnym znajdziecie pracę naszej Sekcji. Z tych, przed Wami lśniących, ilustracyj możecie wyrobić sobie pojęcie i o innych naszych pracach i osądzić — czy słusznie opuszczaliśmy apele.



W ciągu okresu spędzonego w S. P. R. A. daje znać o sobie tak w Szkole, jak nazewnątrz. „Polska Zbrojna" i „Podchorąży" zamieszczają artykuły naszych literatów, które jak można najpiękniejszemi słowy i fotografjami ilustrują nasze życie we Włodzimierzu. Artykułów przygotowano kilkanaście, które dzięki swej interesującej treści znajdują miły oddźwięk wśród czytelników. Poruszają one zagadnienia nietylko ogólne, ale też i fachowe, co daje swój wyraz w specjalnym tak zwanym artyleryjskim numerze „Podchorążego".

Na odbytych akademjach, organizowanych przez Szkołę, prelegenci z pośród członków sekcji we wstępnych przemówieniach, przypominają i uwypuklają zebranym momenty historyczne, czy też wielkość postaci, którym poświęcono dzień. Skupienie na sali i długie brawa mówią wymownie o nienurzącem przemówieniu.

Mają już to w sobie, ci nasi literaci-dziennikarze, że nawet gdy podają suche wiadomości prasowe, to podają je z takim wdziękiem i tak interesująco, że coniedzielna „tygodniowa kronika prasowa" jest oczekiwana z niesłabnącą nigdy ciekawością. Bowiem jest w tej kronice wszystko, od najświeższych zdarzeń politycznych poprzez politykę gospodarczą naszą i obcą — aż do wiadomości sportowych, a zawsze inaczej, zawsze miło i ciekawie. Zaskarbili też sobie dzięki swej pracy serca wszystkich. Wreszcie może największa z pośród innych prac sekcji, to wydanie „Rocznika S. P. R. A.". Poświęcili mu dużo godzin i wiele apeli, zaprzęgając do pracy całe dziesiątki kolegów. Ale nie napróżno. Zebrali wszystko — co się dało najgodniejszego i najweselszego, a co przyniesie w przyszłości najwięcej miłych wspomnień, i przekazali Wam ku trwałej rzeczy pamiątce.



Jak corocznie K. K. O. powołało do życia Sekcję Teatralną, celem której miało być szerzenie kultury żywego słowa, oraz popularyzowanie arcydzieł literatury scenicznej. Od początku gromada zwolenników Muzy zabrała się z zapałem do pracy tem trudniejszej, że początkowo nie znano się wzajemnie. Trzeba było dopiero odkrywać talenty aktorów, reżyserów, inscenizatorów. W celu wypróbowania możliwości artystycznych swych członków wystawiono w dzień „Święta rekruta" rewję. Ale ambitne plany artystyczne nie dawały spokoju. Chęć stworzenia przedstawienia stojącego na poziomie artystycznym, a zarazem popisania się ukrytemi talentami, daje impuls do stworzenia przedstawienia, zakrojonego na wielką skalę. Odegrana w dniu przysięgi „Droga do wolności" obejmowała szereg wyjątków z „Nieboskiej komedji", „Kordjana", „Roku 1863", „Wyzwolenia" i zakończona była obrazem legjonowym. Przedstawienie, w które włożono tyle pracy i wysiłku, dało wynik nieoczekiwany: cztery przedstawienia na terenie S. P. R. A. przy wypełnionej sali, pochwała P. Pułkownika oraz uznanie licznych gości z miasta.

Nie poprzestając na tym sukcesie przygotowuje jeszcze Sekcja na rocznicę powstania listopa-

dowego — przedstawienie „Gwiazda Syberji".

Biorąc cynny udział w życiu Szkoły, uczestniczy Sekcja we wszystkich uroczystościach, jak np.: w akademji na 11 listopada. W styczniu urządza na balu Ligi Morskiej i Kolonjalnej „Wesołą rawję" oraz współpracuje przy urządzaniu niedzielnych „kawiarenek". Niestety brak czasu oraz zbliżające się repetycje przerywają tok prac nad wystawieniem Shaw'a „Cezar i Kleopatra". Dzięki chętnej pracy całego zespołu i wskazówkom swego Opiekuna, Sekcja wypełniła swój program dając kolegom parę chwil wesołej czy poważnej rozrywki. Wydatną pomoc znalazła w Sekcji Dekoracyjnej, której członkowie zawsze chętnie tworzyli dekoracje i pomagali w inscenizacji.



ŚPIEWACZA

Zaczęło się, jak co roku. — W surowej, żołnierskiej świetlicy znalazło się blisko stupięćdziesięciu kandydatów. Wówczas poznaliśmy opiekuna chóru. Próba głosów i krótkie chwile decyzji. — W godzinę, ze stugłowej gromady adeptów, pozostało pięćdziesięciu wybranych.

Pamiętam, już wtedy, wśród beztwarzowej gromady, zaznaczyła się duża wygolona „pała" kol. Tymiaka naszego późniejszego dyrygenta.

Byliśmy początkowo niezdarną gromadą rekrutów. Dość długo wykluwaliśmy się z rekruckich „skorupek". Długo białe karty, trzymanych w ręku nut, dziwnie nie pasowały do naszego wyglądu, do drzewnych mundurów i jeszcze drzewniejszych, kanonierskich butów. Śmiesznie wyglądał chór na pierwszym występie listopadowym. — Coprawda — karny szereg i jaka taka już postawa żołnierska — ale cóż, — kiedy komiczne i dominujące wrażenia wywierała linja wygolonych rekruckich głów, ciekawie wyzierających z ponad białej linji nut. Przed samym występem za kulisy wpada nasz Opiekun — tremę ma większą niż my sami:

„Chłopcy. Okażcie się mężczyznami".

Te cztery słowa wystarczyły; — sprężyły nieco stremowaną gromadę w zwarty chór. Występ udał się i fama rozeszła się po mieście, gruntując nadal sławę chóru, na której wyżyny wprowadzili go nasi poprzednicy.

Kiedy na pierwszy urlop wyjeżdżając, żegnaliśmy się na placu pod choinką z Panem Komendantem, z naszymi Dowódcami i instruktorami, przemówił znów chór pieśnią. — Prostą melodją kolędy wzbudził uczucia tłumione, tajone...

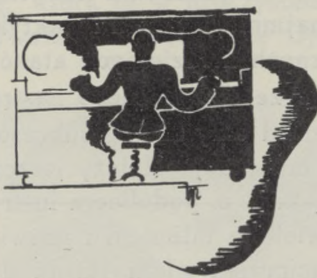
I wówczas było przez chwilę, przez krótką, nieumówioną chwilę spokojnie i cicho na placu. A myśli pobiegły daleko.

Naogół jednak występów mieliśmy niewiele, jeśli nie będziemy liczyć występów w kościele garnizonowym, gdzie śpiewaliśmy co niedzielę. Pięciokrotnie występowaliśmy w ramach obchodów, urządzanych w mieście lub w Szkole, a w końcu dwukrotnie na koncercie, urządzonym wspólnie z sekcją Muzyczną w Szkole i mieście w dniach 21 i 22 marca 1936 r.

Chlebem powszednim chóru były próby. Próby cieszyły się liczną frekwencją, zwłaszcza w dnie apelów mundurowych. Entuzjazm śpiewaczy na próbach był zmienny. To zależało od nastroju. Do maximum dochodził z chwilą pojawienia się Opiekuna lub jego zastępcy.

Było nas 56 chłopaków z różnych stron. Pomimo takiej rozmaitości nie było chyba w K. K. O. sekcji bardziej niż nasza zgranej.

A chociaż liczba wspólnych naszych wspomnień nie jest obfita, gdyż siłą faktu w kręgu naszego żołnierskiego życia, chór, chociaż nie śpiew, zajmował mały tylko wycinek, przecie i te wspomnienia naszą się stały własnością, którą cenić i chować będziemy. Chować i cenić, bo to wspomnienia jedyne, — wspomnienia dni naszej żołnierki, tak silnie codziennie łączonych wspólną pieśnią w ważny okres życia, — okres służby wojskowej.



MUZYCZNA

Z początkiem roku Opiekun Sekcji, wziąwszy sobie do pomocy 5-ciu śmiałków: Sobolewskiego, Pielawę, Widucha, Jacimirskiego i Simsa, postanowił stworzyć legjon, którego czyn rozbrzmiewać miał w Szkole tysiącem surm i puzonów... Legjon zebrano i podzielono na dwie kohorty: symfoniczną i jazzową. Na czele jednej stanął Pielawa — mąż, który już nie jedną potyczkę stoczył na pięciolinji, drugą miał poprowadzić pełen młodzieńczego zapału i sędziwego rozsądku — Widuch. Przedewszystkiem przystąpiono do zebrania oręża, które-

go stan (snać przez poprzedników na lemiesze przekuwanego) godnym był płaczu nietylko słabej niewiasty, ale i gorzkiej łzy doświadczonego męża... a tylko tacy byli w legjonie. Ale niedługo trwał płacz — wódz legjonu, mąż o nikłej postawie, lecz zato wielce w tajnikach klawiszowej harmonji biegły (Sobolewski), owe niemęskie łzy Opiekunowi legjonu przedłożywszy jako dowód upadku, o nowy oręż błagać począł. Zatem za sprawą Opiekuna najwyższa władza nasza, ucho ku prośbom pochyliwszy, subwencji legjonowi nie odmówiła. Kohorta symfoniczna rychło rozbrzmiewać zaczęła radosnemi dźwiękami marsza Rakoczego, znajdując posłuch na wszystkich akademjach i przedstawieniach w świetlicy Nr. 2. Ze wszystkich tych potyczek wyszła zwycięsko dzięki doświadczeniu swego dowódcy i karności w oddziale. Największe zaś zwycięstwo odniosła kohorta, wzmocniwszy swe siły pół setką towarzyszy broni z pod znaku harfy i kamertonu. Owe to dwa plemiona wielkiego państwa S.P.R.A. połączone bywały w wielki koncert muzyki i pieśni, który wielką liczbą tonów i półtonów wypełnił świetlicę Nr. 2, nie zważając na wielkie jej zatłoczenie rycerstwem. Wszelako musiały owe piosenki i piosneczki, walce, a przeróżne nowe tańce do ucha przylgnąć towarzyszom z pod znaku srogiej Minerwae, skoro po koncercie sala nie szczękiem broni, lecz wielkiem dłoń o dłoń biciem się wypełniała.

Kohorta jazzowa prowadziła spoczątku walkę podjazdową, rychło jednak dowódca jej Widuch odwołany został do sztabu (K.K.O.). Jego następca Tkacz (wbrew brzmieniu nazwiska niechwiejący się bynajmniej) zmienił taktykę i szeregiem perjodycznych niedzielnych ataków (widocznie korzystając ze świątecznego nastroju nieprzyjaciela) odniósł cały szereg sukcesów na polu lekkiej muzy tanecznej. Należy jeszcze zaznaczyć, że obowiązki p. o. podoficera instrumentowego pełnił z wielkim talentem i poświęceniem Sims, zaś Jacimirski wielu starań dołożył, by ukształtować swój charakter pisma jako sekretarz dowództwa legjonu. Prócz tych kohort zdarzało się także, że „Pielawa z Siwińskim lub Bilskim i Ceną lub Pilniakiem", samotrzeć zwycięskie wypady robili, co im na chwałę zapisać należy. Wódz legjonu Sobolewski wsławił się tem, że wszędzie, gdzie wszedł, harmonję wnieść potrafił i wiele z nią hałasu — ku zdumieniu ucha i oka słuchaczy, jako, że choć grę słychać i harmonję widać, zaś grającego nijak za ową harmonją odnaleźć nie można było.

FOTOGRAFICZNA

Istniejąca od sześciu lat na terenie Szkoły Sekcja Fotograficzna ma za zadanie umożliwić fotografowanie różnych momentów z życia S.P.R.A., które nietylko mogą stanowić miłą i trwałą pamiątkę, ale i stać się z czasem ciekawym dokumentem przez podkreślenie niektórych charakterystycznych cech naszego życia.

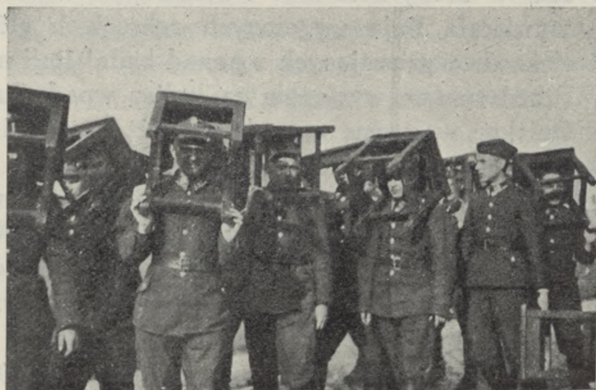
Sekcja daje możność zjednoczenia wysiłków poszczególnych fotografów-amatorów i skierowania ich na określone tory, umożliwia wzajemną wymianę wiadomości praktycznych i staje się ośrodkiem propagandy fotografji amatorskiej, spełnia więc zadanie nietylko rozrywkowe, ale i do pewnego stopnia oświatowe.

Zadanie swoje może sekcja spełniać o tyle, o ile posiada odpowiednio zaopatrzoną ciemnię fotograficzną. Potrzebę tę zaspakaja w miarę możliwości finansowych, a zawdzięczać to można w dużej mierze tylko zapobiegliwości i gospodar-ności przewodniczącego sekcji.



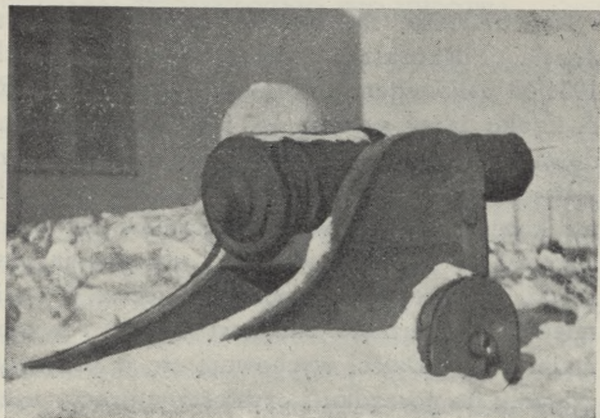
TOWARZYSKA

Gdy mam pisać o Sekcji Towarzyskiej, to przypomina mi się „kawał" jednego z naszych zacnych szefów. Oto — ochotnicy, którzy zgłosili się celem wypróbowania swych poprawnych manier towarzyskich wobec pięknych pań na przedstawieniu w świetlicy Nr. 2, — dostali ku nieukrywanemu zadowoleniu szefa, rozkaz znoszenia ławek i krzeseł. A i potem jeszcze, choć wystrzegano się zdradzenia swych umiejętności, to jednak nieraz jeszcze widziano, że ci, którzy potrafili grać na fortepianie nie mniej zręcznie zamiatali salę wykładową, a uprawiający lekko-atletykę rozkoszowali się możnością



treningu, nosząc worki z brudną bielizną do pralni. To też, gdy poraz pierwszy padło słowo sekcja towarzyska to u ogółu dała się zauważyć pewna nieufność. Lecz któż to jak nie Sekcja t owarzyska organizował pamiętne taneczne sobótki, na których tłum dorodnej młodzieży męskiej, zalegający murem pod ścianami, podziwiał i oklaskiwał kilka pląsających par. A gdy przyszedł wszechwładny karnawał Sekcja wzięła na swe barki zaszczytne samarytańskie zadanie umilania życia upośledzonym przez los, którzy zmuszeni byli do pozostawania w koszarach w niedziele, dając im cieszące się ogromną popularnością „kawiarenki". O staraniach i owocach prac Sekcji, niech świadczy fakt, że na balu L.M. i K. święciła sukces niebywały, — kobiet, autentycznych kobiet było 33!!. Prezesi obu sekcyj tak byli rozczuleni powodzeniem, że w najlepszej komitywie po sutej kolacji zasnęli oparci o siebie na sali balowej — ku ogólnemu wzruszeniu obecnych.

HISTORYCZNO-MUZEALNA



Wśród licznych Sekcyj S.P.R.A. pracuje na terenie Szkoły cicha napozór sekcja Historyczno-Muzealna. A przecież żyje ona życiem wcale nieprzeciętnem, ale pełnem wrzawy i zapału około zbierania wszystkiego, co ma jakikolwiek związek z przejawami życia całej Szkoły w ciągu naszego rocznego pobytu i co bezpośrednio lub pośrednio dotyczy historji naszej Szkoły, lub broni, której ślubowaliśmy dozgonną wierność. Zaraz na samym wstępie rozpoczęcia swej pracy w nowym roku szkolnym, Zarząd musiał wykazać wybitne zdolności historyczno-muzealne (co zresztą odpowiadało nazwie sekcji), ponieważ musiał przeprowadzić żmudne poszukiwania po rozmaitych skrzyniach zawalonych aktami, ażeby znaleźć akta swej sekcji z lat poprzednich. Mimo jednak fachowe wiadomości z dziedziny archeologji niektórych kolegów, zabytków tych nie dało się odnaleźć. Zarząd, nie zrażając się jednak utratą „tak ważnych pod względem historycznym" dokumentów, zebrał to, co odnalazł, uruchomił od nowa sekretarjat i przystąpił do pracy, którą określał regulamin Sekcji. Szybko więc uruchomiono urzędy kronikarza Szkoły, gromadzącego skrzętnie wszystkie ważniejsze i mniej ważne „wypadki historyczne" na terenie S.P.R.A. w swej kronice, dla przekazania ich potomności, pozatem nadzorującego pracę nad kronikarzami bateryjnymi, oraz kustosza, zbierającego znowu materjał muzealny, którego (mówiąc nawiasem), oprócz armatki historycznej o przeszłości i pochodzeniu ustalonem dzięki pracom właśnie Sekcji, jest bardzo mało. Oprócz normalnej pracy Sekcja opracowuje również kroniki za lata ubiegłe, ażeby stworzyć pewną całość, uzupełniając braki w tej dziedzinie, powstałe w latach poprzednich. Nie wątpimy, że w przyszłości niejeden z wychowanków S.P.R.A. chwyci do rąk kronikę i z przyjemnością wspominać będzie miłe przeżycia na terenie S.P.R.A. Sekcja opracowała również kilka referatów z dziedziny historji S.P.R.A. i historji artylerji. Sekcja wprawdzie z przykrością, ale mimo to musiała w tym roku wkroczyć w domenę wyłącznego panowania sekcji dekoracyjnej i z własnej inicjatywy odnowiła tablicę pamiątkową na dzwonnicy kościoła farnego, rzucającą się w oczy swych obywateli.

W roku bieżącym Sekcja osiągnęła wpływy przwpominając nam bohaterskie czyny naszych poprzedników. Dnia 29 listopada 1935 r. w rocznicę powstania listopadowego, pięknie udekorowana tablica zgromadziła koło siebie całą Szkołę, która tu w uroczystem skupieniu rozpamiętywała minione dzieje Ojczyzny.



W szeregu różnorodnych dziedzin, objętych pracą Koła Kulturalno-Oświatowego, nie mogła zostać pominięta ważna, niezmiernie aktualna dziedzina obrony powietrznej państwa. Każdy docenia doniosłą rolę i konieczność propagandy zasad obrony przeciwlotniczej i przeciw-

gazowej, konieczność prowadzenia w tym kierunku forsownej i intensywnej pracy.

Zadanie to podjęła na terenie Szkoły Sekcja O.P.L. i O.P.G., która dzięki nad wyraz serdecznej opiece, doświadczeniu i energji Opiekuna w pracy tej poszczycić się może pozytywnemi rezultatami. W ramach sekcji wygłoszono cykl referatów z chemji gazów bojowych, oraz zorganizowano kurs instruktorów L.O.P.P. II kategorji, który ukończyło 29 uczniów. Będą oni mogli po opuszczeniu Szkoły zająć czynną postawę wobec niebezpieczeństwa przyszłej wojny powietrznej i przynieść w ten sposób społeczeństwu niezaprzeczalny, rzeczywisty pożytek. A i dla samego wyszkolenia przećwiczenie zajęć praktycznych i pogłębienie zakresu wiadomości z dziedziny walki chemicznej pozostanie napewno nie bez znaczenia.

Sekcja O.P.L. i O.P.G. zorganizowała ponadto wewnątrz Szkoły Koło L.O.P.P., do którego prócz wszystkich członków sekcji przystąpiło około 50% uczniów S.P.R.A. Jest to widoczny objaw zarówno żywotności Sekcji, jak i zrozumienia, z jakiem praca jej spotykała się u ogółu kolegów.

SZYBOWCOWA



Podsekcja szybowcowa jest najmłodszym organem K.K.O., powołanym do życia dopiero w bieżącym roku szkolnym, jako część organiczna sekcji O.P.L. i O.P.G., jednak posiadająca pewną autonomję, własny zarząd i własny regulamin. Właściwemu celowi — propagandzie sportu szybowcowego, tak bardzo zasługującemu na uwagę ze względu na jego znaczenie dla obrony państwa — członkowie podsekcji zamierzają się poświęcić po opuszczeniu murów Szkoły. Główny wysiłek podsekcji poszedł zatem, w kierunku wyszkoleniowym, przez zorganizowanie urzędowego kursu teoretycznego, oraz praktycznej nauki pilotażu na szybowisku i sprzęcie Włodzimierskiego Koła Szybowcowego. Charakterystycznym momentem pracy podsekcji był samorzutny czynny udział przedstawicieli korpusu zawodowego S.P.R.A.

Do spełnienia przyszłych zadań — pracy nad przygotowaniem najszerszego ogółu do obrony państwa — sport szybowcowy, sport najwyższej klasy stanowi dobrą zaprawę. Sprzyja on bowiem rozwojowi właściwości psychicznych, potrzebnych w tej pracy, w której głębokie zadowolenie moralne przynosi przeświadczenie, że przybliża się ideał każdego Polaka, ideał skrzydlatej Polski.



OPIEKI NAD DOMEM DZIECKA

imienia Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego.

Dom Dziecka, imienia Pierwszego Marszałka Józefa Piłsudskiego wybudowany w latach 1931/33 całkowitem staraniem i kosztem S.P.R.A., jako żywy pomnik ku czci Wielkiego Budowniczego Polski, to jedna z piękniejszych kart historji naszej Szkoły. Stały wysiłek materjalny korpusu zawodowego i uczniów S.P.R.A., przyczyniły się do powstania i utrzymania placówki, w której biedne polskie dzieci z Włodzimierza przygarnięte znajdują opiekę i pomoc materjalną. Dzieci wychowują się w przyzwyczajeniu do porządku i czystości w pracy, uczą się czytać i pisać, robót ręcznych, starsze przerabiają kurs wyższych oddziałów.

Utrzymanie Domu Dziecka należy do S.P.R.A. — wykonaniem prac związanych z tem zajmuje się Sekcja przyjaciół Domu Dziecka. Praca jej polega na zbieraniu funduszów na utrzymanie ochronki, administracji domu, konserwacji budynku i ogrodu, przeprowadzeniu zakupów ubranek, bucików oraz na zapewnieniu dzieciom



kierunku wychowawczego w myśl intencji twórców domu.

W czasie stałych niedzielnych dyżurów członkowie sekcji drogą pogadanek zapoznają młodych obywateli z historją kraju ojczystego, budzą i pielęgnują w nich uczucie miłości Ojczyzny, stawiając im jako duchowy wzór postać Marszałka Piłsudskiego. Razem z nami dzieci obchodzą w swem gronie uroczystości państwowe i historyczne, kształcąc się na świadomych obywateli. Sekcja w r. b. wydała sumę w wysokości około 5.000 zł. w czem 3.500 zł. zebranych wśród uczniów. Suma ta pozwoliła nietylko na pokrycie wydatków, związanych z bieżącemi potrzebami domu, ale na znaczne powiększenie kapitału rezerwowego, zakupu aparatu radjowego i książek. Praca w Sekcji dawała nam to przeświadczenie, że choć w drobnym ułamku, przyczyniliśmy się w pracy na odcinku wychowania społecznego najmłodszych obywateli, pracy tem ważniejszej, że dającej podstawy do umocnienia polskości na dalekich ziemiach kresowych.

SEKCJA TECHNICZNO-WOJSKOWA.

Dziwne się to komu może wydać, że pisząc o Sekcji Wojskowo-Technicznej musi się dla ścisłości zauważyć, że ona jako taka nie istnieje. Istnieją natomiast trzy Podsekcje w skład jej wchodzące i tak: Podsekcja Topograficzna, Podsekcja Łączności i Podsekcja Artyleryjska. Każda z nich pracuje w swoim zakresie, pamiętając, aby każdy członek miał zajęcie i nie próżnował. Bo trzeba jakoś odrobić ten czas, normalnie poświęcony apelom, przytem nie wolno zapominać, że i następne pokolenia muszą coś wiedzieć o nas, i o naszej pracy.



TOPO-
GRAFICZNA

Podsekcja Topograficzna umiejąca władać we wszelki możliwy i niemożliwy sposób stolikami, taśmami, łatami i t. p. posunęła swoją działalność o tyle, że naniosła kilka punktów topograficznych na... teren Szkoły. Tak więc będą musiały następne roczniki operować ich współrzędnemi, nanosić je na stoliki i t. d., co niemałą będzie pracą, zważywszy, że tych punktów naniesiono 37!! Jedyną pociechą dla przyszłych pokoleń będzie chyba tylko ta świadomość, że paliki te mają za zadanie ułatwiać pracę, jak twierdzą nasi instruktorzy-wykładowcy, i że nie potrzeba jeszcze raz obliczać ich współrzędnych tak dokładnie, jak to za pierwszym razem uczynili czonkowie podsekcji, a przy pewnej dozie sprytu można zawsze z tych wyczynów skorzystać.

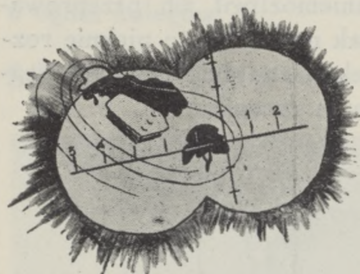
Do naniesienia dwu innych okazałych punktów trzeba było użyć nielada wysiłków, — wszyscy członkowie podsekcji mieli co dźwigać — bo trygonometry, choć z drzewa zrobione, jednak wodą nasiąkły i... ciężkie były... a i pora zimowa nie była lekka. Jednem słowem podsekcja ta wypełniała szczytne zadanie: wytyczała nowe kierunki S.P.R.A.!!! Trzeba przyznać, że do dzieła wzięła się z zapałem, z umiejętnością i postawiła je na odpowiednim poziomie. Dla uwiecznienia tej pracy sporządziła nawet odpowiedni plan na bardzo trwałym papierze. Wiele pięknych i imponujących prac dokonałaby jeszcze Podsekcja, niestety — „krótki pobyt w Szkole" uniemożliwił ich przeprowadzenie. Mamy jednak nadzieję, że pięknie rozpoczęta praca podsekcji znajdzie chętnych realizatorów w następnym roczniku.



Równie chwalebnie prowadziła swe prace *Podsekcja Łączności.* Można będzie zawsze iść na plac ćwiczebny oglądać „Wspaniałe słupy" spowite drutami i zaopatrzone w wielkie głośniki. W czasie wychowania fizycznego wszyscy jak jeden mąż wolą słuchać smętnych tonów tanga, lub skocznego oberka niż monotonnego krzyku inżynierów. To też nie należy się dziwić, że tego rodzaju przewinienie musiało zo-

stać ukarane i mimo, że na inauguracji otwarcia tej rozgłośni szkolnej Pan Komendant Szkoły nazwał tę placówkę bardzo pożyteczną i kulturalną — to jednak została zamknięta w budynku 44 i nawet gdyby ją kiedykolwiek przenieśli do innego pomieszczenia — piętno na niej pozostanie — była uwięziona i pierwsze swe tony wydawała „z mamra". Tam też wytknęła głowę poraz pierwszy na szeroki świat krótkofalowa radjostacja nadawcza SP1KP. Dlaczego akurat taką otrzymała nazwę, nie wiadomo. Są to już zdaje się głębsze machinacje kierowników podsekcji i ogółu krótkofalowców. Jest ona prawdziwem utrapieniem kolonji oficerskiej. Ale to rozkoszna zemsta! Do południa panowie oficerowie mówią, a my musimy słuchać, a po południu my mówimy, a oni nie mogą słuchać!

No, — z tego, że członkowie tej podsekcji wyszkolili się w „morsowaniu" — niema co się chwalić — byle telegrafista to samo potrafi, tylko, że oni robią to znacznie lepiej i w każdej sytuacji dają sobie radę — w polu, w lesie, w górach, — a my tylko na poczcie.



ARTYLERYJSKA

Podsekcja Artyleryjska okazała się z pośród tych trzech podsekcyj najbardziej techniczno-wojskowa i pracę swą poprowadziła po drodze teoretycznego nietyle wyszkolenia, co doszkolenia. Co piątek ktoś z zebranych wygłaszał odczyt rozjaśniający i poszerzający horyzont wiedzy artyleryjskiej. O czem się tam nie mówiło. I „o zachowaniu się pocisków na torze" i „o ich kształtowaniu" i „o ich wyrobie" i „o budowie luf działowych" i „o wyczynach najnowszej techniki wojennej" i „o zdobyczach doby ubiegłej" i o wielu, wielu innych sprawach mających jakowyś związek z artylerją.

I należy z uznaniem dla tej podsekcji podkreślić, że jakkolwiek na wykładach często gęsto spotykało się chrapiącego ucznia, to na tych zebraniach nikt nie miał ochoty spać, mimo, że odbywały się one bezpośrednio po drzemce poobiedniej i mogłyby z powodzeniem stanowić jej przedłużenie. Bo wszystko podawano w tak przystępnej i ciekawej formie, że po kilku referatach racjonalnem okazało się, umieszczenie podsekcji w dużej sali jadalnej.

Współpraca z zarządem K.K.O. wyraziła się wyświetleniem filmu dla ogółu uczniów S.P.R.A., który zilustrował dorobek kilkuletni konstruktorów przemysłu wojennego.

Czy z tego sprawozdania wyniknie dla Ciebie czytelniku, przeświadczenie, że wszyscy członkowie sekcji pracowali — nie wiem — może nawet lekka treść nasunie Ci myśl, żeśmy się „dekowali". Pisząc jednak z humorem nie chcieliśmy Cię nudzić. Ty zaś jak z bajki uchwyć treść właściwą.



HARCERSKA

Mówili mi koledzy — dawni uczniowie S.P.R.A., że niemasz to jak Sekcja harcerska. — „Pamiętaj — zapisz się do sekcji harcerskiej". Atrakcje, praca w drużynach włodzimierskich, no i wiadomo piękne druchny... Jeden zaś zabójczo przystojny harcerz szepnął mi na pożegnanie — już na stopniach wagonu: — „Wiesz — jest tam drużyna starszych harcerek". — Jechałem więc do S.P.R.A. dobrze poinformowany. Po drodze już poznawaliśmy się — my, przyszli członkowie sekcji — po czem? — Był pewien znak skromny — *krzyż harcerski.*

— — — — — — — — —

Pierwsze dni okresu rekruckiego... powstaje wśród innych sekcja przyjaciół Harcerstwa. Są tu harcerze i nieharcerze — sympatycy. Z różnych stron Polski — brać o różnej gwarze. Poznajemy się, podając swe harcerskie życiorysy. Dobry nastrój wprowadza nasz Opiekun, — szczerze pomaga jego zastępca. „We Włodzimierzu jest źle" — słyszymy — „dużo do zrobienia" — uśmiechają się twarze. — Źle? — Damy rady. — Tworzy się grupa instruktorska i starszo-harcerska. Są wśród nas typy różne — smutne i wesołe z usposobienia — optymiści i pesymiści. Rozpoczyna się cykl gawęd na różne tematy. Dysputy toczymy z różnem zacięciem. Wyróżnia się na tem polu „Borcik" — który kunsztownie dyskutować umie. W śpiewie celuje Borys — tarnopolak i „zuchmistrz" przedni (bo i o zuchach nie zapominamy). Wreszcie instruktorzy pracują w drużynach — o ile tylko czas i zajęcia pozwalają. Kilkakrotnie sekcja in gremio udaje się do harcerek na wieczornice — co pozostawia u wielu miłe wspomnienia. Niemasz to jak — druchny włodzimierskie. I tu „Borcik" jest na pierwszem miej-

scu. Żart żartem, ale trzeba stwierdzić, że na trudnym terenie włodzimierskim nasza sekcja cośkolwiek pomogła drużynom w pracy. Był urządzony kurs dla zastępowych, był tydzień harcerski, bieg polowy, wieczornica — pomagaliśmy, jak mogliśmy... — Jak? — ze szczerego serca.

— — — — — — — — —

Rok ten nie spełnił może w całości naszych oczekiwań. Trudno. Życie płata kawały — to też i sekcja nasza nieraz „zacinała się", ale praca szła. — We wszystkich drużynach pracowali instruktorzy. Nie pominięto i „Domu Dziecka", gdzie stale 2 druhów organizowało gry dla dzieci. Może więc i następne roczniki S.P.R.A. usłyszą coś dobrego o sekcji przyjaciół Harcerstwa we Włodzimierzu. W spuściźnie następcom zostawiamy „dziedziczną" bibljoteczkę i zwitek wskazówek z praktycznemi radami. Oby im się lepiej szczęściło w pracy harcerskiej tak trudnej w wojskowem życiu.



PRZYJACIÓŁ ZWIĄZKU STRZELECKIEGO

Najmłodsza z sekcyj Koła — największą tchnęła energją do realizowania swej ideologji i haseł. Wytyczne, na których oparła pracę streszczają się w następujących punktach:

a) na terenie wewnętrznym — wychowanie członków w duchu strzeleckim i przygotowanie ich do przyszłej pracy strzeleckiej na terenie ogólnopolskim.

b) na terenie zewnętrznym — współpraca z oddziałami Związku Strzeleckiego we Włodzimierzu i powiecie.



Korzystając z doboru ludzi, przerzuciliśmy większość naszych wysiłków poza obręb Szkoły, organizując z miejscowemi czynnikami tygodniowy kurs przysposobienia rolnego, oraz dwutygodniowy kurs przodowników orląt Z. S. Prelegenci nasi wygłosili cały szereg referatów i dzięki zapałowi oraz energji zdołali zawiązać w miejscowych oddziałach Z. S. sekcję przysposobienia rolnego, gołębiarstwa pocztowego, oraz bokserską.

Nietylko słowem i doświadczeniem pomagaliśmy naszym kolegom strzelcom z Włodzimierza, ale dzięki ofiarności uczniów S.P.R.A. zdobyliśmy pisma oraz książki dla wędrownych bibljotek Z. S. i podarki dla najbiedniejszych strzelców, które rozdano na opłatku strzeleckim.

W miarę możności i zdolności naszych członków — udzielaliśmy pomocy kulturalnej strzelcom i wogóle żywiołowi polskiemu, z jakim zetknęliśmy się na terenie Włodzimierza, niezapominając o samokształceniu się, — co przeprowadzaliśmy drogą referatów i pogadanek na naszych wewnętrznych zebraniach.



LIGA MORSKA I KOLONJALNA

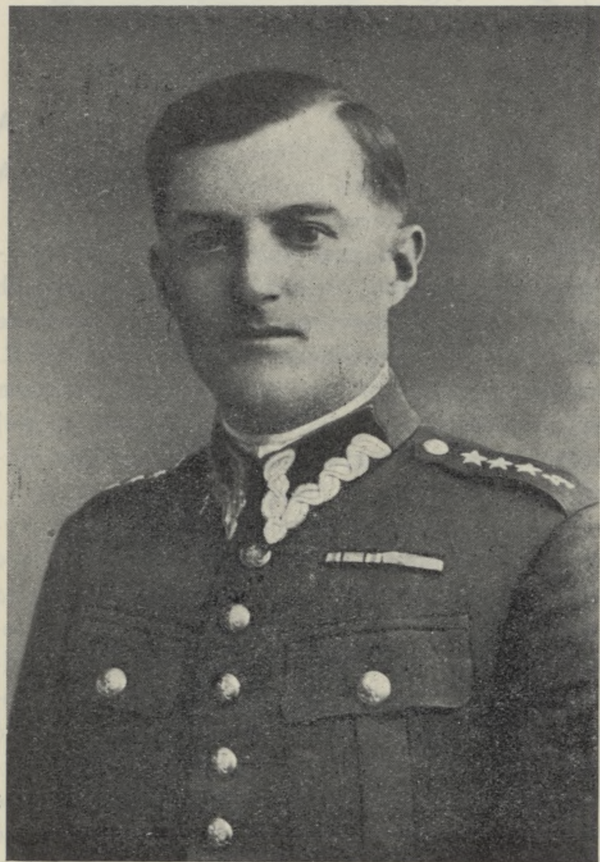
W zrozumieniu szczytnych haseł, wysuwanych przez L.M.K., w zrozumieniu olbrzymich zadań, jakie ta instytucja ma w społeczeństwie do spełnienia — zawiązała się na terenie S.P.R. A. Sekcja Ligi Morskiej i Kolonjalnej, mająca za zadanie szerzyć ideę morską naszej jedynej organizacji o charakterze wybitnie morskim, jaką jest L.M.K.

Po zorganizowaniu sekcji przystąpiono do wytyczenia kierunku, po jakim pójść mają prace Sekcji oraz ich realizacja. Myślą przewodnią naszych prac była propaganda marynarki wojennej. Dlatego właśnie program sekcji odbiegł od przyjętych szablonów propagandy morza, dlatego właśnie postanowiono położyć szczególny nacisk na to zagadnienie, które najbardziej łączy się z życiem społecznem, które najbardziej jest zaniedbane, a niejednokrotnie źle pojmowane. Na pierwszy plan wysunęła się kwestja floty wojennej, do propagandy której

my, — przyszli oficerowie artylerji, — a więc broni najbardziej z marynarką wojenną związanej i jej istotę tworzącej, jesteśmy szczególnie powołani. Doceniając niczem nie zaprzeczoną konieczność posiadania floty wojennej, a co za tem idzie, jej rozumnego rozwoju, postanowiono realnie zająć się tem zagadnieniem. Jasną rzeczą jest, że aby jakiś problemat należycie zrozumieć, trzeba go uprzednio poznać; bo przecież mówić o marynarce, że jest nam ona potrzebna, że ją musimy zbudować, — to jeszcze nie wystarczy, to jeszcze nic nie powie przeciętnemu obywatelowi, to jeszcze nie przekona go, w jego własnych rozumowaniach nad tem, tak niezmiernie ważnem, a jednocześnie tak mało znanem zagadnieniem, jakie przedstawia marynarka wojenna.

O ile każdy, trzeźwo na życie patrzący obywatel, nie znajduje specjalnych trudności w zrozumieniu nieocenionych wprost dobrodziejstw, jakie daje morze dla państwa, to z marynarką wojenną jest zgoła inaczej. Do analizowego zagadnienia inaczej podejść należy, trzeba prace zacząć od podstaw, trzeba przełamać czysto lądowe nastawienie naszego obywatela do spraw morskich wogóle, a marynarki wojennej w szczególności. Trzeba go uświadomić co to jest marynarka wojenna, do czego jest nam potrzebna i jakie zadania ma do spełnienia. Trzeba go uświadomić, że jest ona punktem wyjściowym dla wszelkich poczynań na morzu, że jest czynnikiem, bez którego nie da się pomyśleć należyty rozwój naszej gospodarki morskiej, że jest wreszcie jedynym elementem, zdolnym zabezpieczyć ogrom pracy i kapitału dla spraw morza wyłożonego.

Takiemi przesłankami kierowała się sekcja L.M.K. wysuwając jako dominujący punkt programu swych prac zagadnienie floty wojennej.



Kpt. Kunkiel



Por. Anasiewicz



KOMITET REDAKCYJNY





№



ZAKŁ. DRUK. F. WYSZYŃSKI I S-KA, WARSZAWA